

PRZYSZŁOŚĆ

NUMERARY

Rachel Ward

**Rachel Ward**

# **Przyszłość**

Numbers. Infinity

Przekład: Anna Dorota Kamińska

Dla moich rodziców, Shirley i Davida, dla dziadków,  
i tych, co byli przed nimi.  
A także dla Ali i Pete'a, i tych wszystkich, co będą po  
nich. Ozzy – dla ciebie też, oczywiście.

## LUTY 2029

Mała dziewczynka siedzi na ziemi. Spacerowała po lesie, ale teraz jej nóżki są zmęczone i nie chce już więcej chodzić. A poza tym tu jest ładnie. Z kamyków, listków i gałązek mogłaby zrobić gniazdko dla ptaków albo domek dla myszek.

Jej paluszki są bardzo zajęte – podnoszą różne drobiazgi z leśnego poszycia, przekładają, układają, odrzucają. I jej główka też jest bardzo zajęta, dziewczynka rysuje patykiem na ziemi linie i kółka i śpiewa sobie piosenkę pasującą do obrazków.

Słyszy motocykle, zanim je zobaczy. Szum gdzieś w tle przechodzi w warkot, a potem w ryk. Dziewczynka przyciska ręce do uszu. Dostrzega między drzewami metal, gumę i skórę. Nigdy przedtem nie widziała motoru, a teraz są tu trzy: wielkie, czarne i szybkie, wyrzucające smugi ciemnego dymu.

– Smoki – szepcze, a źrenice jej błękitnych oczu rozszerzają się gwałtownie.

Motocykle zwalniają i zatrzymują się. Teraz warczą cicho, już nie ryczą. Ale są za blisko.

Dziewczynka siedzi bez ruchu. Obserwuje. Czy smoki też ją widzą?

Smok na przedzie zdejmuje kawałek głowy. W środku jest człowiek; zaczyna się przyglądać drzewom po obu stronach drogi, która przecina las.

Na chwilę ich spojrzenia się spotykają.

Twarcz mężczyzny jest blada, jednak jego kolory są ciemne, tak samo jak jego ubranie i jego smok. Wir szarości, fioletu i czerni. Dziewczynce te barwy się nie podobają. Nigdy nie widziała u ludzi takich kolorów. I nie podoba jej się, że on na nią patrzy. Jego oczy są ciemne, prawie czarne. Mała czuje ból, gdy kierują się na nią. Dlatego szybko chowa buzię w kolanach.

– Szefie, widziałeś coś?

– Tylko dzieciaka. Jedziemy. – Głos mężczyzny jest twardy i niski.

Warczenie smoków znowu zmienia się w ryk. Znikają.

Dziecko spogląda przymrużonymi oczami. Nic już nie wskazuje na to, że smoki w ogóle tu były, oprócz chmury kurzu, która wisi w powietrzu, a potem opada.

Dziewczynka powoli się uspokaja. Pochyla się i niszcząc swoje obrazki, zagarnia naręcze gałązek i liści. Jeśli tu są smoki, trzeba będzie zbudować duże gniazdo, żeby ptaki i myszy były bezpieczne. Powinno być naprawdę duże – żeby ona też była bezpieczna.

Układa dookoła siebie coraz większy i większy stos. Potem zwija się w kłębek i zamyka oczka. Czeka na sny – kolory i obrazki, które ją uśpią.

Budzi się, gdy słyszy, jak ktoś woła jej imię:

– Mia! Mii-aa! Gdzie jesteś?! Mii-aa!

Nie rusza się. Chce sprawdzić, czy gniazdo ją ochroni, czy uda się ją znaleźć. Uwielbia zabawę w

chowanego.

– Mia! Mii-aa! Gdzie ty jesteś?! Gdzie jesteś?! – Głos zbliża się coraz bardziej.

Dziewczynka zwija się w ciasny kłębek i znowu chowa buzię w kolanach. To jest fajna zabawa. Słyszy kroki. Bliżej, bliżej, bliżej...

– Tu jesteś!

Tuż koło gniazda pojawiają się stopy. Mała odwraca lekko główkę i patrzy w górę – kobieta nie wygląda na zadowoloną. Czoło nad jej błękitnymi oczami się marszczy. Mii się to nie podoba. Chce, żeby kobieta się uśmiechała i śmiała. Ale jej kolory są takie same jak zawsze: otaczają mgiełka niebieskiego i lila; kolory, które znaczą jedno – mama.

Mia znowu chowa buzię w kolankach. Nie chce, żeby mama na nią krzyczała.

Sara pochyła się i chwyta córkę pod pachami. Podnosi ją, nadal zwiniętą w kłębek, i mocno przytula.

– Mia – szepcze – musisz być tam, gdzie cię widzę. Słuchasz mnie?

Dziewczynka wkłada kciuk do buzi.

– Ja się tylko martwię. Myślałam... myślałam, że się zgubiłaś. Nie jestem zła.

Mia wyjmuje kciuk z buzi i podnosi wzrok. Potem wyciąga rączki, żeby objąć mamę. Wszystko jest w porządku – tym razem nie będzie krzyków i łez.

– Smoki – mówi dziewczynka. – Widziałam smoki.

Sara spogląda w stronę drogi. Przed paroma

minutami słyszała motory.

– Chodzi ci o motocykle? – pyta, mocno obejmując córkę, i rusza w stronę przeciwną niż droga, z powrotem w las.

– Smoki. Głośne.

– Widziałaś też wilki i niedźwiedzie? – pyta Sara z uśmiechem.

Dziecko kręci główką.

– Smoki – powtarza, tym razem stanowczo.

– W takim razie lepiej wracajmy do obozu. Smoki nie podejną do naszego ognia. Tam będziemy bezpieczne.

Ale Mia nie czuje się bezpiecznie, nawet teraz, w ramionach mamy. Smoki, które widziała, same robiły dym. „Ogień wcale ich nie odstraszy – myśli. – Ogień by się im spodobał”.

Lepiej się schować. Lepiej zrobić gniazdo i schować się przed człowiekiem otoczonym samymi ciemnymi kolorami.

## ADAM

Znam cię – słyszę.

Patrzyłem, jak ten facet podchodzi bliżej, mijając obszarpane namioty i szałas.

„I znowu się zaczyna” – myślę. Wszędzie jest tak samo. Dlatego staram się trzymać z daleka od ludzi. Ale to też nie jest dobre rozwiązanie, bo i w pojedynkę nie jesteś bezpieczny. Nawet jeśli nie posiadasz niczego cennego, i tak mogą cię okraść, zabrać, cokolwiek masz: jedzenie, ubrania, nawet drewno na opał. Zdarzało się to już o wiele za często. Dlatego muszę się trzymać blisko innych. W grupie bezpieczniej – jak mówi Sara.

*Ignoruj go, może sobie pójdzie.*

Nie podnoszę głowy, dalej wbijam kamieniem kołek namiotu w twardą ziemię.

On przykuca niecały metr ode mnie i pochyla się, żeby spojrzeć mi w twarz.

– Znam cię – powtarza. – Jesteś Adam Dawson.

Odwracam się od niego. Moje palce zaciskają się na kamieniu.

Facet wyciąga rękę i dotyka mojego rękawa. Jest za blisko. Widzę brud pod jego paznokciami, trociny w postrzępionej brodzie.

– Adam... – zaczyna z uśmiechem. Przechyla głowę, usiłuje nawiązać kontakt wzrokowy. – Adam, uratowałeś mi życie.



Serce wali mi w piersi jak szalone. Nie wytrzymam. Chcę, żeby się odwalił.

– Nie, gościu – mówię, a mój głos nagle chrypnie. – Coś ci się pochrzało.

– Nie, widziałem cię. Nigdy nie zapomnę twojej... twarzy. – Chodzi mu o moją bliznę, moją poparzoną skórę. – Adam, uratowałeś mnie. Byłem w Londynie. Miałem mieszkanie na parterze, tuż koło rzeki. Zobaczyłem cię w telewizji i uciekłem. Tak samo jak miliony innych. Jesteś bohaterem.

Ta sama historia. Słyszałem ją już nie raz i nie dziesięć razy.

Pokazali mnie w telewizji tylko jednego dnia, ale to był ostatni dzień, kiedy większość ludzi oglądała telewizję. Teraz w Anglii nie ma telewizji ani komputerów, nie ma ekranów ani telefonów. Po trzęsieniu ziemi na początku Chaosu nigdy nie uruchomiono z powrotem sieci i nie postawiono zniszczonych nadajników. Dlatego tkwię we wspomnieniach wszystkich jako ten chłopak z szaleństwem w oczach i bliznami na twarzy, który gapi się w kamerę i wrzeszczy o końcu świata. I pamiętają mnie, bo miałem rację. Świat się skończył – w każdym razie świat, jaki wszyscy znali.

Dzisiaj każdy, z kim rozmawiam, traktuje mnie jak jakiegoś cholernego celebrytę lub zbawcę. Nie chcę tego.

– Mamy trochę mięsa – ciągnie facet, kiedy jest już jasne, że ja mówić nie będę. – Dziczyzna. Ktoś zastrzelił jelenia, całkiem dużego. Chodźcie do nas. Chodźcie się z

nami najeść.

Przestaję walić w kołek. Mięso... Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jedliśmy mięso. Musi być lepsze niż zupa z pokrzyw, którą mieliśmy zjeść dzisiaj. Oglądam się na Sarę i Mię, na braci Sary. Marty i Luke grzebią w liściach na ziemi, szukają suchych gałązek, czegokolwiek, co nada się na rozpałkę. Mia siedzi na naszych taczkach, patrzy, jak Sara rozwija maty, na których śpimy. Jest mała jak na dwuletnie dziecko. Jej rączki i nóżki są cienkie i brązowe, jak te gałązki, które zbierają chłopcy. Wygląda jak laleczka – z tą masą jasnych loczków, pełnymi wargami i oczami, które niczego nie przegapia.

Sara udaje, że jest zajęta, ale wiem, że zerka na mnie kątem oka, czeka na moją reakcję. Słyszała każde słowo. Nic nie mówi. Nie musi. Jest głodna, wszyscy jesteśmy. Ślina napływa mi do ust na samą myśl o porządnym jedzeniu. Ale wiem, co z tym przyjdzie – zawracanie głowy, klepanie po plecach, pytania... A ja nie znoszę, kiedy ludzie się na mnie gapią. I nie znoszę patrzeć na nich, widzieć ich numery...

Zawsze, kiedy tylko na kogoś spojrzę, widzę jego numer – datę śmierci tej osoby. Nienawidzę tego. Nienawidzę uczuć, które przychodzą z numerami. Czasami chcę wyciągnąć z ognia płonący patyk i wbić sobie w oczy, byleby nie widzieć tych dat. Przestać czuć ból czekający każdego człowieka, którego spotykam. Mam blizny od ognia – dwa razy niemal mnie zabił. Może by więc zniszczył to, co mnie rani najbardziej.

Jedyne, co mnie powstrzymuje, to Sara. Nie mogę jej tego zrobić. Już i tak bywa jej ze mną ciężko. Jestem ponury i niespokojny. Nie mógłbym oczekiwać, żeby ze mną została, gdybym do tego był jeszcze ślepy.

Ona patrzy prosto na mnie, właśnie wtedy, tymi swoimi błękitnymi oczami, a jej numer mówi do mnie, przynosi mi pociechę i uspokojenie, jak zwykle – koniec pełen światła i miłości. 2572075. Obietnica, że będziemy razem, ja i ona, za pięćdziesiąt lat od teraz, kiedy odejdzie z tego życia, tak łagodnie, jakby się wślizgiwała do ciepłej kąpieli.

Sara.

Odwracam się z powrotem do obcego, który kuca obok mnie, i zmuszam się, żeby skinąć głową i się uśmiechnąć.

– Przyjdziemy. Dzięki – mówię, ale słowa brzmią tak, jakby wypowiadał je ktoś inny.

Jego twarz się rozjaśnia.

– Super. Cool. Przyjdźcie, kiedy chcecie. Jesteśmy w tym najdalej od ścieżki. – Wskazuje na tunelowaty namiot rozstawiony między dwoma pniami. – A tak w ogóle to jestem Daniel. Fajnie cię poznać, Adam. Długo na to czekałem.

Kiedy się oddala, słyszę, jak do kogoś woła:

– Carrie, on jest tutaj! Naprawdę tu jest...

Narasta we mnie niepokój. Przyjęcie zaproszenia było błędem. Już tego żałuję. Podnoszę rękę i walę kamieniem w kołek namiotu tak mocno, że się zgina, a ja ocieram

sobie kostki dłoni.

– Aj! Kurrr... Au! – Staram się nie kłać przy dzieciakach. Czasami to cholernie trudne.

Upuszczam kamień, strząsam jak najwięcej ziemi z palców i wkładam je do ust. Ssę mocno, żeby złagodzić wściekły ból. Nie pomaga. Na niepokój też nie. Ani na złość. Nic nie pomoże.

Sara podchodzi bliżej.

– Dziękuję – mówi.

Wzruszam ramionami, dalej ssąc kostki. Cieszę się, że mam coś w ustach. Dzięki temu nie mówię tego, co chciałbym powiedzieć: „Saro, ja nie chcę być w pobliżu ludzi. Wszyscy są tacy sami. Nie wytrzymam”.

– Boli? – pyta ona.

Wyjmuję rękę z ust i oglądam.

– Zaraz przejdzie. Otarłem naskórek, nic więcej.

Sara grzebie w jednej z naszych toreb na taczkach i wyciąga tubkę maści antyseptycznej. Koniec jest ściśle zwinięty, żeby wycisnąć absolutnie wszystko. Niewiele zostało.

– Nie marnuj jej na mnie – protestuję.

– Ciii – ucisza mnie Sara.

Nabiera odrobinę maści na koniec palca i nakłada na moje otarcia, a potem ostrożnie wciera. To takie intymne – czubek jej palca delikatnie dotyka mojej skóry, tylko kilka komórek się styka. Czuję, jak moje ciało się odpręża, a złość mija.

Ja i ona. My. To jedyne, czego kiedykolwiek w moim

życiu pragnąłem. Nawet po tym wszystkim, co przeszliśmy – trzęsieniu ziemi, Chaosie, ogniu, ciągłej wędrówce, opiece nad Mią, Martym i Lukiem – jesteśmy nadal razem.

Patrzę na jej palec. W tej chwili oddałbym wszystko, żeby reszta świata zniknęła. Chcę być z nią sam, obejmować ją ramionami, tak żeby nasze twarze były tuż obok siebie.

Chwytam jej dłonie.

– Sara, chodźmy stąd – błagam. – Chodźmy gdzieś indziej. – Nienawidzę się za to, że to brzmi tak żałośnie.

Ona zaciska wargi, odciąga rękę.

Wracam do rzeczywistości.

– Adam, dopiero tu dotarliśmy. Zostańmy. No i zostajemy.

Siedzimy na kłodach wokół ogniska Daniela. Jego gulasz z dziczyzny jest raczej wodnisty, ale nie jedliśmy niczego podobnego od tak dawna, że i tak wydaje się niemal za dobry.

Marty i Luke pożerają go jak wilki, sos spływa im po podbródkach. Ocierają go i oblizują palce, śmiejąc się. Nikt im nie zwraca uwagi. Dobrze widzieć, jak napełniają brzuchy, a ich twarze lśnią od ciepła.

To dzielni chłopcy. Ogień zabrał im mamę i ojca. Na początku byli tacy cisi, cały czas przerażeni. Nienawidzili być na dworze, nie wiedzieli, co ze sobą robić, odcięci od swoich X-boxów i telewizorów plazmowych. Ale nauczyliśmy się razem: jak zastawić sidła na króliki, jak

szybko rozpalić ogień...

Mia siedzi na kolanach Sary, jej wielkie oczy patrzą na te wszystkie twarze rozświetlone ogniem: na Daniela, jego dziewczynę Carrie, ich sąsiadów. Jakby usiłowała ich zapamiętać.

Jem powoli, rozkoszuję się każdym kęsem – próbuję skupić się na jedzeniu, nie na rozmowie. Klepanie po plecach i zwracanie głowy podziękowaniami już się skończyło, czekam na pytania. Inni mówią o rzeczach, o jakich ludzie zawsze teraz gadają: o jedzeniu, wodzie, paliwie, zimnie, głodzie, chorobach. Zwłaszcza o chorobach. To rzeczywiście jest największy problem, nie mogę udawać, że tak nie jest. Staramy się zdobywać jedzenie, ogrzewać się; ogólnie jakoś sobie radzimy. Ale jeśli ktoś z nas zachoruje, co zrobimy?

Obaj nasi chłopcy mają dobre numery – 21112088 i 392092 – ale one mogą się zmienić. Przekonałem się o tym tej nocy, gdy był pożar, podczas trzęsienia ziemi. Mia ma teraz numer mojej babci. Przeraża mnie, kiedy widzę go w jej oczach, a za nim śmierć palaczki, rozpaczliwe łapanie oddechu. To pasowało do babci i wydaje się okrutne, że teraz ten obraz pojawia się w oczach Mii.

Nie znam już zasad. Numery, nawet te dobre, nie dają mi pociechy.

– Tu nie jest tak źle – mówi ktoś. – Dan jest lekarzem.

Patrzę na Daniela. Brudna broda, długie włosy związane w kucyk, żółte paznokcie. Nie wygląda na

lekarza.

– Byłem – odpowiada, wzruszając ramionami. – Pracowałem w szpitalu w Londynie, zanim go po Chaosie roznieśli. – Kręci głową. – Można by pomyśleć, że ludzie będą szanować szpitale, nie? Ale staliśmy się celem, napadali na nas w poszukiwaniu narkotyków, zapasów, metalu do stopienia. Odszedłem po bitwie u Świętego Tomasza w marcu 2028. Czterystu zabitych, większość moich przyjaciół zginęła. Policja, wojsko, rząd – wszyscy nas porzucili. Gdzie byli? Gdzie, do cholery, byli?! – Urywa na chwilę. Jego ręce leżą na kolanach, zaciśnięte, ściętna ma napięte jak druty. Potem bierze głęboki oddech. – A co was tu sprowadza? – pyta, kierując rozmowę z powrotem na mnie.

Czyli zaczyna się. Pierwsze pytanie. Wszyscy milczą, czekają na moją odpowiedź.

– Staramy się nie rzucać w oczy, nie przebywać nigdzie za długo – odpowiadam, patrząc w ziemię.

– Zmierzasz do jakiegoś konkretnego miejsca?

– Przed siebie. Daleko od Londynu, od wielkich miast. Tam jest za dużo ludzi, zbyt niebezpiecznie.

– Wiesz, szukają cię. Byli tu, pytali.

Przestaję żuć i podnoszę wzrok.

– Szukali? Kto?

Daniel kręci głową.

– Nie przedstawili się. Było ich trzech, na motorach. Takie typy, którym nic się nie mówi.

Kładzie mi rękę na ramieniu. Stara się mnie uspokoić,

ale od takiego kontaktu robię się nerwowy. Dobrze wiem, że jedyni ludzie, którzy mają jeszcze dostęp do paliwa, to tak zwany rząd albo gangi, które przejęły kontrolę nad miastami.

Kiedy przyszło trzęsienie ziemi, siedziałem w areszcie, oskarżony o morderstwo, którego nie popełniłem. Władze się na mnie uwzięły, usiłowały mnie uciszyć. Miałem nadzieję, że moja kartoteka zniknęła podczas Chaosu. Najwyraźniej nie. Na samą myśl mnie zmroziło.

Jeśli mnie szukają, muszę zrobić wszystko, żeby nas nie znaleźli. Nie mam niczego do powiedzenia im ani ich agentom. I nie dam się znowu zapuszkować. Nie mogę.

Z gangami także nie chcę mieć nic wspólnego – z uzbrojonymi bandziorami, którzy rządzą dziś w miastach. To jeszcze jeden powód, żeby się tam nie zbliżać.

– Kiedy? – Ledwo udaje mi się wykrztusić to słowo, bo zaschło mi w gardle.

– Dzisiaj rano. Był też dron. – Daniel szczyrzy zęby w uśmiechu. – Zestrzeliliśmy go.

– Słyszałam motocykle po południu, kiedy szukałam Mii – cicho mówi do mnie Sara.

Zrywam się na nogi.

– Cholera! Musimy stąd spadać.

Ona marszczy czoło.

– Adam, nie teraz. Nie po ciemku.

– Nie słyszałaś, co powiedział Daniel?!

Kręci głową.



– Jest ciemno. A my wszyscy jesteśmy zmęczeni.

– W takim razie ruszymy z samego rana – decyduję. –  
O świcie.

Siadam znowu, powoli, ale już nie mogę jeść. Gulasz ciąży mi w żołądku jak kamień. Nie mogę usiedzieć spokojnie. Moje nogi podrygują, gotowe do biegu.

Ponownie rozlega się gwar rozmów.

– Nie możemy być w ciągłym ruchu – odzywa się do mnie Sara. – Adam, ciągniemy to już dwa lata, a ja teraz nie dam rady przejść tylu kilometrów dziennie.

Patrzę na jej nabrzmiąły brzuch. Nie wiemy dokładnie, w którym jest miesiącu, ale to musi być siódmy albo nawet ósmy.

– A moi bracia? – pyta. – Mia? Muszą gdzieś mieszkać. Potrzebują domu. Wszyscy potrzebujemy.

*Dom.* Kiedyś miałem dom. Wydaje się, że to było wieki temu. Tylko że kiedy mama umarła, to przestał być dom. Miałem też drugi, u babci, ale nie zauważyłem tego, aż dom zniknął. I ona też.

– Sara, dom to nie miejsce, tylko ludzie. Wszystko, czego nam trzeba, mamy ze sobą.

– Ale nam trzeba więcej ludzi – odpowiada. – Będę miała dziecko, jeśli nie zauważyłeś. Mię urodziłam sama w squacie, na podłodze w brudnej łazience. Chcę, żeby tym razem było inaczej. Daniel jest lekarzem. Musimy tu zostać. I tak nie biegamy szybciej niż motory. Jeśli chcą nas znaleźć, to znajdą.

Ona nie rozumie. Nawet po tym wszystkim nie

rozumie, jak okropnie jest być zakutym w kajdanki, zamkniętym w celi, kompletnie bezradnym.

– Nie dam się złapać, Saro. Nikt nie zabierze mnie od ciebie i nie zamknie znowu! Nikt! – krzyczę.

Zgromadzeni wokół ogniska milkną, gapią się na mnie albo odwracają wzrok.

– W porządku – odpowiada cicho Sara. – Później o tym pogadamy.

Nie zwracam na nią uwagi i brnę dalej.

– Zastanów się, co to znaczy. To nie jest żadna paranoja! Ci ludzie chcą mnie dopaść!

– Tak, akurat ciebie.

Czyli o to chodzi. Jej słowa są jak cios w twarz.

Ludzie zaczynają zbierać miski i się rozchodzić.

– Chodźcie, chłopaki – Daniel zaprasza Marty’ego i Luke’a. – Zabiorę was do waszego namiotu.

Odchodzą z nim. Śmiech i ciepło posiłku znikają z ich twarzy. Marty wygląda na zaniepokojonego.

Zostaję przy ognisku tylko z Sarą i Mią.

– Mam iść? – pytam.

Ona patrzy mi w oczy i odwraca wzrok.

– Adam, nie możemy wciąż uciekać – wyjaśnia.

– Mam cię tu zostawić?

– Mama tata gniewa? – odzywa się cichutko Mia.

Przygląda się nam uważnie, nic jej nie umknie.

– Ja się nie gniewam – odpowiada szybko Sara.

Zmuszam się do uśmiechu dla Mii, ale wiem, że mała tego nie kupuje.

– Mam czipa – przypominam, usiłując ciągnąć kłótnię. – I Mia też. Ta sonda mogła nas zlokalizować i przesłać wiadomość. A nawet jeśli nie, to przecież jestem cholernie rozpoznawalny. – Niemal odruchowo dotykam skóry pokrytej bliznami. – Jeśli tu zostaniemy, wystarczy im tylko kilka dni, żeby nas znaleźć. Może nawet godzin. A potem co?

– Adam, nawet nie wiemy, czego oni chcą. Może chcą ci uścisnąć rękę i podziękować. Może ich też uratowałeś.

Coś jest w sposobie, w jaki to mówi. Jakby ze mnie drwiła. Nie mogę tego znieść. Moja dłoń natrafia na kawałek drewna, rzucam go w ogień tak mocno, że lecą iskry. Sara wzdryga się, a Mia podskakuje, lecz to mnie nie wzrusza. Biorę kolejny patyk i robię to samo.

– Nie prosiłem o to, Sara. O nic z tego nie prosiłem. Nigdy nie chciałem widzieć numerów. Nigdy nie chciałem mieć w głowie tych śmierci, tego całego bólu – tłumaczę gorączkowo.

Oczy Mii wypełniają się łzami, a Sara nie patrzy na mnie.

Wiem, że gadam bez sensu, ale nie mogę przestać.

– Mam osiemnaście lat, pod opieką dziewczynę i troje dzieci, kolejne w drodze, za to nie mam domu ani jedzenia. I to się nigdy nie poprawi. Wiem tylko, że pewnego dnia to się skończy, bo wszędzie widzę koniec, we wszystkich, a wolałbym nie widzieć. A nawet to nie jest pewne, bo wszystko może się zmienić. Może jutro, a

może pojutrze albo za tydzień. Myślisz, że tego chcę?

– Myślisz, że ktokolwiek z nas tego chce? –  
odpowiada pytaniem Sara.

Przewraca mi się żołądek. Jeśli ona już nie jest po  
mojej stronie, nic mi nie zostało.

Ale musimy stąd odejść. Tu nie jest bezpiecznie.

## SARA

Adam potrząsa mną za ramiona, zanim jeszcze się rozjaśnia. Jest ciemnym kształtem koło mnie. Nie widzę jego rysów.

– Sara – szepcze. – Czas wstawać. Musimy iść. Przyciskam śpiwór do uszu i odwracam się do niego plecami. Nawet w namiocie zimne powietrze kłuje mnie w twarz.

– Sara – syczy Adam. – Już czas.

Biorę głęboki wdech, a potem wypuszczam powietrze – powoli, powoli, powoli. Boję się tego, co zaraz zrobię, ale i tak to robię.

– Ja nie idę – mówię.

– Co?

– Nie idę.

– Idziesz. Dzisiaj. Pakujemy się i spadamy stąd – odpowiada stanowczo.

Odwracam się twarzą do niego. Serce mi wali.

– Nie mam najmniejszego zamiaru stąd odchodzić. Chcę tu zostać na zimę. To mili ludzie. Jest tu lekarz, jest jedzenie. Adam, proszę.

– Sara...

– Nie. Daj mi spać.

Ale nie śpię. Krew pulsuje mi w uszach, leżę, słuchając milczenia Adama. Czy dobrze zrobiłam? Moje puchnące kostki mówią, że tak. I moje pokryte

pęcherzami dłonie mówią, że tak. I ciche pochrapywanie dzieci mówi mi, że musimy odpocząć. Czas przestać ciągle uciekać i przez jakiś czas po prostu być rodziną. Ja, Adam, Marty, Luke, Mia i... nowe dziecko.

To dziwny rodzaj rodziny. Nigdy nie będę dla chłopców prawdziwą mamą – zawsze będę ich siostrą – ale jestem jedyną krewną, jaka im została, i przez to stałam się najbliższym odpowiednikiem matki, jaki mogą mieć. A Adam nie jest niczym ojcem, chociaż Mia mówi do niego „tato”.

Kiedy powiedziała to po raz pierwszy – „ta-ta-ta-ta” – jego twarz się zmieniła. To było tak, jakby w tym momencie weszło słońce. Byliśmy potwornie zmęczeni, siedzieliśmy przy drodze, nawet nie rozstawiliśmy namiotu, ale Mia nie spała.

– Słyszałaś, co powiedziała? Sara, słyszałaś? – Adam dopytywał wtedy z przejęciem.

Mała powtórzyła jeszcze raz „ta-ta” i wyciągnęła do niego rączki. Chwycił ją i zatańczył z nią dookoła, jakby zapomniał o wszystkim innym, tylko na chwilę. Przypomniało mi się, dlaczego go kochałam.

*Kocham* – poprawiam się teraz. *Kocham, nie kochałam. Kocham* Adama Dawsona. Jeżeli będę to mówić wystarczająco często, myśleć wystarczająco często, może nadal będę w to wierzyć.

Ale to trudne, kiedy wiesz, że on patrzy ci w oczy i widzi, jak umierasz.

Zaciskam powieki i próbuję wyrzucić wszystkie

myśli, pozwolić, żeby zalał mnie sen i wyłączył, ale wszystko się miesza: ludzie, miejsca, słowa i numery. Ciągłe numery.

Mia budzi się ostatnia, co nie jest normalne. Kiedy w końcu wyłazi z namiotu, Marty i Luke dawno już są w lesie na poszukiwaniach. Jej oczka są różowe i błyszczące, policzki zarumienione.

– Mi źle – szepcze.

Pochyliam się nad nią i kładę rękę na jej czole. Jest rozpalona. Nos ma zatkany, powietrze wciąga ustami. Jej oddech jest kwaśny i niemły.

– Adam, ona jest rozpalona.

– Cholera.

Tego się obawialiśmy: Mia dostała gorączki.

W noc trzęsienia ziemi – w gorącu pożaru – miała jakiś atak. Wciąż jeszcze widzę, jak drga w ramionach Adama przed płonącym domem, z całkiem sztywnymi rączkami i nóżkami. To wtedy jej numer się zmienił. Miała umrzeć tamtego dnia, ale Adam wyniósł ją z domu, a w ogniu zamiast niej zginęła Val, jego babcia. Ich numery się zamieniły. Ich losy się zamieniły. Nie wiem, jak to się stało.

Czy stanie się tak i teraz, jeśli gorączka będzie za wysoka?

– Daniel – rzuca Adam. – Ściągnę go.

Mija tylko kilka minut, zanim przychodzi Dan, ale wydaje mi się, że to całe godziny.

– Zaraz zobaczymy – mówi i wchodzi do namiotu. Wyciąga z plecaka stetoskop i przykłada do piersi Mii. – Nie jest tak źle – stwierdza. Mierzy jej temperaturę. – No, prawie czterdzieści. Dajmy jej trochę paracetamolu.

– A masz? – pytam, bo resztki naszych zapasów skończyły się parę miesięcy temu.

Daniel wyciąga z kieszeni plecaka pełną buteleczkę.

Patrzę na nią i na niego. Skąd on wziął taki zapas lekarstwa? Przecież sprawdzamy każdy opuszczony dom czy sklep, czasami mamy dużo szczęścia i znajdujemy opakowanie. Ale pełna buteleczka...

– Mam sporo... zapasów – tłumaczy Daniel nieśmiało.

– Jak? Skąd? – Nie mogę ukryć zdziwienia.

On się uśmiecha.

– Rząd ma zasoby. Trzeba tylko wiedzieć, jak się do nich dostać.

– A ty wiesz?

– Powiedzmy, że mam kontakty.

– Rządowe?

Znowu się uśmiecha, ale nic nie odpowiada.

– Wygląda mi to na jakiś wirus – stwierdza. – Niech mała dużo pije, a ja będę jej dawał paracetamol co cztery godziny.

I wychodzi, a do środka zagląda Adam.

– Adam, on ma lekarstwa – mówię z przejęciem. – Ma mnóstwo dobrych rzeczy...

– Wiem.



– To jest naprawdę dobre miejsce, żeby zostać.

On wzdycha.

– Teraz nie mamy wielkiego wyboru.

Wiem, że dla niego to duża sprawa.

– Dziękuję – szepczę.

– Tylko nie miej do mnie pretensji, jeśli...

– Jeśli co?

– Nie wiem. Jeśli wszystko pójdzie źle. Czuję się... –  
usiłuje znaleźć właściwe słowa – jak... jak cel na  
strzelnicy – kończy po chwili.

– Wszystko będzie dobrze. Nic nam się nie stanie –  
odpowiadam i naprawdę chcę w to wierzyć.

– Może – przytakuje Adam, ale nie wydaje się  
przekonany. – Rozpalę ogień.

Odwracam się do Mii. Już jest spokojniejsza. Jej ufne  
spojrzenie napotyka moje oczy, a jej numer wypełnia mi  
głowę.

Ja nie widzę numerów jak Adam, ale jej znam. Adam  
mi powiedział. 2022054. Zostało jej dwadzieścia pięć lat.  
To lepsza długość życia, niż miała na początku, ale nie  
dość. Niedobrze mi się robi na samą myśl o tym. Moja  
córka nie może umrzeć w wieku dwudziestu siedmiu lat –  
to za wcześnie!

Musi znaleźć inny numer, lepszy numer.

Czy mogłabym oddać jej swój, jak Val? Tylko w jaki  
sposób? Jak ona to zrobiła? Gdyby to mogło pomóc Mii,  
oddałabym swój numer, oczywiście, że tak. Oddałabym za  
nią życie.

Jej włoski są mokre od potu, ciemniejsze i bardziej kręcone niż wcześniej, ale nadal blond. Są jak aureola. Mogę myśleć jedynie o tym, że dwadzieścia pięć lat to niewiele. Minie w mgnieniu oka.

Chwytam ją w ramiona. Po policzkach płyną mi łzy. Mia dotyka rączką mojej wilgotnej twarzy.

– Mama, nie. Mama smutno?

Naprawdę nie chcę jej dodatkowo denerwować, ale nie mogę przestać płakać.

Wolałabym nie wiedzieć. Adam wniósł w nasze życie ten dar, to przekleństwo. To nie jest jego wina, ale w tej chwili, w tej konkretnej chwili, mam mu to za złe. Nienawidzę go.

To nie jest normalne wiedzieć takie rzeczy.

To człowieka miażdży.

## ADAM

Rozpalając ogień, słyszę szloch Sary. Czy powinienem wrócić do namiotu? Przez chwilę czekam na zewnątrz, potem jednak odchodzę do lasu.

Nie mogę mieć do niej pretensji o to, że się boi. Ja sam się boję przez większość życia – odkąd zrozumiałem, co znaczą numery. Miałem wtedy tylko pięć lat. Minęło dużo czasu.

Sara boi się o Mię i ja również. Ale boję się też jej samej. Wstyd mi, ale nic na to nie poradzę.

To źle, nie? To śliczne dziecko – te niebieskie oczy, te jasne włosy, skóra opalona od życia na powietrzu. Złote dziecko. Gdziekolwiek pójdziemy, ludzie na nią patrzą – po tym, jak najpierw gapią się na mnie. Oczywiście, to nie jej wygląd mnie tak przeraża, tylko jej numer. Mia nie ma już numeru, z którym się urodziła. Kiedy patrzę w jej oczy, mam takie dziwne, nierealne uczucie. Jej numer migocze mi w głowie, jak gdyby go tam nie było. Za każdym razem przypomina mi o babci i tym okropnym dniu pożaru, na początku Chaosu.

Babcia wcale nie miała umrzeć tamtego dnia. Zostało jej dwadzieścia siedem lat życia. Myślałem, że zawsze będzie ze mną, że mogę na nią liczyć. Myślałem, że jest bezpieczna. Ale nie była. Umarła. W jednej chwili była, a w drugiej znikła. Nie mogę nawet myśleć o tym, tak ściska mnie w gardle. To nie fair. Nic z tego nie jest fair.

Nie chciałem, żeby Mia umarła, więc wszedłem w ogień, żeby ją uratować. Ale nie chciałem także, żeby umarła babcia. Nie mogę się nie zastanawiać: czy Mia zabrała babci jej numer? Czy to morderstwo? A może babcia go jej ofiarowała?

Nikt nie wie, co się wtedy stało. To nasza tajemnica – moja i Sary – i moim zdaniem tak powinno zostać.

A o tym, co czuję wobec Mii, nie powiedziałem nawet Sarze. Jednak wiem, że to, co się stało w noc pożaru, nie było w porządku.

To nie było naturalne.

No i nie wiem już, jakie są zasady. Nie wiem, jak to wszystko działa. Jeśli Mia może zmienić rzeczywistość, żeby uratować siebie, to czy zawsze ktoś inny będzie musiał za to płacić?

Wieczorem znowu zbieramy się przy ognisku Daniela. Tym razem gulasz jest z królika. Gorące jedzenie jest jak narkotyk, wszystkim robi się ciepło i kręci w głowie. Dobrze mi. Bardzo dobrze.

To Marty i Luke złapali te króliki – są dumni, widzę. Popychają się nawzajem, śmieją się i żartują.

Ktoś zaczyna śpiewać starą piosenkę.

Mia patrzy w ogień, płomienie rzucają na jej buzię czerwone światło. Wygląda jak aniołek, bardziej niż kiedykolwiek. Chyba jej lepiej. Paracetamol zrobił swoje. Ale co będzie następnym razem? Sara ma rację – rzeczywiście potrzebujemy ludzi.

Obejmuję Sarę ramieniem i kładę rękę na jej talii. Pod palcami czuję, jak dziecko się rusza. Ona opiera się o mnie. Całuję ją w czubek głowy, zamykam oczy i odprężam się, słuchając śpiewu. Przez chwilę, przez ułamek sekundy jestem szczęśliwy. Dobrze, że tu zostaliśmy.

Warkot silników jest na początku tak cichy, że ledwo go słyszę. Jakby był częścią śpiewu. Potem, kiedy się robi głośniejszy, wszyscy go słyszą i śpiew zamiera. Światło płomieni migocze na naszych milczących twarzach.

I nagle dociera do mnie, że wszyscy zgromadzeni przy ognisku patrzą na mnie.

– Wrócili – odzywa się Daniel.

Nie musi mówić kto. Było ich trzech, na motorach. Takie typy, którym nic się nie mówi.

Zrywam się na nogi, łapię chłopców za ręce.

– Chodźcie – ponaglam. – Idziemy. Natychmiast. Marty i Luke patrzą na Sarę. Ona chwyta mnie za nadgarstek, usiłując mnie zatrzymać.

– Adam...

To na nic. Wiem, że to nielogiczne, ale muszę zniknąć.

– Proszę – mówię.

Sara widzi wyraz mojej twarzy i wstaje z trudem.

– Adam, zostań. Jesteśmy z tobą – zapewnia Daniel.

Rozgląda się po kręgu wokół ogniska i wszyscy kiwają głowami na zgodę. Mówi w imieniu tych ludzi. Ale ja po prostu nie mogę usiedzieć na miejscu. Nie

mogę.

Odchodzimy od ogniska, znajdując drogę między szalasami, i dalej, w ciemny las, gdzie kulimy się, patrząc na obóz. Z ukrycia obserwujemy, co się dzieje.

Dźwięk motocykli ucichł, ale teraz trzy świetliste punkty przesuwają się w stronę ognia. Zaraz potem dostrzegam trzy poruszające się sylwetki: mężczyźni w czarnych skórzanych kurtkach i spodniach, czarnych wysokich butach, czarnych rękawicach. Zbliżając się, kierują światło latarek w różne strony. Zatrzymują się tuż przed granicą kręgu. Jest w nim wyraźna przerwa tam, gdzie siedzieliśmy – dlaczego nikomu nie przyszło do głowy, żeby zamknąć krąg?

Ludzie patrzą na przybyłych. Wyróżnia ich nie tylko strój, ale też to, jak się zachowują, no i broń: wojskowe karabiny przewieszane przez ramiona i pasy amunicji na piersiach.

Ten w środku robi krok naprzód. Ma siwe włosy, krótko ścięte, i silnie zarysowaną szczękę, prawie kwadratową. Twarz ma bladą, jakby od jakiegoś czasu nie był na dworze. Nie umiem ocenić, ile może mieć lat. Trzydzieści? Sześćdziesiąt?

– Nie chcemy przerywać imprezy – mówi. Głos ma głęboki, ale ostry, twardy. – Chcemy tylko spędzić tu noc.

Brzmi to całkiem niewinnie: trzech podróżnych chcących się gdzieś przespać.

Obok mnie Mia popiskuje cicho. Chłopcy milczą, przyglądają się jak my.

Sara uspokaja córeczkę, zwiniętą w jej ramionach, kryjącą buzię w jej dłoniach.

– Smoki – szepcze mała. – Głośne smoki.

– Ciii, Mia, ciii.

Ciepło i odprężenie, które czuliśmy przy ognisku, dawno zniknęły. Twarz Sary jest napięta i niespokojna.

– Spoko, możecie zostać – odpowiada im Daniel. – Znajdzie się też coś ciepłego dojedzenia.

Trzej przybysze podchodzą do ogniska i zajmują miejsca w kręgu, plecami do nas. Ten, który mówi, najwyraźniej nimi dowodzi. Po lewej ma mniejszego faceta, żylastego i wyglądającego groźnie. Drugi jest wielki, chłop jak góra, z długimi ciemnymi włosami.

Robi się nam zimno, ciepło ognia do nas nie dociera. Marty i Luke dygoczą. Mia zaczyna kaszleć. Sara przytula ją mocniej, ale nic całkowicie nie wyciszy dźwięku.

Ludzie przy ognisku w ogóle nie reagują. W milczeniu patrzą w płomienie. Potem zaczynają się pytania.

– Wiecie, kogo szukamy – mówi ten siwy. – Widzieliście go? Widzieliście Adama Dawsona?

Wstrzymuję oddech. Czy Daniel i reszta będą kłamać? Uratują nas czy własną skórę?

– Owszem, widziałem – odpowiada Dan. – Przechodził tędy, ale już sobie poszedł.

W zasadzie to nie kłamstwo. Lecz i nie zdrada.

– Jak dawno?

– Zniknął zaraz po obiedzie.

– Czyli nie będzie wam przeszkadzało, jeśli przeszukamy obóz?

– Macie nakaz?

Siwy się śmieje. Wydaje z siebie dziwny dźwięk, jakby rzadko to robił.

– Nie, nie mam nakazu. Nie potrzebuję. Mam zadanie od rządu. Nazywam się Saul, to wszystko, co musicie wiedzieć.

Czyli on jest na usługach władz. Czuję, jakby świat walił mi się na głowę. Chodzi o to stare oskarżenie o morderstwo? Dlatego tu przyjechali?

Daniel ma niepewną minę, ale nadal jest uprzejmy.

– Chcecie szukać po ciemku? – pyta.

– Zgadza się.

Daniel wzrusza ramionami i próbuje tłumaczyć:

– My tu nie mamy niczego do ukrycia, ale to nasze domy. Śpią w nich małe dzieci. Robi się późno. Nie wolicie zaczekać do rana?

Saul zastanawia się krótko i odpowiada:

– Moglibyśmy, chyba. W końcu w tej ciemności nikt daleko nie zajdzie, nie?

Daniel nie reaguje na prowokację.

– Macie namiot? – Udaje troskę.

– Mamy, ale ty masz, bracie, rację, robi się późno. Prześpijmy się w śpiworach, przy ogniu.

Daniel kiwa głową, chociaż Saul wcale nie prosił o pozwolenie.

Wieczór skończony. Ludzie idą spać. Trzech obcych



odchodzi w ciemność po swoje rzeczy.

– Co teraz? – pyta szeptem Sara.

– Zabieramy swoje rzeczy i spadamy – odpowiadam.

– Ale jest ciemno jak w grobie. Myślisz, że daleko zajdziemy?

– Nie wiem. Musimy tylko gdzieś się schować.

– Po ciemku?

Dlaczego ona nie może zrozumieć? Dlaczego się ich nie boi? Dlaczego chociaż raz nie może po prostu się ze mną zgodzić?

Mia znowu zaczyna kaszleć.

– Mia, przestań. Muszę pomyśleć – proszę ją.

– To nie jej wina. Zobacz, wracają. Ciii, Mia, ciii.

Sara rozpina kurtkę, wtula w siebie małą i kołysze.

– Iść – mówi cicho Mia. – Pan iść sobie.

Patrzemy, jak wszyscy trzej rozkładają śpiwory na ziemi przy ogniu. Mają też butelkę; szkło ze złocistym płynem odbija płomienie, kiedy ją sobie podają. Rozmawiają cicho, przyjacielsko, żartobliwie, jak ludzie, którzy dużo czasu spędzają razem.

Dygoczę, czuję dreszcz przebiegający po plecach. Zimno zaczyna być dokuczliwe. Kiedy oni wreszcie usną i będziemy mogli odejść?

Butelka jest prawie pusta, ogień zaczyna dogasać. Potem, nie odwracając się, ten z siwymi włosami, Saul, podnosi głos i woła w noc:

– Adam, dlaczego nie podejdziesz bliżej do ognia?! Tam musi być strasznie zimno!

## SARA

Czuję się tak, jakbyśmy zostali zapędzeni w róg, chociaż za nami nie ma ścian, tylko kilometry ciemnego i pustego lasu.

Facet musiał usłyszeć kaszel Mii.

Przynajmniej już nie będziemy się kłócić.

– Pomóż mi wstać – mówię do Adama.

Idziemy w stronę ogniska. Marty i Luke chowają się za mną.

Motocykliści odwracają się w naszą stronę. Najpierw się nie boję, ale im bliżej podchodzimy do ognia i do gapiących się na nas obcych facetów, tym bardziej mnie to niepokoi. Czuję na sobie ciemne oczy ich przywódcy. Jakby mnie dotykał. Mam ochotę go uderzyć.

Mia zaczyna płakać. Mocniej otulam ją kurtką, ale ona się kuli, wciska mi główkę pod pachę. Całe jej ciało trzęsie się od płaczu i kaszlu.

– Iść – powtarza przez łzy. – Pan iść.

– Skąd wiedzieliście, że tam jesteśmy? – pyta Adam. Saul przestaje mi się przyglądać, a do mnie dociera, że cały czas wstrzymywałam oddech.

– Wyczuwam cię.

Przez jedną chwilę mu wierzę – to diabeł, wampir, wilkołak. Ktoś – coś? – z nadludzkimi mocami.

Potem on zaczyna się śmiać.

– Mój promień wyłapał twojego czipa. – Klepie

latarkę wiszącą mu u paska. – To niezła zabawka. No i słyszałem, jak ta mała kaszle – dodaje. – Nie brzmi najlepiej.

– Nic jej nie jest – mówię. – Tylko muszę ją położyć.

– To twoja córka? – pyta Saul. Nie mówi do mnie, tylko do Adama, który ani tego nie potwierdza, ani niczego mu nie wyjaśnia. – Niech na nią spojrzę.

– Nie – protestuję.

Przytulam Mię mocniej, ale on już zdążył wstać i sięga po nią. Chwyta brzeg mojej kurtki i odchyła na bok. A teraz jego palce dotykają buzi małej, odwracają główkę w jego stronę. Kciukiem usiłuje otworzyć jej oko.

– Co ty...?! Przestań!

– Mama! – płacze Mia.

Patrzy na niego przerażonymi oczami, potem nabiera powietrza, wyrzuca rączki i nóżki, zaczyna histerycznie wrzeszczeć i kopać. Nigdy nie widziałam, żeby tak na kogoś reagowała.

– Zostaw ją! – teraz krzyczymy oboje z Adamem.

Saul nie przeprosza, odsuwa się tylko. Ale dalej się na nią gapi, a potem znowu się śmieje, tym ostrym, nienaturalnym dźwiękiem.

– Dziewczynka w lesie... – komentuje. – Hałaśliwa. Wygląda jak aniołek, ale wrzeszczy jak sam diabeł.

Nienawidzę go. Nienawidzę tego człowieka, który tak obcesowo dotyka dziecko i śmieje się, kiedy ono płacze. Nie mogę uwierzyć, że dotknął małej. Niedobrze mi.

– Boi się. Wystraszyłeś ją – mówię, usiłując uspokoić

Mię. – Chodź, Adam, idziemy.

Ale on się nie rusza.

– Zaraz przyjdę – odpowiada. Jego głos brzmi dziwnie.

– Adam? – pytam zdumiona.

Ale on patrzy na Saula, jakby reszta świata nie istniała. Jakbym ja nie istniała.

Zostawiam go tam.

Marty i Luke zasypiają natychmiast, ale uspokojenie Mii zajmuje mi wieki.

– Nie lubię pana. – Mała czka między szlochami.

– Ja też nie – przyznaję, głaszcząc ją po włosach. – Już się nim nie przejmuj. Czas spać.

– Mama śpiewa „Gwiazdkę”?

„Świeć, świeć, gwiazdko złota” to jej ulubiona piosenka. Mia kocha gwiazdy. To jedyne, co zyskaliśmy dzięki Chaosowi – czarne niebo nocą, pełne gwiazd, i srebrny księżyc, który znamy równie dobrze jak słońce.

Zaczynam śpiewać cichutko, tak żeby nie obudzić swoich braci.

Mia wyciąga rączki w górę. Otwiera i zaciska dłonie, żeby migotały jak gwiazdy. Potem wkłada kciuk do buzi i przewraca się na bok. Owijam ją kocem i wyslizguję się z namiotu, żeby usiąść na zewnątrz i czekać na Adama.

## ADAM

Stoimy, dwa metry od siebie, mierząc się wzrokiem. Facet ma białą bliznę nad lewym okiem. Chyba zaraz się zesram ze strachu, ale nie chcę, żeby on zobaczył, jak bardzo się boję. Dlatego zmuszam się, żeby stanąć pewnie na nogach i spojrzeć mu prosto w oczy. Kiedy to robię, jego numer jest jak cios. Niesamowite.

1622029.

Ale to nie data tak na mnie podziałała, tylko to, jak on umrze.

Jego śmierć jest niezwykła: ułamek sekundy bólu, desperacji, wściekłości i paniki. Nigdy nie czułem niczego takiego. Nie umiem tego wyjaśnić. To coś jakby śmierć z zewnątrz do środka, cała powierzchnia ciała wrzeszczy, z drapiącym, gryzącym, żrącym bólem wszędzie, a także śmierć ze środka na zewnątrz, każda komórka się zapada, wszystko zbiera się razem w białym punkcie agonii.

Chcę odwrócić wzrok, oderwać się od tego bólu, ale jest coś jeszcze. Jego numer migocze mi w głowie. Im bardziej staram się go uchwycić, tym bardziej tańczy i się rozmywa – pomieszane światło i ciemność. W jednej chwili jest, w drugiej go nie ma.

To wszystko – śmierć, migotanie – sprawia, że kręci mi się w głowie. Ziemia usuwa mi się spod nóg.

– Adam – mówi Saul. – Usiądź. Napij się.

– Dzięki – odpowiadam. – Ale nie. Nie piję. Tego.

Za to siadam. Nie mam wielkiego wyboru – moje nogi zamieniły się w galaretę.

Saul kiwa głową pozostałym dwóm; rozplývają się w ciemności.

– Nie było łatwo cię znaleźć – zaczyna.

Siada koło mnie, sięga po butelkę whisky i dopija resztkę płynu.

Skupiam się na oddychaniu, staram się kontrolować ogarniającą mnie panikę.

*Kim jest ten człowiek? Co to może być za śmierć?*

– Czemu mnie szukaliście? – odzywam się, a mój głos brzmi wyżej, niżbym chciał. – Czego ode mnie chcecie?

– Przyszedłem zabrać cię od tego wszystkiego.

Jakby jakaś dłoń zaciskała mi się na gardle. Mówiłem Sarze. Mówiłem jej. Chodzi im o mnie i chcą mnie stąd zabrać.

– Zabrać? Dokąd? Dlaczego?

– Pracujemy dla rządu. Chcemy postawić ten kraj z powrotem na nogi. Adam, potrzebujemy takich jak ty. Silnych ludzi. Ludzi, którzy umieją być przywódcami. Którzy mają dar.

To mnie trafiło.

– Dar – powtarzam, wypróbówując to słowo. Nikt nigdy nie mówił, że mam dar. – Ale rząd nie chce wiedzieć – przypominam mu. – Dwa lata temu próbowałem im powiedzieć, a oni usiłowali mnie zamknąć, uciszyć.

– Aresztowali cię.

– Tak.

– Za morderstwo.

– Ale ja tego nie zrobiłem! Wrobili mnie. Nikogo nie zabiłem.

Teraz naprawdę się boję. Kimkolwiek jest ten facet, skądkolwiek jest, dużo o mnie wie. Za dużo.

– To było wtedy. Teraz jest inaczej. Chcemy twojej pomocy – mówi.

– A co ja jeszcze mogę zrobić? Już raz wszystkim powiedziałem, że idzie koniec, i przyszedł.

– Ale to nie jest koniec, Adam – wyjaśnia. – To początek, początek nowego świata, w którym ludzi takich jak ty się słucha, szanuje, ceni. Możesz coś zmienić.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Co to ma znaczyć?

– Wcześniej ludzie cię słuchali. Zaczęli uciekać z Londynu. Więc znowu cię posłuchają. Możesz być symbolem. Kiedy przeczujesz niebezpieczeństwo, możesz ostrzec ludzi, żeby uciekli z miejsc, które zaleje powódź, z budynków, które się zawalą. Możesz doprowadzać dzieci do punktów żywienia. Adam, możesz pomóc. Możesz nam pomóc odbudować ten kraj.

Nie wierzę mu. Dlaczego ludzie, którzy przedtem usiłowali mnie uciszyć, dziś szukają u mnie pomocy?

– Długo trwało, zanim mnie znaleźliście. Mam czipa. Mogliście mnie odszukać w każdej chwili.

– Składamy infrastrukturę informacyjną z powrotem

do kupy Software, systemy. Mieliśmy drony, ale nie mogliśmy się z nimi komunikować. Teraz możemy. I mamy telefony, udało się uruchomić podstawową sieć. Po kolei składamy do kupy wszystko, tak jak było, ale potrzebujemy ludzi takich jak ty.

– Chcę pomóc ludziom, oczywiście, że tak, ale...

– Nie musisz żyć tak... – ciągnie, jakbym się w ogóle nie odzywał. – Nie musisz żyć tak jak ci tutaj, w namiotach, jak dzikusy. Twoje dzieci nie muszą być głodne ani zmarznięte. Nie muszą chorować.

– Co to ma znaczyć?

– Są miejsca z elektrycznością, ciepłem, jedzeniem, lekarstwami.

– W Anglii?

– W Anglii, Szkocji, Walii. Zostały tu i ówdzie resztki cywilizacji. Enklawy. Dla tych, którzy mogą coś dać.

– Miasta?

Wzrusza ramionami.

– Części miast, trochę budynków, wiejskie posiadłości, farmy. Miejsca, w których przewidywano, myślano parę kroków naprzód, planowano. Turbiny wiatrowe, piece na paliwo stałe, panele słoneczne. Niektóre przetrwały nietknięte. Inne udało się naprawić. – Uśmiecha się i rzuca pustą butelkę do ognia. – Adam, to będzie ciężka zima. Najcięższa od 2010 roku.

Wiem, że facet ma rację. W tym obozie jest co najmniej troje ludzi, którzy nie doczekają wiosny. Myślę o



Martym i Luke’u, o Mii i Sarze, o ostatnich dwóch latach wypełnionych tylko troską o przeżycie. Enklawy cywilizacji.

Myśl o dachu nad głową, o ciepłym i suchym miejscu, jest niemal bolesna.

– Co musiałbym zrobić? – pytam wprost.

Saul klepie mnie po plecach, jakbyśmy dobili targu.

– Odegrać swoją rolę, przyjacielu. Odegrać swoją rolę. Kładziemy fundamenty pod inne społeczeństwo, w którym nauka i intuicja pracują razem. Stare i nowe. Ludzie, którzy są wyjątkowi, ludzie jak ty, których nie rozumiano. My chcemy was zrozumieć.

Dar. Nie rozumiano. Zrozumieć.

Wiem, że starannie dobiera słowa, wykorzystuje je do manipulacji. Czuję, jak pociąga za odpowiednie sznurki, i to mi się nie podoba. Ale to dobre słowa. Od nich robi mi się lżej.

– Porozmawiaj o tym z Sarą – mówi Saul spokojnie.

– Porozmawiaj z nią teraz. Potem wróć i powiedz mi, co ona na to.

– Pewnie już śpi. Nie chcę jej budzić.

– To porozmawiaj z nią z samego rana. Będę tutaj. Wyobrażam sobie, jak tu siedzi całą noc. Czeka na moją odpowiedź.

I zadowoli go tylko jedna.

## SARA

Słyszę go, zanim go dostrzegam – gałązki pękają pod jego butami.

– Czego oni chcieli? – pytam, a w żołądku czuję kulę strachu.

– Chcą, żebym im pomógł, pomógł rządowi.

– Dlaczego ty?

– Przez mój... dar. Mogę zobaczyć, gdzie będą kłopoty, i zabrać stamtąd ludzi. Jak przed Chaosem.

– Adam, to ci sami ludzie, którzy wtedy chcieli cię powstrzymać. Co się zmieniło?

– Chyba po prostu zrozumieli, że mogę się przydać. Widzą we mnie przywódcę.

Dla mnie to brzmi jak lipa.

– Nie ufam im – przyznaję.

– Ja też nie. Ale mówią, że możemy z nimi pojechać gdzieś, gdzie jest ciepło i sucho, gdzie mają lekarzy, prąd, wszystko, czego nie mieliśmy przez te dwa lata. Sara, chciałaś gdzieś osiąść. Chciałaś znaleźć bezpieczne miejsce dla Marty'ego i Luke'a, i dla Mii, i dla nowego dziecka. Może to właśnie to.

– Myślałam, że znaleźliśmy je tutaj.

– Tutaj to też namiot w lesie, nie? Saul mówi o czymś innym. Powrót do cywilizacji. Widać, że ci trzej mieli dość jedzenia. I sprzęt mają niezły. Przyszli z jakiegoś porządnego miejsca.

Z porządnego miejsca. Moje wspomnienia przenoszą mnie z powrotem do domu rodziców, przed trzęsieniem ziemi, zanim uciekłam. Pod moimi bosymi stopami jest gruby, miękki dywan. Zanurzam się w wolno stojącej wannie pełnej bąbelków. Oglądam hity z Hollywood na ekranie wielkości ściany. Mam wszystko... Inni marzą o takim życiu. Ale ono jest przegniłe. Moja rodzina była zatruta, a dom był piękną klatką, w której mój ojciec mógł robić, co chciał. I robił – noc po nocy.

– Adam, dom to ludzie. Sam tak mówiłeś. Ten facet to bandzior. Widziałeś, co zrobił Mii.

– Ale możemy uratować Mię i twoich braci przed życiem jak zwierzęta. Zastanów się nad tym. Regularne jedzenie, dach nad głową...

– Nie wiem. Nie ufam mu.

– Nie słyszałaś, co proponuje. Pogadaj z nim rano. Zobaczysz.

Patrzę na niego uważnie. Coś z nim jest nie tak. Ucieka wzrokiem.

Nie jest ze mną szczery.

## ADAM

Jak tylko robi się jasno, zostawiamy chłopców i Mię – wszyscy śpią – i idziemy do Saula. On nadal siedzi przy ogniu, czeka, jak zapowiedział. Jego kumpli nie ma; ich śpiwory i strzelby zniknęły.

Zaczyna się rozmowa.

Sara bombarduje faceta pytaniami. Jest jak rottweiler, przypomina siebie taką, jaka była, kiedy się poznaliśmy. Robi wrażenie. Ale widzę, że Saul nie ma cierpliwości. Nie chce jej odpowiadać, nie chce nam zdradzić, dokąd właściwie byśmy pojechali. Mówi tylko, że na południe, a potem w końcu pada nazwa „Cotswolds”. Nie mam pojęcia, co to w ogóle jest Cotswolds.

– To musi być dobre osiemdziesiąt kilometrów stąd – mówi Sara. Najwyraźniej wie więcej niż ja. – Jak się tam dostaniemy?

– Mamy niezłe motory. Droga zajmie godzinę, nie więcej.

– Nas jest pięcioro, a was trzech. A poza tym Mia nie może jechać motorem, a moim zdaniem chłopcy też nie powinni, a ja nie... – urywa w pół zdania.

Dociera do mnie, że ona nie chce mu powiedzieć o dziecku. Ale szczerzej zaciąga poły kurtki, a to jeszcze bardziej zwraca uwagę na jej brzuch, zamiast go ukryć.

Saul przygląda się jej uważnie i już wie.

– Masz rację, Saro – stwierdza. – Osiem osób nie

po-jedzie na trzech motorach. Może być tylko kierowca i jeden pasażer. Czyli trzech pasażerów: Adam, ty i Mia, jeśli chcesz.

Opada jej szczęka.

– Nie – sprzeciwia się natychmiast. – Nigdy. Nie zostawię swoich braci. Adam, powiedz mu. Powiedz mu!

– To nie czas na egoizm. Czas myśleć o tym, co można zrobić dla innych – oznajmia gładko Saul.

– Mówisz, że jestem egoistką, bo zależy mi na rodzinie?! – Sara jest naprawdę wściekła.

– Nie, ale tu chodzi o coś większego. Wiem, że Adam jest dla ciebie bardzo ważny, ale jest też ważny dla nas wszystkich.

Oboje odwracają się, żeby na mnie spojrzeć. A ja myślę o ciepłych łózkach. O gorącym jedzeniu. O pomaganiu ludziom, ostrzeganiu o niebezpieczeństwie wyczytanym z numerów, jak przedtem. Ale wiem, że Sara ma rację. Teraz muszę być z nią, a ona bez chłopców nigdzie się nie ruszy.

– Nie tym razem, Saul – decyduję. – Zostaniemy tu na zimę, wszyscy.

Kładę ręce na ramionach Sary i czuję, jak ustępuje z nich napięcie.

– To tyle? – pyta facet. – To twoje ostatnie słowo?

W jego głosie słyszę ostrzeżenie, ale teraz to, co mówi, jest już nieważne. Podjąłem decyzję i wiem, że jest słuszna.

– Tak – mówię twardo. – Ostatnie.

Saul zaciska szczęki, a w jego oczach pojawia się groźny błysk. Rozgląda się szybko, jakby sprawdzał, kto gdzie jest. Potem odwraca się z powrotem do mnie.

– W takim razie nie dajesz mi wyboru.

Rzuca się w moją stronę, chwyta za nadgarstki, obraca mnie i wykręca mi rękę za plecy.

– Adamie Dawsonie, zostałeś aresztowany. Jesteś oskarżony o morderstwo, nie pamiętasz?

Sara, odepchnięta na bok, ledwo łapie równowagę.

Wszystko przebiega tak szybko, że nie mam czasu zareagować. Saul szarpie mnie mocno za ramię. Mam wrażenie, że ręka zaraz wyskoczy mi ze stawu.

– Sukinsyn! – dyszę.

On szarpie jeszcze mocniej.

– Puść go – słyszymy nagle.

Podnoszę głowę i patrzę prosto w lufę strzelby, ale ona nie jest wycelowana we mnie. Daniel trzyma na muszce tego dupka.

– Puść go – powtarza; jest spokojny, nie odrywa wzroku od przybysza.

– Działam w imieniu rządu – prycha Saul. – Nie możesz do mnie strzelać.

– Mam gdzieś twój rząd. To mój obóz. Ciebie tu nie chcemy. Puść Adama i wynoś się stąd.

Przez kilka sekund panuje cisza. Daniel i Saul gapią się na siebie. Nie wiem, który pierwszy pęknie. Słyszę tylko, jak krew pulsuje mi w uszach, gdy Saul zaciska rękę na moim nadgarstku. Potem puszcza. Moje ramię

opada bezwładnie. Potykając się, odsuwam się od tego sukinsyna o kilka kroków, a potem odwracam twarzą do niego. Mam ochotę dać mu w mordę.

– Starczy, Adam. Odsuń się od niego. – Daniel ma wszystko pod kontrolą. Jak na takiego luzaka, to całkiem niezły z niego szeryf z Dzikiego Zachodu. – Dobra. A teraz ty, Saul, spadaj stąd i nie wracaj. Jeśli jeszcze kiedyś cię tu zobaczę, już po tobie.

Facet w czarnych skórach wycofuje się z uniesionymi rękami. Jego twarz jest jak chmura gradowa. Kiedy na niego patrzę, robi mi się zimno. To nie jest ktoś, kto przebaczy i zapomni.

Dwadzieścia metrów od nas odwraca się i odchodzi w las. Chwilę potem słyszymy silniki motocykli.

Odwracam się do Daniela.

– Dzięki, stary – mówię.

– Nie ma za co. Adam, jesteś legendą. Ten gość, Saul, chyba chce cię po prostu zneutralizować.

– Co? – Nie rozumiem tego.

– Wyjąć cię z obiegu, zabrać od ludzi, którzy cię potrzebują.

– A kto mnie potrzebuje?

Daniel wygląda na zaskoczonego.

– My wszyscy. Co do tego miał rację, jesteś dla nas ważny. I zawsze będziesz tu miał przyjaciół. Zawsze.

Patrzę mu w oczy. 3152066. Nie ma żadnego „zawsze”, dla nikogo, jednak rozumiem, co on chce powiedzieć, i doceniam to.

– Dzięki – mówię jeszcze raz.

Chcę mu przybić piątkę, ale on łapie mnie za rękę, przyciąga i obejmuje w niedźwiedzim uścisku. Mrugam szybko, usiłując powstrzymać łzy. Sara miała rację, że mi o tym przypomniała. To ludzie się liczą.

– Jak myślisz, co oni teraz zrobią? – pyta Daniel.

– Nie wiem. Raczej nie odpuszczą. Chyba powinniśmy odejść, przestać zawracać wam głowę.

– Nie, Adam. Zostańcie. Jesteście tu mile widziani. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że przyjdziecie.

– Sara? – zwracam się do niej.

Ona stoi obok mnie, cicha i blada, niemal jak duch.

– Nie lubię broni – mówi.

Obejmuję ją ramieniem i uspokajam:

– Już sobie poszli. Już wszystko dobrze.

– Teraz sobie poszli. Ale wrócą.

Idziemy przez obóz do naszego namiotu. Po napiętej atmosferze ostatnich dwunastu godzin wydaje się, że całe to miejsce oddycha z ulgą. Ludzie zajmują się swoimi ogniskami, słuchają silników odjeżdżających motorów.

A potem słyszę Marty'ego i Luke'a. Krzyczą.

Sara i ja ruszamy biegiem.

Najpierw widzę Luke'a leżącego przed namiotem i trzymającego się za twarz. Potem Marty biegnie w naszą stronę z buzią zalaną łzami. W końcu zauważam, co się stało z namiotem: tył jest rozcięty od góry do dołu.

– Mia... Mia... – tylko tyle Marty jest w stanie powiedzieć. Ledwo oddycha.



Ruszam biegiem i wpadam do środka.  
Posłanie Mii jest puste. Nie ma jej.

## SARA

Zabrali ją. Przez chwilę jestem jak sparaliżowana. Patrzę ponad Adamem na tę wielką dziurę w namiocie, której brzegi falują lekko.

Nie było nas tylko kilka minut. Ktoś musiał obserwować, czekać. Ludzie Saula. Podczas gdy my rozmawialiśmy z nim...

– Marty, powiedz mi. Co widziałeś? Co się stało? – dopytuję gorączkowo.

Chwytam go za ramiona. Brat usiłuje mi się wyrwać, nadal płacze. Potrząsam nim.

– Co widziałeś?! – krzyczę.

– To byli ci panowie – szłocha. – Jeden... jeden uderzył Luke’a w twarz. Drugi zabrał Mię... Nie krzycz na mnie. To nie moja wina.

To...

Adam zrywa się na nogi i biegnie w las.

Ja przytulam Marty’ego i mówię:

– Przepraszam. Przepraszam, Marty. Nie chciałam... Zostań tutaj i zajmij się Lukiem. Niedługo wrócę.

I od razu też ruszam biegiem, przeciskając się przez oszronione krzaki, potykając, ślizgając, próbując dogonić Adama, który kieruje się w stronę drogi.

Słyszę warkot silników. Jeszcze nie wyjechali z lasu. Może nie jest za późno.

Pędzę spory kawałek z tyłu za Adamem. On jest taki

szybki. Ja też kiedyś byłam, ale już nie, nie tak – brzuch zaburza równowagę. Lecz teraz mam w żyłach czystą adrenalinę. Muszę się dostać na szosę. Muszę.

Docieram do drogi ułamek sekundy przed motocyklistami. Odkręcają się przodem do nas: jeden, drugi, trzeci. Widzę Mię na drugim motorze. Jest zawinięta w swój pasiasty kocyk, a trzyma ją ten wielki z długimi włosami, mocno obejmując w pasie. Mała się szarpie.

Serce mi zamiera.

– Mia! – krzyczę, a ona na chwilę przestaje się wyrywać i podnosi wzrok. Jest przerażona. – Mia!

Adam pędzi w stronę motorów, usiłując zablokować im drogę. To szaleństwo. Te maszyny są ogromne – wielkie kawały wściekłego metalu.

Saul i jego kumple wcale się nami nie przejmują. Zatrzymują się na sekundę, nie więcej, a potem ruszają naprzód, prosto na nas.

Nie chcę, żeby motor z Mią się rozbił, ale nie mogę pozwolić im odjechać, nie próbując ich zatrzymać.

Saul mija nas pierwszy. Adam zeskakuje mu z drogi. Wpatruje się w Mię na drugim motorze. Próbuje złapać za jego kierownicę. Maszyna wymija go, odbijając w moją stronę. Lusterko uderza mnie w klatkę piersiową, padam na plecy. Trzeci motor omija mnie o włos i wszystkie odjeżdżają, przyśpieszając ostro.

– Nie! Nie! Mia! – wołam rozpaczliwie.

Wtedy obok siebie słyszę potężny huk. Potem jeszcze

jeden i jeszcze.

To Daniel. Strzela do nich. Jeden z motorów wpada w poślizg, przewraca się i sunie bezwładnie po szosie. Coś leci w bok.

– Przestań! Przestań! – wrzeszczę.

Podnoszę się, zaciskając zęby z bólu, i rzucam na Daniela. Obiema rękami łapię lufę i kieruję ją w niebo.

– Celuję w opony! – krzyczy Dan.

– Mają Mię! Przestań! – drę się, a wtedy on opuszcza strzelbę.

Pozostałe dwa motory zwalniają – dotarło do nich, że jeden leży. Stąd nie widzę, który to. Czy przewrócił się drugi motor? Ten z Mią?

Adam, Daniel i ja jednocześnie zaczynamy biec. Czuję straszny ból, ale się nie zatrzymuję.

Jedna z maszyn zawraca, druga jedzie dalej. Wyciągam nogi, podtrzymuję brzuch rękami, siłą woli zmuszając się do szybszego biegu. Mogę myśleć tylko o Mii.

Motor znajdzie się przy przewróconym pojeździe szybciej niż my. Jestem jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, kiedy hamuje z piskiem.

Kierowca zsiada. To Saul.

Biegnać, krzyczę:

– Mia, Mia, Mia!

Ale on mnie nie słyszy albo ma to gdzieś. Kuca, ogląda ciało leżące na ziemi. Po asfalcie rozlewa się kałuża ciemnego płynu.

Jedno ciało. To ten żylasty.

Mia jest na drugim motorze, z długowłosym. Coraz dalej.

– Saul! Saul! Proszę... – szlocham.

Potykam się i lecę w jego stronę. Ledwie łapię oddech.

Zero reakcji. On nawet nie odwraca głowy. Nie patrzy też ani na Adama, ani na Daniela. Zamiast tego wstaje, wyciąga zza paska rewolwer, celuje w pierś leżącego i strzela trzy razy. Ciało drga od siły uderzenia kul.

Stajemy jak wryci, zdumieni, przerażeni. Wydaje się, że dopiero wtedy Saul zauważa Adama, Daniela i mnie. Podnosi wzrok i kieruje na nas broń. Całe powietrze ucieka mi z płuc.

– Rzuć strzelbę – rozkazuje Saul. – Podnieście ręce i nie opuszczajcie.

Daniel odrzuca strzelbę. Robimy, co nam każe.

Oczy Saula są zimne i stalowe. Celuje w Daniela.

– Strzelałeś do mnie i do moich ludzi – mówi; jest niezwykle spokojny.

Pociąga za spust.

Dan pada na ziemię, wrzeszcząc i chwytając się za kolano.

Ja też krzyczę. Lufa przesuwa się w moją stronę.

– Zamknij się, Sara.

Teraz może być moja kolej. Nogi trzęsą mi się jak galareta.

– Adam, postaw ten motor – warczy Saul.

– Co? – Adam jest w szoku i patrzy tępo.

– Podnieś ten motor. Już. Zrób to.

Trzymając ręce nad głową, Adam podchodzi do motocykla, którego silnik jest wciąż włączony. Waha się.

– Postaw go!

Adam usiłuje podnieść motor. To olbrzymia maszyna i nie wychodzi mu za pierwszym razem ani za drugim. Saul patrzy na niego z ledwie skrywaną pogardą.

– Umiesz jeździć? – pyta.

– Nigdy nie próbowałem.

– Oprzyj motocykl na podpórce. Kopnij ją, to wyjdzie. A teraz weź jego kask.

– Co? – Adam jest zaskoczony.

– Słyszałeś.

Adam gapi się na trupa leżącego na ziemi i na czarną kałużę krwi wokół niego.

– Nie chcę kasku – odpowiada.

– To nie dla ciebie, tylko dla Sary – rzuca Saul.

Na dźwięk mojego imienia zamiera mi serce. Ja też mam jechać. Brzuch mi się ściska, skóra na dziecku wewnątrz mnie jest napięta jak na bębnie.

– Nie – udaje mi się wychrypieć. – Nie na motorze. – Nie chcę tego powiedzieć, ale muszę. – Jestem w ciąży. Nie każ mi jeździć na motorze.

– Będziesz siedzieć za mną. – Saul jest niewzruszony, nieludzki.

– Nie jadę. Nie możesz mnie zmusić.

On celuje z rewolweru prosto we mnie.

– Nie? – pyta drwiąco. – Zamknij się i nałóż ten kask!  
Adam przykuca obok żyłastego. Unosi jego bezwładną głowę i drżącymi rękami rozpina pasek. Kask nie schodzi, więc szarpie. Głowa mężczyzny wali o asfalt.

– Boże. O Boże – mówi z przerażeniem Adam.

– Nie przejmuj się – stwierdza Saul. – Niczego nie poczuł. Daj kask Sarze i wsiadaj na motor.

Na myśl o tym, że miałabym założyć kask martwego człowieka, że jego krew dostanie się w moje włosy, robi mi się niedobrze.

– Musisz to zrobić – szepcze do mnie Adam. – Tak będzie bezpieczniej. Bądź dzielna – mówi i wkłada mi kask na głowę.

Saul wsiada na swój motor i lufą poklepuje siedzenie za sobą.

– A chłopcy? Co z moimi braćmi? – pytam w panice.

– Właż, Sara – warczy Saul, znowu unosząc rewolwer. – Więcej nie poproszę.

Adam pomaga mi wsiąść na motocykl Saula. Ostatni raz patrzę na Daniela. Oczy mu się zamykają, krew z jego nogi spływa na drogę.

Marty, Luke... Wszystko dzieje się za szybko. Nie ma czasu, żeby coś im powiedzieć. Muszę mieć nadzieję, że się nimi zajmą. Ktoś się nimi na pewno zaopiekuje.

– Obejmij mnie w pasie – rzuca Saul.

Jaki mam wybór? Wyciągam ręce i chwytam się jego skórzanej kurtki. Od dotykania go robi mi się niedobrze.

Adam wdrapuje się na swój motor.

– Jedziemy! – ponagla Saul. – Musimy nadgonić. Jazda! Lewą nogą wrzucasz pierwszy bieg. Gaz jest na prawej stronie kierownicy, przekręć, to pojedzie szybciej. Dźwignia hamulca też po prawej. Sprzęgło masz z lewej. Połapiesz się – instruuje Adama, patrząc, jak on bezradnie maca kierownicę. – Kopnij lewą nogą i przekręć gaz – powtarza.

Wtedy motocykl szarpie do przodu, a Adam prawie spada. Jakoś zatrzymuje maszynę i próbuje znowu. Tym razem idzie mu płynniej. Wyrywa do przodu. Przyglądam się znad ramienia kierowcy, jak Adam jedzie slalomem, usiłując utrzymać równowagę.

Teraz Saul uruchamia silnik, a ja jestem przerażona jak nigdy. Hałas, zapach, wibracje są przytłaczające. Mocniej chwytam się go w pasie. Muszę.

Nagle ruszamy do przodu, a mój tyłek zsuwa się do tyłu. Wbijam palce w ciało Saula, a świat dookoła nas się rozmazuje.

Kim jest ten człowiek, którego tak kurczowo się trzymam? Ten morderca, który zabija z zimną krwią? I czego od nas chce?



## ADAM

Nigdy nie jeździłem na niczym większym od skutera, a to jest olbrzymia, napakowana maszyna. Saul i jego kumpel wyglądają, jakby się urodzili na motorach, w tych swoich czarnych skórach, rękawicach i kaskach jak hełmy nazistów. Ja nie mam niczego, co by mnie chroniło. Pędzę na motocyklu w samej bluzie z kapturem i džinsach, jak jakiś dzieciak na karuzeli, tylko że to jest bardziej przerażające niż jakakolwiek atrakcja wesołego miasteczka.

Jestem tak spanikowany, że ledwo oddycham. Kurde, jeśli spadnę, będzie ze mnie miazga. Na dodatek cała droga jest dziurawa i popękana, więc staram się kierować najlepiej jak mogę, ale w głowie wciąż widzę tego faceta leżącego w kałuży krwi.

Nie myśl o tym. Skup się.

Bezgłośnie powtarzam sobie zasady kierowania motocyklem: z prawej hamulec i gaz, po lewej sprzęgło. Ze sprzęgłem sobie nie radzę: kiedy dodaję gazu, silnik wyje coraz wyżej i wyżej, jakby osa śpiewała gamy. Próbuję zmienić bieg, ale mi nie idzie. Silnik szarpie i rzuca, ale nic się nie dzieje. Motor wyje, aż mózg obija mi się o czaszkę. Próbuję znowu i tym razem sprzęgło zaskakuje, a ryk cichnie.

Dam radę. Muszę.

Teraz słyszę Saula jadącego za mną, ale jeszcze nie

widzę przed sobą pierwszego motocykla. Czy Mii nic nie jest? Przedtem kopała i szarpała się – mam nadzieję, że teraz się nie rzuca, nie wyrywa i że nic jej nie grozi podczas jazdy. Muszę ich dogonić i ją odzyskać. Może ona i ma jakieś dziwne moce, ale to przecież tylko dziecko. Dziewczynka Sary, która mówi do mnie „tato”.

Znowu dodaję gazu i motor wyrywa do przodu. Po dwóch latach chodzenia piechotą podróżowanie w takim tempie to niezły kop. Gdybym tak koszmarnie się nie bał o Mię i Sarę, może by mi się nawet podobało. Świat wygląda inaczej z siodełka motocykla. Zatracają się szczegóły, kontury rozmywają, ale za to zmysły wyostrzają. Czuje się wiatr na twarzy, zapach oleju w nozdrzach, wibracje silnika w rękach i nogach.

Wrzucam kolejny bieg, przyśpieszam i nareszcie dostrzegam motor przed nami. Tak, doganiam go.

Ale i ryk maszyny Saula robi się głośniejszy. Obracam się, żeby zobaczyć, jak jest daleko. Wtedy motor przechyla się pode mną i skręca w poprzek drogi. Cholera! Odchylam się w przeciwną stronę i prostuję kierownicę, co grozi przechyłem na drugi bok. Siłuję się z motocyklem, aż znowu łapię równowagę.

Saul jest tylko kilka metrów za mną.

Znowu myślę o tym, jak strzelił do kumpla leżącego na ziemi. Bang, bang, bang. Tak po prostu. Widziałem już różne rzeczy – złe rzeczy – zwłaszcza podczas Chaosu, kiedy wydawało się, że wszystkie zasady przestały obowiązywać i każdy troszczył się tylko o siebie.

Widziałem bójki. Widziałem, jak ludzie rzucają się na siebie z nożami. Ale nigdy dotąd nie widziałem zabójstwa dokonanego z tak zimną krwią. Jakby Saul chciał dobić zwierzę. A kiedy potem wycelował w Daniela...

Ale numer Dana to 2066. Nic mu nie będzie, jeżeli tylko numer się nie zmieni. Jeżeli, jeżeli...

Teraz myślę też o numerze Saula, o tym, jak migocze i się rozmywa. Jak Mii.

*Jak Mii. Jak Mii.*

To mi wciąż siedzi w głowie.

Motor Saula zrównuje się z moim. Sara pochyla się naprzód, trzymając gościa w pasie. Jest blada jak prześcieradło, zaciska zęby tak mocno, że kość szczękowa niemal przebija jej skórę. Nie wiem, ile jeszcze wytrzyma. Saul podnosi jedną rękę z kierownicy i saltuje mi drwiąco. Nasze spojrzenia się spotykają i znowu dostrzegam jego migoczący numer.

*Jak Mii.*

Odrywam wzrok, ale jest już za późno.

Po mojej stronie drogi jest pęknięcie w asfalcie. Przednie koło wpada prosto w dziurę, a potem skręca w bok. Szarpnięcie wyrywa mi kierownicę z rąk i nagle lecę w powietrzu, stopy mam nad głową.

Ostatnie, co słyszę, to krzyk Sary.

## SARA

Od początku nie wyglądało na to, żeby Adam panował nad tą ogromną maszyną. Patrzyłam nad ramieniem Saula, jak się męczy z motorem, usiłuje utrzymać równowagę. Wypadek był tylko kwestią czasu.

A teraz się zdarzył.

Ciało Adama nie może się sprzeciwić prawom fizyki. Szybkość, siła, rozpęd...

Ląduje sześć czy siedem metrów od motocykla, na wznak; jego ręce i nogi uderzają o ziemię ułamek sekundy później. Wokół niego padają jak deszcz kawałki maszyny. A potem nic. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku, tylko nasz silnik i mój krzyk.

Uderzam się o plecy Saula, kiedy ostro hamuje.

– Zsiadaj – rozkazuje, ale ja jestem już na ziemi i dotykam twarzy Adama, jeszcze zanim Saul oparł motor na podpórcie.

– Adam! Adam, słyszysz mnie?!

Ma zamknięte oczy. Jest nieprzytomny.

– Odsuń się – warczy Saul. – No, rusz się! – Brutalnie odpycha mnie na bok i kładzie palce na szyi Adama. – Jest puls. – Przesuwa dłoń tuż przed nos i usta Adama. – I oddycha.

W jego głosie brzmi taka ulga, że to niemal dziwne. Facet sięga do kieszeni kurtki i wyciąga telefon. Od dwóch lat żadnego nie widziałam.

– Mam rannego – zgłasza komuś. – Jesteśmy na A46, na północ od skrzyżowania z M4. Wyślijcie drona i namierzcie mnie. Potrzebuję karetki. Natychmiast.

Kończy rozmowę i znowu zajmuje się Adamem.

– Ekipa będzie za dwadzieścia minut – mówi, niemal sam do siebie. Jakby mnie tu nie było. – Sprawdzą mu kark i cały kręgosłup. Funkcje mózgowe.

Kark, kręgosłup, funkcje mózgowe. Boże, jest źle. Bardzo, bardzo źle.

Dwadzieścia minut.

Każda sekunda wydaje się trwać godzinę.

Przyglądam się twarzy Adama, jego palcom, stopom, wypatrując najmniejszego ruchu, najmniejszego znaku. Jednak nic nie dostrzegam. Wygląda tak, jakby spał, ale przecież wiem, że zwykle podczas snu jest niespokojny, tak samo jak na jawie. Jego nogi podrygują, mruczy i mamrocze, przewraca się to na jeden bok, to na drugi. Teraz jest całkowicie nieruchomy.

Saul chodzi tam i z powrotem, patrzy w dół drogi. Ja nie odstępuję Adama ani na sekundę.

Karetką – z napędem na cztery koła – nie informuje o swojej obecności syreną. Nie ma takiej potrzeby. Od Chaosu na drogach nie ma samochodów. Z ambulansu wyskakuje czterech ludzi. Zasypują Saula pytaniami – co, kiedy, jak – a jednocześnie pracują nad Adamem.

– Czy on...? – próbuję wykrztusić. – Czy on będzie...?

Nikt mnie nie słyszy. Wypychają mnie poza swój krąg, mogę tylko zaglądać w przerwy między

ratownikami. Mocują mu na szyi kołnierz ortopedyczny, a potem przekładają ciało na nosze.

– Mogę pojechać z nim karetką? Proszę – zwracam się do nich.

Znowu mnie ignorują.

– Wsiadaj na motor – mówi krótko Saul. Odzywa się do mnie po raz pierwszy od wypadku. – Będziemy na miejscu przed nimi.

Motor. Nie mam siły. Nogi mnie bołą. I boli mnie tam, gdzie uderzyło lusterko drugiego motoru.

– Proszę – powtarzam błagalnie.

Saul ledwo na mnie patrzy.

– Możesz wsiąść na motor albo cię tu zostawię. Mnie to bez różnicy. Zabrałem cię tylko po to, żeby Adam pojechał. Może się jeszcze przydasz, chociaż wątpię.

W tej chwili dociera do mnie, że dla tego człowieka jestem niczym. Dosłownie niczym. Zostawiłby mnie przy drodze, na pustkowiu, nawet się nie zastanawiając. I to w sytuacji gdy mój chłopak jest w karetce, córka porwana, a ja w ciąży.

Czuję się otępiała, jakbym mogła tylko patrzeć, podczas gdy wszystko wokół wymyka się spod kontroli.

Bez słowa wsiadam na motocykl.

Ruszamy przed karetką. Przejeżdżamy kładką nad autostradą. Trzy lata temu byłby tu korek. Dziś wzdłuż pobocza z jednej strony ciągnie się rząd namiotów, a z drugiej zatrzymało się dwoje jeźdźców. Droga biegnie między lekko pofalowanymi polami. Mijamy

drogowskazy na Chippenham, Corsham i Bath. Zastanawiam się, czy jedziemy do któregoś z tych miast, kiedy Saul zaczyna hamować.

Nie rozumiem. Przecież tutaj niczego nie ma, jedynie bita droga prowadząca do nieciekawie wyglądającego wzgórza. Spodziewam się, że można nią dotrzeć na samą górę albo objechać wzniesienie. Ale nie. Biegnie prosto.

I wtedy to dostrzegam: wielkie metalowe drzwi w zboczu wzgórza. Po obu stronach stoi dwóch mężczyzn ubranych w mundury, uzbrojonych w takie same strzelby, jakie mają Saul i jego ludzie.

Bunkier.

Zatrzymujemy się przy masywnych wrotach. Mundurowi salutują, jeden z nich odciąga zasuwę i otwiera potężne drzwi.

Nie chcę zostać tam zagrzebana, zamknięta bez dostępu do światła i świeżego powietrza. Nie mogę.

– Tam jest Mia? – mówię do pleców Saula.

On nie zadaje sobie trudu, żeby mi odpowiedzieć. Wyłącza silnik i schodzi z motoru.

– Zsiadaj – rzuca do mnie.

Nie ruszam się. Nie chcę wchodzić do środka.

– Saro, tracę cierpliwość – syczy Saul.

Potem, zanim mogę cokolwiek odpowiedzieć, chwytam mnie jednym ramieniem w pasie i ściąga z motoru. Zataczam się, kiedy moje stopy lądują na ziemi.

– Możesz dać mi chwilę? – pytam. – Muszę tylko rozprostować nogi...

– Rozprostujesz w środku – ucina.

Patrzę na wejście przed nami – prostokąt światła w zboczu wzgórza, jasny i pusty korytarz długości jakichś dwudziestu metrów – i wtedy naprawdę zaczynam panikować. Oddech grzęźnie mi w gardle, na całym ciele mam gęsią skórę, włosy stają mi dęba.

Jeśli wejdę, nigdy się nie wydostanę.

– Mia jest tam, w środku? – pytam znowu.

Saul staje na chwilę, jakby się zastanawiał, czy ta informacja może się do czegoś przydać – jemu.

– Jest tutaj – odpowiada w końcu.

Czy mówi prawdę? Nie mogę tego wiedzieć. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Korytarz jest pusty, nie licząc paru drewnianych krzeseł stojących pod ścianami. Sztuczne promienie jarzeniówek na suficie rażą moje oczy.

Na końcu korytarza jest metalowa kratka, a za nią coś, co wygląda na drzwi windy. Idę za Saulem do kraty. Zanim wciśnie przycisk na ścianie, już słyszę zgrzyty i skrzypienie. Po chwili winda zatrzymuje się ze stukotem. Drzwi się rozsuwają i odsłaniają grupkę ludzi w białych fartuchach, razem z kolejnym strażnikiem w mundurze. Saul odciąga kratę.

Ci w białych fartuchach przeciskają się koło nas pośpiesznie, kierując się do drzwi bunkra.

– Adam Dawson powinien być za pięć minut – rzuca Saul do jednego z nich.

Mężczyzna w tweedowej marynarce pod fartuchem



tylko kiwa głową. Żaden z pozostałych nawet na mnie nie patrzy. Jakbym nagle stała się niewidzialna.

Wchodzę do windy. Jest wielka, spokojnie pomieściłaby dwudziestu ludzi. Ale to przedpotopowy model – panel kontrolny nie ma rzędu przycisków, tylko retro cyferblat z metalową rączką. Słyszę, jak za mną zamyka się krata, i odwracam głowę.

Saul został po drugiej stronie.

– To jest Sara – informuje strażnika. – Ja zaczekam na Adama. To on jest ważny. – Jego przeszywające czarne oczy zwracają się ku mnie. Dostrzegam w nich iskierkę drwiny. – Nie martw się, Sara. To trzydzieści metrów pod ziemią. Najbezpieczniejsze miejsce w Anglii. Tylko jedno wyjście, jedno wejście.

– Chcę zobaczyć Mię – mówię. – I Adama.

– Zobaczysz – odpowiada zdawkowo i odwraca się do mnie plecami.

Zostałam odprawiona. Jestem nieważna.

Strażnik zamyka drzwi windy i przekręca rączkę na pozycję „W dół”. Cała kabina dygocze, mój żołądek wykonuje salto. Zaczynamy zapadać się pod ziemię.

Co to za miejsce, do diabła?

## ADAM

Słyszę jakieś głosy.

– Mamy ruch gałek... Budzi się...

O kim oni mówią?

– Adam! Adam, słyszysz mnie?!

Teraz krzyczą na jakiegoś Adama. Żal mi biedaka, kimkolwiek jest, skoro tak na niego wrzeszczą.

Otwieram trochę oczy, ale światło jest tak jasne, że zaraz je zamykam.

– Widzieliście? Wrócił. Adam! Adam!

Ponownie otwieram oczy, twarze zaczynają się wyostrzać. Powinienem znać tych ludzi? Patrzą od jednego do drugiego. To twarze z oczami i nosami, ustami i numerami, ale nie mam pojęcia, kim są. Ani kim jestem ja. Ani gdzie jestem. Wiem tylko, że żyję i oddycham.

*Co się stało?*

Jeden z nich mówi do mnie. Twarz taka, jakby ją rozkwaśła winda. 8112034. Koło pięćdziesiątki, tweedowa marynarka pod białym fartuchem. Włosy ma za brązowe, ani śladu siwizny, przedziałek z boku, opadają z obu stron na jego policzki.

– Adam, jeśli mnie rozumiesz, zamrugaj.

Rozumiem go, tylko nie jestem pewien, czy mam na imię Adam, ale i tak mrugam. Po jego okrągłej twarzy przebiega fala podniecenia.

– Dobrze – stwierdza. – A mógłbyś teraz spróbować

ścisnąć moją rękę?

Spoglądam na swoje ciało ponad wielkim okrągłym kołnierzem wokół mojej szyi. Facet trzyma mnie za lewą rękę. Cholera, w ogóle go nie kojarzę. A może to mój tata czy ktoś taki?

Jego pulchne palce niemal zgniatają moje.

– Czujesz to? Możesz ścisnąć moją dłoń? – pyta.

Ściskam.

– Znakomicie.

Obmacuje moje ciało. Ramiona, ręce, nogi i stopy – wszystko działa.

– Niesamowite – ocenia.

Nie znam go, ale jestem zadowolony, że on jest zadowolony. Zaczynam się odprężyć.

– Jaki mam numer, Adam?

Pyta o to całkiem niedbale, rzuca to pytanie tak samo jak inne, ale ono nie jest takie samo. Odprężenie znika. W mojej głowie rozlega się sygnał alarmowy. I nagle słyszę inny głos. Ale to nie jest nikt z tego pokoju. Ten głos jest w mojej głowie.

*Nie wolno ci mówić, Adam. Nikomu. Nigdy.*

– Nie wiem – szepczę.

Tweedowa marynara pochyla się nade mną.

– Nie wiesz? Na pewno? Jaki mam numer, Adam?

– Wystarczy. Zostaw go, Newsome. Weźmy go na dół. Musi odpocząć. – To mówi inny głos, głęboki i ostry.

Przesuwam wzrok. Po drugiej stronie łóżka stoi inny mężczyzna. Ma krótko ostrzyżone siwawe włosy i bliznę

nad lewym okiem. Jego numer migocze, kiedy próbuję go złapać. Tego faceta już widziałem. Usiłuję sobie gorączkowo przypomnieć, kim on jest, ale nie mogę.

Tweedowa marynara się prostuje.

– Oczywiście – mówi. – Spróbujemy jutro.

Odchodzą.

Znowu zamykam oczy, ale nie chce mi się spać. Ciągłe przetwarzam w głowie to, co właśnie widziałem, co wiem. Twarze, numery... i ten głos.

*Nie wolno ci mówić.*

Ona też mówiła do mnie „Adam” – ta kobieta w mojej głowie, więc to musi być prawda.

Jestem Adam.

Adam... i co dalej?

## SARA

Winda zatrzymuje się ze zgrzytem. Jesteśmy na dole. Strażnik przesuwając rączkę na pozycję „Otwarte” i odsuwa kratę. Kolejny korytarz. Ten jest słabo oświetlony i tak długi, że nie widać końca. Wzdłuż ścian ciągną się bulgoczące rury oraz rzędy metalowych drzwi z kratkami i żaluzjami na poziomie oczu, dziurkami od kluczy i numerami. Wszystko pomalowane na ponurą szarość. Jak w więzieniu.

Strażnik łapie mnie za ramię. Próbuję strząsnąć jego rękę, ale on trzyma mocno. Jestem więźniem?

Po raz pierwszy patrzę na niego uważnie. Jest młody, niewiele starszy ode mnie. Ma początki zarostu, rzadki wąsik nad wargą. Jego wojskowy beret chyba nie leży pod przepisowym kątem.

Spogląda na mnie nerwowo.

– Mam cię zaprowadzić do córki – odzywa się. – Usiłujemy... ją uspokoić.

Mia. Jest tutaj. Czuję ogromną ulgę. Już mnie nie obchodzą ani Saul, ani żołnierze, ani to dziwne i ponure miejsce. Chcę tylko zobaczyć Mię.

Strażnik prowadzi coraz głębiej w tunel. Mamrocze coś o jedzeniu i łóżku, ale ledwie to do mnie dociera. Nasze kroki rozlegają się stłumionym echem na betonowej podłodze. W tle słyszę ciche metaliczne pulsowanie.

Każdy krok zdaje się oddalać mnie od życia, światła i wszystkiego, co znam, ale jednocześnie przybliża mnie do Mii – a tylko to się liczy. Początkowo staram się zapamiętać, którądy idziemy, ale skręciliśmy tyle razy, minęliśmy tyle drzwi i na dodatek wszystko jest w tym samym szarym kolorze, więc szybko rezygnuję.

W pewnej chwili słyszę dźwięk, na który staję jak wryta. Płacz dziecka. Słaby, ale na pewno się nie mylę. To Mia.

Zatrzymujemy się przy drzwiach z numerem 1214. Strażnik puka, drzwi się otwierają. Głos Mii wydostaje się na korytarz. Dostrzegam kwadratowy pusty pokój, wąskie łóżko w rogu. Na posłaniu siedzi kobieta, a obok niej jest Mia. Z buzią wykrzywioną i czerwoną jak burak, wymachuje rączkami i nóżkami.

– Mia! – wołam. – Mia!

Przeciskam się obok strażnika i wpadam do środka. Nikt mnie nie zatrzymuje.

Mia przestaje wrzeszczeć i otwiera oczy, a potem rzuca się i przywiera do mnie jak małpka, szlochając. Całuję jej włosy, obejmuję ją.

Kobieta wstaje.

– Właśnie zaczynała się uspokajać – mówi niezbyt przekonująco.

Na dźwięk jej głosu Mia zaczyna znowu wyć.

„Mądra dziewczynka – myślę. – Pokaż tej babie”.

Kobieta wygląda na obrażoną. Wychodzi z pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi. Słyszę klucz obracający się w

zamku.

Rozglądam się. Na łóżku leżą ręczniki i ubrania w dwóch rozmiarach. Ściany są zupełnie nagie. Nie ma okna. To cela.

– Jesteśmy tu zamknięte, Mia – mówię, usiłując opanować narastającą panikę.

Ona podnosi główkę z mojego ramienia. Oczy ma opuchnięte od płaczu, jej oddech jest gorący. Może i jesteśmy uwięzione, ale jest tutaj. Żywa.

– Zamknięte – powtarza po mnie.

Przyciskam ją mocniej i jeszcze raz rozglądam się po pokoju. Jest przy nim łazienka. Przez chwilę cieszę się na myśl o bieżącej wodzie, o gorącym prysznicu, pierwszym od dwóch lat.

– Umyjmy się – mówię i wstaję, trzymając córeczkę w ramionach.

Łazienka jest zaniedbana, ale czysta. Gdy odkręcam kurek, rury skrzypią i jęczą, a potem z prysznic tryska gorąca woda.

Mała kręci główką, czepia się mnie mocniej.

– Mia, to jak deszcz, miły, ciepły deszcz. Spodoba ci się – uspokajam ją.

Nie uznaję jej „nie”. Zdejmuję ubranie, a potem rozbieram ją, ignorując jej protesty. Wchodzę pod prysznic i delikatnie ciągnę ją za sobą. Wylewam na dłoń szampon i wcieram nam obu we włosy. Szampon, mydło, para, woda pachną raczej szpitalnie. Ale robią swoje. Woda spływająca wokół naszych stóp jest szara. Kawalki

patyczków i liści z naszych włosów grzęzną w odpływie.

Wychodzimy spod prysznic. Owijam się ręcznikiem, potem wycieram Mię. Po chwili jest różowa, czysta i ciepła. Dziecięce ubrania na łóżku są na nią za duże, ale i tak ją ubieram.

Kiedy biorę do ręki te drugie, staje się dla mnie jasne, że nikt tu nie spodziewał się dziewczyny w ciąży. Wkładam bieliznę i T-shirt, bluzę dresową i spodnie do joggingu. Spodnie się rozciągają, ale i tak cisną mnie na brzuchu.

Czuję chemiczny zapach prysznic w całym pokoju. Patrzę na zamek w metalowych drzwiach i puste, pozbawione okien ściany. Skąd się bierze powietrze? Jak możemy tu oddychać – trzydzieści metrów pod ziemią?

Najbezpieczniejsze miejsce w Anglii. Tylko jedno wyjście, jedno wejście.

Nic mnie nie obchodzi, co on powiedział. Nie możemy tu być. Muszę nas stąd wydostać.



## ADAM

Ciągle zasypiam i budzę się na zmianę. Nie wiem, jak długo śpię, ale kiedy otwieram oczy, zawsze ktoś przy mnie jest i od razu zaczyna zadawać pytania:

– Jak się czujesz? Ile palców pokazuję? Czujesz to?

I robią mi badania – temperatura, ciśnienie, reakcja źrenic na światło.

I czasem też zastrzyki. Po nich wszystko jest rozmyte: krawędzie w pokoju, ludzie wokół mnie – pielęgniarki, facet w tweedowej marynarce, facet z blizną i migoczącym numerem – i materac, na którym leżę. Leki rozmazują myśli w mojej głowie i zasypiam ponownie, zanim się zorientuję, co jest grane.

Tym razem, kiedy się budzę, nie chcę znowu zasypiać. Gdzieś między snem a jawą przypomniałem sobie, czyj był ten głos.

To moja mama.

Widzę ją teraz. Widzę wszystko.

Była jeszcze młoda, ale naprawdę twarda. Żadnego taty, tylko mama. Mieszkaliśmy nad morzem. Chodziliśmy po piasku długie godziny. Ganiałem za mewami. Były lody i jazda na osiołku.

Jem Marsh. Tak się nazywała.

A ja jestem jej synem.

Adam. Jestem Adam.

I stąd się wzięły numery. Ona też je widziała, kiedy dorastała. Rozumiała mnie i próbowała mi pomóc, nawet po śmierci. Czuję ukłucie żalu tuż pod żebrami, kiedy dociera do mnie, że umarta. Jakbym ją stracił na nowo. Dopiero ją sobie przypomniałem, a teraz jakby znowu odeszła. Moja mama nie żyje.

Tych słów, które słyszałem – żeby nikomu nie mówić – nigdy do mnie nie powiedziała. Napisała je w liście, który dostałem dopiero po jej śmierci. Pamiętam każde słowo z tej kartki i pamiętam, kto mi ją dał.

Babcia.

Ją też widzę. Siedzi przy kuchennym stole swojego biednego domku w zachodnim Londynie. Jej włosy mają odcień jaskrawego, idiotycznego fioletu. „Moja korona” – mawiała o nich. Na początku mnie przerażała – myślałem, że jest moim najgorszym koszmarem. Ale kochałem ją. Swędzi mnie w nosie, gdy we wspomnieniu wdycham dym z jej papierosa. „Będę ostatnią palaczką w Anglii” – powiedziała kiedyś, uparta jak osioł i dumna z tego.

Dym przenosi mnie gdzie indziej...

Siedzę w kręgu przy ognisku, w środku lasu. Jestem wśród przyjaciół. W ramionach trzymam dziewczynę. To musi być moja dziewczyna, skoro tak ją przytulam. Siedzi plecami do mnie. Obejmuję ją w talii, opieram podbródek na czubku jej głowy. Całuję jej włosy, a ona przekręca głowę, żeby na mnie spojrzeć. Widzę jej niebieskie, bardzo niebieskie oczy. Boże, mógłbym utonąć w tych oczach. Jej numer jest piękny, nie pełen smutku i

przerażenia jak większość z nich. Ten podnosi mnie na duchu, jakby był zalany miłością.

Ta dziewczyna... moja dziewczyna... jak ma na imię?  
Czy nadal jest moja? Gdzie ona jest?

– Czas na kolejny zastrzyk.

Wrócili. Dwóch ludzi w białych fartuchach.

*Nie! Nie teraz. Jeszcze nie.*

Usiłuję ich odepchnąć, ale mają przewagę. Jest ich dwóch nie bez powodu – jeden mnie trzyma, a drugi wbija igłę.

– Udało ci się?

– Tak. Szybki jest, nie ma co.

Nie chcę tego. Nie chcę spać, chcę zatrzymać swoje wspomnienia... Mama, babcia, moja dziewczyna...

Gdzie jestem? Co się ze mną dzieje?

## SARA

*Nie widzę jej. Straciłam ją. Nie ma jej. Straciłam Mię w tym zimnym i opuszczonym miejscu. Wykrzykuję jej imię raz za razem, aż chrypnę. Mój głos pochłaniają mgła, drzewa i kamienie.*

*– Mia! Mia!*

*Jak mogłam spuścić ją z oka? Odwróciłam się na sekundę, a ona zniknęła.*

*Żwir chrzęści mi pod stopami, schodzę ze ścieżki i łażę w kółko wśród grobów, aż ból znowu mnie zatrzymuje i muszę przystanąć, trzymając się kamienia, zamykając oczy, próbując złapać oddech.*

*Kiedy znowu otworzę oczy, będzie tu. Uśmiechnie się do mnie i wyciągnie rączki, żeby się przytulić.*

*Otwieram oczy. Nie ma jej.*

*– Mamo! Ma-moo!*

*Mia szarpie mnie za ramię.*

*– Co? Co się dzieje?*

*– Mama krzyczy.*

*– Krzyczałam? Obudziłam cię?*

*Ciemno tu jak w grobie. Nie wiem, gdzie jesteśmy ani czy to noc, czy dzień. Nie czuję stęchłego zapachu naszego namiotu. Nie ma wiatru. Powietrze jest całkowicie nieruchome. Ale jest tutaj Mia. W tej chwili wydaje mi się to okropnie, strasznie ważne. Już nie*

pamiętam snu, ale to, że słyszę jej głos, że czuję jej paluszki wbijające się w moje ramię, jest odpowiedzią na moją modlitwę.

Obejmuję córeczkę, a ona przytula się do mnie mocno.

Moje oczy zaczynają coś rozróżniać w ciemności. Na górze i dole drzwi są paski światła i jeszcze jasny prostokąt tam, gdzie rozchylają się żaluzje.

I przypominam sobie. Jesteśmy w pokoju, w celi.

Mia i ja.

Ale Adam... Gdzie jest Adam? Miał wypadek. Leciał w powietrzu. Saul powiedział, że przywiozą go tu. Ale czy przywieźli? Nic mu się nie stało? Żyje?

Mam przy sobie przytuloną Mię, ale nagle nasza cela wydaje mi się strasznie pusta. Bez Adama nic nie jest w porządku.

– Śpijmy, Mia – mówię, chociaż wiem, że nie zasnę w najbliższym czasie. – Zaśpiewamy „Gwiazdkę”?

Zaczynam śpiewać. Ale Mia nie przyłącza się do mnie. W połowie piosenki wyciąga rączkę i kładzie mi ją na ustach. Milknę.

– Nie ma gwiazdek – mówi.

– Nie chcesz „Gwiazdki”?

– Nie ma gwiazdek – powtarza mała, wskazując ręką na sufit.

I wtedy do mnie dociera, jak dziwne musi być dla niej spanie pod dachem.

– Aha – przytakuję. – Mia, stąd nie widać gwiazdek,

ale one ciągle tam są. Nie zniknęły. Czekają na nas. Słyszą, jak śpiewamy.

Znowu zaczynam, tym razem ona do mnie dołącza. Śpiewamy razem, aż jej głos cichnie, a oddech robi się regularny i ciężki.

Zasnęła. Mam nadzieję, że w snach przeniosła się gdzieś indziej, w miejsce lepsze niż to.

Też chciałabym zasnąć, ale nie mogę. Słyszę, jak gdzieś daleko, daleko ktoś krzyczy. Męski głos wrzeszczący w noc. Później kroki, najpierw ciche, potem coraz głośniejsze, aż docierają tuż pod moje drzwi. Zatrzymują się. Moje serce zamiera na chwilę. Słyszać głosy, przytłumione, męskie.

Zastanawiam się, czego mogę użyć jako broni, jeśli tu wejść. Ale w celi nie ma niczego przydatnego.

Jestem w stanie dosłyszeć kilka słów, ale nie łapię sensu rozmowy. Chyba kończy się żartem. Dwa głębokie głosy śmieją się razem. Czy śmieją się ze mnie, z nas?

Potem znowu słysząc kroki; stają się coraz cichsze, aż w końcu całkiem znikają. Z tym że teraz to kroki tylko jednej pary nóg, a przecież głosy były dwa. Czy ktoś został za drzwiami?

Rączka Mii leży w poprzek mojego ciała. Unoszę ją ostrożnie i kładę na kołdrze. Wyślizguję się spod przykrycia i na palcach przechodzę do drzwi. Wyglądam przez szparę w żaluzjach. Strach ściska mi żołądek, bo do środka zagląda oko, jest tylko kilka centymetrów od mojego.

– Kim jesteś? – pytam szeptem.

Boję się, że usłyszę odpowiedź. I boję się też, że nie usłyszę żadnej.

Znowu jestem w domu, w którym dorastałam. *Są drzwi, mężczyzna po drugiej stronie, a ja tkwię w pokoju jak w pułapce.*

Mój tata nie żyje, ale panika pozostała, tylko czeka, żeby mnie dopaść. Czeka na takie chwile.

Wstrzymuję oddech.

Oko mruga, raz, drugi, i odsuwa się.

## ADAM

Świetnie ci idzie, Adam. Funkcje poznawcze mózgu znakomite, biorąc pod uwagę to, co wczoraj przeszedłeś.

To znowu ten facet z rozkwaszoną twarzą. Doktor Newsome. Zadaje pytania, robi kolejne testy. A obok niego siedzi w milczeniu Siwy, gość z blizną i migoczącym numerem. Zawsze, kiedy na niego spojrzę, oszałamia mnie brutalność tego numeru. Jest jednocześnie obrzydliwy i fascynujący. W tym numerze jest coś... ale nie rozumiem co. Nie teraz.

– Znakomicie – powtarza Newsome. – Czyli czas na bardziej skomplikowane badania.

Zanim się orientuję, jeden z asystentów przeciąga przez poręcz mojego krzesła skórzany pasek i zapina mi go wokół prawego nadgarstka.

– Co, do...?! – rzucam się.

– To tylko na wszelki wypadek.

– Nie, nie! Nie chcę!

– Nie możesz się ruszać, bo badania nie wyjdą.

Próbuję walczyć, ale jestem słaby, a ich jest dwóch.

Mój lewy nadgarstek też zostaje uchwycony i przypięty. Kolejny asystent przysuwa wózek z monitorami i drutami zwiniętymi jak spaghetti. Kiedy się zbliża, dociera do mnie, że większość tych drutów przyczepi mi do głowy.

– Nie... – zaczynam.



– To wszystko jest częścią oceny stanu twojego zdrowia – oznajmia gładko doktor. – To tylko podstawowa diagnoza medyczna. Nic więcej. Oprzyj się. Postaraj się odprężyć.

Nie mogę zrobić nic, tylko tam siedzieć, ale szczękę mam zaciśniętą, ramiona i nogi sztywne i napięte, kiedy mnie obwiązują. Nie muszą golić mi głowy, większość włosów spaliła się, jak wpadłem do ognia tamtej nocy, kiedy zginął Junior, a reszta jest tak krótka, że nie mają problemów z umocowaniem elektrod na skórze.-

Do klatki piersiowej też przyczepiają mi sensory, żeby móc monitorować pracę serca podczas testów. I do końców palców również.

O co, kurwa, chodzi?! Wygląda to jak w filmie szpiegowskim. Tak chyba się robi, żeby sprawdzić, czy ktoś kłamie, nie?

– Mowy nie ma. Przestańcie. Przestańcie! – protestuję.

To nie jest w porządku. To jest bardzo nie w porządku.

Newsome ustawił dwa krzesła naprzeciwko mnie, jakiś metr dalej. Siada na jednym, a ten z blizną na drugim. Siwy nadal nie odezwał się ani słowem. Ale jego oczy... te ciemne oczy... i ten numer... Znowu nie mogę oderwać od niego wzroku.

– Zadam ci teraz kilka pytań – mówi doktor. – I chcę, żebyś odpowiadał jak najszybciej. Pierwsze, co przyjdzie ci do głowy.

– Okay. – Jestem coraz bardziej wkurzony. – Odepnijcie mnie.

– Co? – Facet mnie nie rozumie.

– To właśnie mi przyszło do głowy – wyjaśniam.

– Jeszcze nie zacząłem. Nie zadałem żadnego pytania.

Newsome jest coraz bardziej rozdrażniony. Ale to on zaczął z tymi pasami na rękach, więc nie zamierzam mu niczego ułatwiać.

Doktorek patrzy na szereg monitorów obok siebie i kręci kilkoma kontrolkami. Co chwila sięga w górę, żeby odsunąć włosy za ucho – gęste, brązowe włosy, które wyglądają dwadzieścia lat młodziej niż on. To peruka. To musi być peruka.

– O czym myślisz? – pyta. Waham się, a on pędzi dalej: – Co masz w głowie teraz? Właśnie teraz. – Pstryka palcami tuż przed moją twarzą.

– Zastanawiałem się... kto panu strzyże włosy.

Jeden z asystentów tłumi śmiech. Wydaje mi się, że także kąciki ust Siwego drgnęły, ale nie jestem pewien. Newsome mruży oczy, odrobinę, i na jego twarzy pojawia się rumieniec. Odwraca się i udaje, że sprawdza monitory, potem odkręca się z powrotem do mnie.

– Jak się nazywasz? – pyta.

Czyli zaczynamy od łatwych.

– Adam.

– Adam jak?

– Adam... Marsh. – Moja mama była Marsh. Czyja

też jestem? Nie pamiętam.

– Ile masz lat?

– Osiemnaście.

– Data urodzenia?

– Dwudziesty drugi sierpnia 2010. – Niektóre dane mam w głowie, inne nie.

Doktor nie patrzy już na monitory. Teraz skupia się wyłącznie na mnie.

– Miejsce urodzenia?

– Nie wiem.

– Co widzisz, kiedy patrzysz ludziom w oczy?

*Nie mów. Nigdy nie mów.*

– Nic.

– Kłamstwo – zgłasza asystent stojący najbliżej monitora, nie podnosząc wzroku.

– Słyszałeś, Adam. Mów prawdę. Co widzisz w oczach ludzi?

– Czarne, kolorowe i białe.

– Widzisz coś jeszcze?

– To ma być pytanie?

Newsome jest naprawdę wkurzony.

– Wiem, że widzisz coś więcej – cedzi przez zęby, podkreślając każde słowo. – Co to jest, Adam?

Jesteśmy twarzą w twarz. Facet pochyla się nade mną jeszcze bardziej.

– Nic. Kompletnie nic – odpowiadam.

– Adam, widzisz numer?

– Nie.

- Kłamstwo – znowu sygnalizuje asystent.
- Widzisz numer? – Newsome nie odpuszcza.

*Nie mów.*

– Nie.

– Co widzisz, ty mały draniu? Co widzisz? Co?! –  
Facet traci panowanie nad sobą.

Wtedy wtrąca się Siwy. Wstaje z krzesła i kładzie rękę na ramieniu doktora.

– Spokojnie, Newsome. Zrób sobie przerwę.

– Co? – pyta zaskoczony doktor.

– Idź się uspokoić.

– Nic mi nie jest – protestuje Newsome i strząsa dłoń z ramienia.

– To rozkaz – odwarkuje Siwy.

Mierzą się wzrokiem i przez chwilę panuje cisza. Wreszcie doktor się wycofuje. Zaciska wargi z dezaprobatą, dostojnym krokiem wychodzi z pokoju, gestem przywołuje asystentów i zamyka za nimi drzwi.

Teraz jestem sam na sam z Siwym. Facet przesuwając swoje krzesło trochę do przodu i zbliża twarz do mojej.

– Możesz to zrobić – mówi.

– Co? – Nie rozumiem.

– Możesz to powiedzieć.

Nie wiem, jak zareagować. Jeśli zacznę z nim dyskutować, to jakbym przyznał, że jest o czym.

– Wiem, jak to jest – zaczyna Siwy – jak to jest być innym. Dochowywać tajemnic. Ale niektóre tajemnice są jak rak, zżerają człowieka od środka. Nie ma nic złego w

zdradzeniu takiego sekretu.

Czy powiedziałem komuś? Czy numery są tajemnicą? Nie pamiętam. Mam luki w pamięci. Wielka dziura pomiędzy moim dzieciństwem – mamą i babcią – a obudzeniem się tutaj. Mama i babcia – obie nie żyją, ale co z tą dziewczyną? Dziewczyną, którą obejmowałem przy ognisku? Nie wiem, kim była. Albo jest.

– Adam, mogę ci pomóc. Chcesz znowu zobaczyć Sarę, prawda? Jest tutaj. Mogę cię do niej zabrać, jeśli będziesz współpracować.

*Sara.*

Jasne włosy i niebieskie oczy. 2572075. Czy to jest Sara?

– Naprawdę ma niebieskie oczy? – pytanie wyrywa mi się z ust, zanim mózg zdążył je powstrzymać.

Siwy na chwilę marszczy czoło, potem wygodnie opiera się na krześle, splata ramiona i się uśmiecha.

– Niebieskie oczy? Tak. Tak, mój przyjacielu. I jeśli jeszcze kiedykolwiek chcesz te niebieskie oczy zobaczyć, to lepiej zacznij współpracować. Wszystko zależy od ciebie, Adam. To co, mam zawołać Newsome'a?

# SARA

Nadal nie śpię, kiedy otwierają się drzwi i na wózku wjeżdża śniadanie. Dostarczył je ten sam strażnik, który przyprowadził mnie z windy do celi. Ale nawet nie patrzy na mnie.

Na wózku są tosty, herbata i mleko. Nie jestem głodna, ale wiem, że powinnam coś zjeść.

– Słyszałam w nocy jakieś hałasy i głosy na korytarzu – mówię.

On ogląda się przez ramię i zamyka drzwi.

– Na zewnątrz stoi strażnik. Dla twojego bezpieczeństwa. Może się zmieniali – odpowiada.

Mia się budzi. Otwiera oczka i rozgląda się. Widzi obcego, więc chowa się pod kołdrę.

Podchodzę do łóżka, odgarniam pościel i pomagam jej wstać.

– Dzień dobry, słoneczko – witam się pogodnie. – Chcesz coś zjeść?

– Gdzie tata? – pyta mała.

Spoglądam na strażnika i znowu na Mię.

– Teraz jest zajęty. Może wypijesz trochę mleka? – próbuję zmienić temat.

– Gdzie tata?

– Potem go zobaczymy. – Odwracam się do faceta. – Zobaczymy?

– Nie mogę na to odpowiedzieć – mówi, ale nie

patrzy mi w oczy. – Nie wiem. Ja tylko... zajmuję się takimi ludźmi jak ty.

Chodzi mu o więźniów. Ilu ich tu jest? Kim są? Czyje krzyki słyszałam w nocy?

– Ale wiesz, co się tu dzieje, nie? Co to za miejsce?

Milczy.

– Gdzie jesteśmy? – nie odpuszczam.

Teraz mu naprawdę głupio, niemal się wierci.

– Ja tylko przynoszę jedzenie i jeżdżę windą – tłumaczy się niezdarnie.

*A na całą resztę zamykam oczy?* To prawda? On musi wiedzieć więcej.

– Trzeba ci czegoś jeszcze? Pan... Saul kazał spytać – dodaje.

– Może jakichś mniejszych ubrań dla Mii i... większych dla mnie.

Teraz strażnik niemal się uśmiecha – jest z powrotem na znajomym gruncie.

– Nie często mamy tutaj dzieci, ale zobaczę, co da się zrobić.

Jemy po drugim toście, kiedy znowu rozlega się pukanie do drzwi.

Wchodzi inny strażnik, a Mia natychmiast odwraca buzię od idącej za nim kobiety – to ta sama, która wczoraj usiłowała ją uspokoić.

– Witam ponownie – mówi, wyciągając do mnie rękę.  
– Jestem Marion. Źle wczoraj zaczęłyśmy, ale dzisiaj

sobie porozmawiamy.

Wydaje się bardzo pewna siebie. Ubrana jest w praktyczną spódnicę i rozpinany sweter; nosi okulary w metalowych oprawkach. Widywałam już takie osoby zawodowo wtykające wszędzie nos. To typ pracownicy społecznej. Ktoś podobny do niej odebrał mi kiedyś Mię. Ktoś dokładnie taki jak ona.

– Nie, póki nie zobaczę Adama – oznajmiam ostro, ignorując jej wyciągniętą dłoń.

Ona uśmiecha się i wygładza ręką spódnicę.

– Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe. Porozmawiajmy najpierw, a potem zobaczymy, dobrze?

To niemożliwe. Dlaczego? Bo nigdy tu nie dotarł? Bo nie żyje? A może jeszcze nie odzyskał przytomności? Czego ona mi nie mówi?

– Nie będę rozmawiać, dopóki się nie dowiem, co z nim jest – prychem, splatam ramiona na piersi i próbuję się wyprostować, żeby sprawiać wrażenie wyższej.

– Czuje się dobrze – odpowiada kobieta. – Później będziesz mogła go zobaczyć.

– Dobrze? Co to ma znaczyć? Widziała go pani? – wypytuję.

– Nie, ale...

– To skąd pani wie, że czuje się dobrze?

– Saro – mówi twardo Marion. – Powiedziano mi to. Przekazano mi, że Adam się obudził i jest przytomny. Przeprowadzą różne badania. A teraz powiedz, chcesz porozmawiać tutaj czy pójdziemy do sali rozmów?



*Nic mu nie jest. Dzięki Bogu.*

Trochę drżą mi nogi. Nie chcę, żeby ta wiedźma to zobaczyła, więc odwracam się od niej i przykucam, ostentacyjnie zajmując się Mią, a jednocześnie oddychając głęboko i usiłując opanować targające mną emocje.

Mamy okazję wydostać się z celi, rozejrzeć się po bunkrze, więc biorę Mię za rękę.

– Chodź, kochanie – mówię. – Wychodzimy.

Marion wyprowadza nas na korytarz. Idziemy do pokoju rozmów.

Sala nie wygląda tak, jak oczekiwałam. Są tu skórzane kanapy, stolik kawowy, taca z herbatą i ciasteczkami, trochę zabawek dla Mii – całkiem zwyczajnych, takich, jakie wszyscy kiedyś mieli. Plastikowe samochodziki, telefon, kasa sklepowa – normalne rzeczy przed Chaosem, ale teraz wyglądają jak z innej epoki.

Te zabawki Mii w ogóle nie interesują. Patrzy na nie i odpycha je na bok. Bierze lalkę – bobasa, który otwiera oczy, kiedy go posadzić, i zamyka, jak się go położy. Jest zafascynowana.

Na stoliku kawowym leży jakaś teczka. Marion siada bez słowa na jednej z kanap, kładzie teczkę na kolanie i otwiera.

Co tam jest? Czy to o mnie? Albo o Adamie?

Siadam na kanapie naprzeciwko i znowu splatam ramiona na piersi.

– Czyli ty i Adam jesteście razem od dłuższego czasu.  
To nie jest pytanie.

– Chyba tak.

– Macie jedno dziecko i drugie w drodze? – Marion próbuje zrobić współczującą minę, ale nie chcę od niej żadnego współczucia. – To będzie dla was trudne.

– Poradzimy sobie – odpowiadam. – Mia jest bardzo grzeczna.

– Jak myślisz, do kogo jest podobna? Do ciebie czy do swojego ojca?

To jest niebezpieczny temat, nie mam zamiaru z nią o tym gadać.

Oficjalnie ojcem Mii jest Adam. Tak powiedziałam wścibskiej babie z opieki społecznej, kiedy znalazła mnie w squacie w Londynie. To było kłamstwo wymyślone na poczekaniu, ale łatwiejsze niż zdradzenie prawdy. Choć jakby się zastanowić, to kłamstwo bardzo oczywiste – Mia ma ciemniejszą skórę po dwóch latach życia na powietrzu, a włosy kręcone prawie jak afro, ale jest blondynką i ma niebieskie oczy, i rysy Halliganów, bo tym właśnie jest. Halliganem i nikiem innym.

– Nie wiem – odpowiadam. – Nie patrzyłam pod tym kątem. Jest sobą. Osobnym człowiekiem.

– Nie bawicie się w to z Adamem? No, wiesz... Czyj nos? Czyje uszy?

– Nie – zaprzeczam. – W nic się nie bawimy.

Marion musiała to rozgryźć, na pewno, ale nie ciągnie tematu.

– A jej zdolności? – pyta z innej beczki. – Jak na dwulatkę mówi bardzo dobrze. W notatkach mam, że jesteś artystką. Mia też jest w tym dobra?

Artystką... W zasadzie zapomniałam o tej części mnie. Od dwóch lat nie miałam w ręku ołówka ani pędzla, ani nawet kawałka węgla.

– Namalowałaś fresk, wizję Chaosu, zgadza się? To wielka sprawa.

O tym też nie lubię gadać. Moje sny, moje koszmary – najlepiej o nich zapomnieć. Nie chcę, żeby ktoś grzebał mi w głowie.

– Skąd się wziął ten obraz, Saro? Skąd wiedziałaś, co się stanie? – wypytuje kobieta.

– To było dwa lata temu. Po co do tego wracać?

Marion odkłada teczkę na blat. Próbuje do niej zerknąć, ale ta wścibska baba przesuwając dokumenty tak, żeby nic nie było widać.

– Przecież to fascynujące, Saro – ciągnie. – Widziałaś przyszłość. Byłaś w stanie to wyrazić, namalować. Skąd się wzięła ta wizja?

– Znikąd.

– Bez przesady. Skądś musiała przyjść, przecież nie mogła ci się przyśnić.

Teraz babsztyl już mi działa na nerwy. Naciska, draży, więc jej pokażę.

– Zgadła pani. Właśnie że mi się przyśniła. Stąd był ten obraz – odpowiadam i patrzę jej w oczy wyzywająco.

Marion siedzi na samym brzeżku kanapy, pochylając

się naprzód.

– Miałaś sen? – dopytuje.

– Tak. Ten sam. W kółko. Każdej nocy.

– I widziałaś Adama i Mię, miasto w ruinach i płonące budynki?

– Tak. Wszystko. Ale od Chaosu już nie widzę. Minęło. Skończyło się.

– Co ci się śni teraz, Saro?

– Nic. Sny się skończyły.

*Zgubiłam Mię w tym zimnym i opuszczonym miejscu.*

*Wykrzykuję jej imię...*

– W ogóle nic ci się nie śni?

– Właśnie.

– A Mia... jak z jej zdolnościami?

– Nijak. To moja córka, nic więcej.

Jestem już naprawdę wkurzona.

– Jak myślisz, co ona widzi? – draży babsko. – Widzi numery, daty śmierci jak Adam, czy ma wizje jak ty?

Chwytam Mię z podłogi i sadzam sobie na kolanach. Mała nie wypuszcza lalki.

– Nic nie widzi. Jest jeszcze malutka.

Marion uśmiecha się, ale tylko ustami. Jej oczy są zimne i patrzą badawczo.

– Nie taka malutka, Saro. Umie mówić. Zobaczmy, dobrze? Może mogłaby coś narysować.

Wstaje i obchodzi stolik.

– Zostawcie ją w spokoju – sprzeciwiam się.

To się robi coraz gorsze. Z pytaniami na mój temat

sobie poradzę, ale nikomu nic do Mii.

– Nawet jej nie dotknęłam – obrusza się Marion.

– Wie pani, o co mi chodzi.

– Spróbujmy z tym. – Sięga do szafki i wyjmuje plik kartek i kredki świecowe. – Mia – zagaduje małą – możesz wybrać jakiś ładny kolor i narysować dla mnie obrazek?

Mia zerka na nią, krzywi się i wciska buzię w moje ramię. Nie wybaczyła Marion wczorajszego dnia. Ale kobieta, niewzruszona, kładzie kredki i papier na podłodze. Mała przez chwilę patrzy na nie z ukosa, zaintrygowana. Potem ześlizguje mi się z kolan i klęka koło kredek. Chociaż nikt jej nie pokazał, jak to się robi, chwyta niebieską, pochyla się tak, że jej buzia jest tylko kilka centymetrów nad kartką, i zaczyna bazgrać. Używam słowa „bazgrać”, ale tylko kilka jej pierwszych ruchów jest przypadkowych.

Nie mogę oderwać od niej wzroku. Marion też w skupieniu spogląda małej przez ramię.

Przez chwilę Mia rysuje jakieś kształty. Poprawiła kredkę w rączce – już jej nie ściska w pięści, ale trzyma między kciukiem a palcem wskazującym.

– To niezwykle – przerywa ciszę Marion – jak na dwulatkę. Musiała się nauczyć od ciebie.

– Nigdy nie widziała, żebym rysowała – mówię i dociera do mnie, że to prawda. Przez chwilę jest mi smutno, żal mi tej straconej części mnie i dzieciństwa, którego Mia nie miała.

– To musi być wrodzone – orzeka Marion. –  
Przychodzi ze środka. Ona to ma, prawda?

Robi notatki w swoich papierach, potem znowu  
wpatruje się w Mię, tak żeby niczego nie przegapić.

Nie wiem, co mała rysuje, ale na pewno jest to coś  
konkretnego – kształt jak kartofel z wychodzącymi z  
niego paroma kreskami. Potem robi coś innego, całkiem  
zdecydowanie. Przygląda się kredkom schowanym w  
plastikowej kopercie, niebieską wkłada z powrotem i  
wybiera różową. Obrysowuje nią kształt wewnątrz  
niebieskiego konturu. Odkłada tę kredkę i wybiera  
czerwoną. Rysuje drugi kartofel obok pierwszego.

Opuszczam się na podłogę koło niej. Nie mogę  
opanovać fascynacji.

– Ślicznie, Mia – chwale ją. – Co rysujesz?

Mata jest pochylona nad kartką, czubek języka  
wystaje jej z kącika ust.

– Rysuje – mówi. – Mia rysuje.

– Wiem – odpowiadam. – Bardzo ładnie. Co to jest?

Ona kuca i wskazuje na swój obrazek.

– Mama i tata – oznajmia.

Ja jestem niebiesko-różowym kartoflem, a Adam –  
czerwonym.

Dreszcz przebiega mi po plecach.

Ona widzi nas jako kolory.

Całkiem jak babcia Adama.

Kiedy pierwszy raz spotkałam Val, opisała moją aurę,  
kolorową otoczkę, którą mam. Nawet teraz słyszę jej głos,

twardy i ochrypli: Lawendowy, oczywiście, ale i ciemnoniebieski. Wszystko zalane różowym.

Patrzę na swoją córkę, a ona odwraca się i uśmiecha do mnie, dumna z siebie. Odwzajemniam jej uśmiech.

– A co z Martym i Lukiem? – pytam.

Kiedy wymawiam ich imiona, czuję gulę w gardle. W głowie tkwi mi obraz Luke’a trzymającego się za twarz i Marty’ego we łzach. Czy nic im nie jest?

Mia znowu sięga po kredki i rysuje jeszcze dwa kartofle, jeden zielono-żółty, a drugi pomarańczowy.

Gdyby był tu Adam, widziałby jej numer, ale ja nie muszę go widzieć. Znam go.

2022054.

I ona ma nie tylko numer Val.

Ma też jej dar.

## ADAM

Adam, po raz ostatni pytam, co widzisz, kiedy patrzysz mi w oczy.

Spoglądam na Newsome'a, na tę jego rozkwaszoną gębę, śmierć w jego oczach. Saul siedzi obok niego. Nie pytaj, co widzę w oczach Saula – nie wiem, czy umiałbym znaleźć na to słowa.

– Widzę numer. – To jest prawda. To odpowiedź na pytanie doktora, ale źle się czuję, mówiąc to.

*Nie mów, Adam. Nigdy nie mów.*

– Co ten numer znaczy?

– To data pana śmierci.

To również prawda, ale dlaczego sprawia takie złe wrażenie?

– Jaki jest mój numer?

Milczę.

– Jaki jest mój numer? – powtarza doktor.

*Nie mów, Adam. Nigdy nie mów.*

– Nie mówię tego ludziom – odpowiadam, powtarzając za głosem w mojej głowie. – To nie jest w porządku.

– Ale przecież sam cię pytam. Jaki jest mój numer?

– No chyba już wyjaśniłem, nie? Nie zdradzam tego nikomu. Nie dotarło?

Do rozmowy włącza się Saul:

– Adam, robisz to dla Sary, pamiętasz? Możesz nam



powiedzieć. To jest w porządku.

Newsome znowu zaczyna:

– Myślisz, że jesteś jedynym, który je widzi?

– Kurde, nie wiem. Może są inni. Nie mam pojęcia.

– Masz rację. Inni też je widzą. Inni mówią. I to jest dobre – stwierdza doktor.

Chyba tylko wciska mi kit. Żeby mi ułatwić powiedzenie tego, co chce usłyszeć.

– Jaki jest mój numer? – pyta znowu.

Wiercę się. Oni nie odpuszczają. Moje ciało napina się w pasach, myśli galopują. Powiedziałem Saulowi, że będę współpracował ze względu na Sarę. Wiem, że nie mam wyboru... ale to mi nie leży. W ogóle mi nie leży.

– Nie chcę tego mówić.

– Po prostu powiedz.

Newsome jest za blisko, tuż koło mojej twarzy.

– Nie chcę.

– Powiedz.

– Nie mogę.

Chcę, żeby się cofnął, ale on się nie odsuwa. Kropla jego śliny ląduje mi na policzku.

– Powiedz. Jaki mam numer? Powiedz to. Powiedz. Powiedz!

*Chce tego? To ma!*

– 8112034! – wykrzykuję.

Tracę całą wolę walki. Wykończony, osuwam się na krzesło. Głowa opada mi na klatkę piersiową.

– No widzisz. To wcale nie było takie trudne, co? –

komentuje doktorek.

Nie odpowiadam. Nie mam nic do powiedzenia.

On zerka na monitory, w rękach przesuwa wydruk.

– Powiedziałeś prawdę. Nie ma niczego złego w mówieniu prawdy. Tym się tu zajmujemy: faktami, pomiarami, dowodami.

Wydaje się bardzo zadowolony z siebie, jakby miał na wszystko odpowiedź. Właśnie mu zdradziłem, kiedy umrze, ale nie ma żadnej reakcji, żadnej ludzkiej, emocjonalnej reakcji. Facet odkłada wydruk i odgarnia włosy za uszy.

– Jeszcze kilka pytań, dobrze?

– Nie – mówię. – Skończyłem.

– Dopiero zaczęliśmy.

– Nie. Ja skończyłem.

– Adam, to jest ważne. My tu próbujemy uratować brytyjski naród. Tacy ludzie jak ty są kluczem do zmian. Potrzebujemy pokolenia silnych liderów, ludzi, którzy mogą zaprowadzić porządek, postawić kraj z powrotem na nogi, doprowadzić nas wszyskch tam, gdzie powinniśmy być.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Potrzebujemy ludzi takich jak ty – tłumaczy doktor.

– Możesz nam pomóc zrozumieć przyszłość. Potrzebujemy inteligentnych systemów wczesnego ostrzegania. Adam, mamy mało środków. Musimy wiedzieć, gdzie możemy pomóc, gdzie to jest warte zachodu.

– Do tego nie jestem wam potrzebny. Wystarczy, że tylko stąd wyjdziecie i zaczniecie się rozglądać. Wszędzie ludzie nie mają co jeść. Po prostu gdzieś zacznijcie. Zróbcie coś, cokolwiek.

– Ale co, jeśli oni i tak umrą? Adam, nie możemy marnować środków. Chodzi o ich efektywne wykorzystanie.

– Czyli mam wam mówić, dla kogo nie warto się wysilać? Pieprzcie się!

Newsome milknie i odsuwa się ode mnie. Patrzy na Saula, który siedzi bez słowa, słuchając uważnie.

– Adam, nie możesz do tego podchodzić emocjonalnie – odzywa się wreszcie Siwy. – Rządy muszą podejmować trudne decyzje.

– Ja nie jestem w żadnym pieprzonym rządzie.

– Jeśli nie jesteś z nami, jesteś przeciwko nam.

W pokoju zapada cisza.

– Adam, musisz z nami w pełni współpracować – mówi Newsome. – To ważne. Musimy zrozumieć, jak działa twój dar. Potrzebujemy cię po naszej stronie. Możesz być dla nas wielką pomocą. Możesz być liderem.

– Ja też chcę zrozumieć, naprawdę – odpowiadam. – Ale dlaczego musicie mnie związywać? Upokarzać?

– Dwa lata temu zabiłeś chłopca. Dwa dni temu zabiłeś jednego z naszych najlepszych agentów. Czego się spodziewasz? – pyta doktorek.

Znowu to stare oskarżenie, a do tego nowe. Ile razy mam im wszystkim tłumaczyć? Kiedy mi uwierzą?

– Nikogo nie zabiłem – bronię się.

Próbuję usiąść, napierając na pasy, wysuwam podbródek. To, co oni mówią, nie jest w porządku. Nie powinni gadać takich rzeczy.

– Ponosi cię. Kiedy jesteś zły, tracisz panowanie nad sobą. Stajesz się nieobliczalny – mówi Newsome.

Przekręcam głowę, żeby na niego nie patrzeć. Ale facet ma rację. Naprawdę mnie ponosi i tracę kontrolę nad sobą. Czuję, że i teraz mógłbym wybuchnąć, jeśli on będzie dalej naciskał.

– Adam, masz wybór – on wciąż mnie przekonuje. – Możesz nam pomóc, wesprzeć nas, być częścią czegoś wielkiego, czegoś szlachetnego. Albo możesz stawiać opór, być uparty, dziecinny i zostać zmiażdżony. Albo zniknąć. Ty i Sara. Zniknąć.

Zapada długa cisza.

– Co to znaczy? – pytam.

Wiem, co on chce przez to powiedzieć, ale zmuszę go, żeby powiedział to głośno. Chcę, żeby jego szantaż i groźby wyszły na jaw.

– Kto wie, gdzie teraz jesteś? Komu by cię brakowało?

Dziewczyna. Moja dziewczyna. Sara. Czy ona wie, że tu jestem? Tęskniłaby za mną?

Nie mogę odpowiedzieć doktorowi. Wbijam wzrok w drzwi. Nie lubię tego faceta. Nie pozwolę, żeby wygrał.

– A komu będzie brakowało ciebie? – rzucam w złości. – 8112034 nic dla ciebie nie znaczy. Wiesz już

kiedy. Ale co, gdybyś dowiedział się też, jak umrzesz?

To do niego trafia. Gapi się na mnie, próbuje mnie zastraszyć spojrzeniem, ale przesuwa językiem po wargach i wiem, że mu zaschło w ustach. Wiem, że w tej chwili poczuł w żołądku ukłucie strachu.

– Widzę numery, tu macie rację. – Patrzę mu prosto w oczy. – Ale ja je też czuję. A ty... ty się udusisz. Oddychasz najgłębiej, najszybciej jak możesz, ale do płuc nie dociera tlen. Powietrze jest zatrute, od każdego oddechu robisz się słabszy, bardziej chory, bardziej ogłupiały. Zwymiotowałeś wszystko, co miałeś w środku, rzygasz kwasem żołądkowym, ale utyka ci w gardle, krztusisz się i rozpaczliwie walczysz o oddech... ale jest za późno. Leżysz na ziemi. Chwila konwulsji we własnych rzygowinach. Koniec.

Zapada kompletna cisza.

Saul oblizuje wargi. Jego oczy błyszczą. Jego palący wzrok wbija się we mnie. Podoba mu się to, jak drażnię Newsome'a, jak opisuję jego śmierć. Jest wyraźnie podekscytowany.

Przez kilka sekund doktor się nie rusza. Tylko patrzy na mnie, a ja na niego. Potem mruga i unosi rękę, żeby schować włosy za ucho. Odsuwa się ode mnie, kręcąc głową. .

– Bardzo ładnie – odzywa się. – Dobra historyjka. Bardzo ładnie. Wszyscy to słyszeli? Tę bajeczkę? – pyta facetów przy monitorach. – Co mówią wydruki?

Odwracam głowę. Jeden z asystentów trzyma w ręku

kartkę.

– Mamy to – odpowiada. – Piękna prosta linia. –  
Nerwowo zerka na szefa. – On mówi prawdę.

## SARA

A gdzie jest Mia? – pyta słodko Marion. – Gdzie ty jesteś lina obrazku?

Spoglądam na babę. Nadal gorączkowo zapisuje coś w swoich papierach i obserwuje moją córkę jak jakieś zwierzątko w zoo.

Usiłuję nie pokazywać emocji, ale w środku jestem przerażona. Mia widzi to, co widziała Val – to straszne, nie? Gdyby tu był Adam, też od razu by się skapował. To coś wielkiego, coś niesamowitego.

Mia zamiera. Wiem, że się boi Marion, ale bardzo jej się podoba rysowanie.

– Nie przestawaj – mówię do niej. – Kogoś tu brakuje, prawda? Bez ciebie nie jesteśmy rodziną. Narysuj siebie. Narysuj Mię.

Mała patrzy na kredki, bardzo długo trzyma rączkę wyciągniętą nad opakowaniem. Potem spogląda na mnie w poszukiwaniu pomocy.

– Nie wiesz, jaki wybrać kolor? – pytam.

Kręci głową, że nie.

– Wybierz jakikolwiek. Wybierz najładniejszy. – Wyjmuję żółtą kredkę. – Może taki? Żółty. Jak słoneczko. Jak twoje śliczne włoski. – Podaję jej kredkę i czochram jej złote loki.

Marion cmoka z dezaprobatą.

– Nie naprowadzaj jej – upomina mnie.

Patrzę na nią groźnie.

– Nie naprowadzam, pomagam – odpowiadam.

Mała rysuje żółty kartofel obok dwóch pierwszych.

– Co jeszcze, Mia? – Teraz Marion naciska.

Mia odkłada kredkę, bierze kartkę i mi podaje. Obejmuję córkę i całuję w policzek.

– Bardzo ładnie. Możemy powiesić twój rysunek na ścianie w naszym pokoju, prawda?

– Zrobię kopię, jeśli można – mówi Marion.

Zanim się orientuję, wyrywa mi kartkę z ręki i wychodzi z nią z pokoju. Mia zaczyna płakać, a ja wcale się nie dziwię – ta wredna krowa jest naprawdę bezczelna. Kto tak zabiera dziecku rysunek?!

Dźwięk klucza obracającego się w zamku przypomina mi, że to nie jest „pokój do rozmów”. Tylko kolejna cela. Robi mi się niedobrze z tych nerwów. Nie wytrzymam tu nawet jednej nocy więcej. To mnie zabije. Musimy się stąd wydostać.

– Jej też podoba się twój rysunek – mówię do małej, usiłując zatrzeć złe wrażenie. – To miło, prawda? Chcesz narysować drugi, kiedy będziemy czekać?

Ale Mia jest już zmęczona. Podaje mi czarną kredkę.

– Mama rysuje – prosi.

Bierze lalkę i zwija się w kłębek na kanapie. Głaszczę ją po włosach, a ona zamyka oczka i wkłada kciuk do buzi. Niedługo będzie miała jeszcze kogoś do rysowania, braciszka albo siostrzyczkę.

– Mia, kochanie, co nas jeszcze spotka? – szepczę.



Jej oddech staje się głębszy i głośniejszy. Nie śpi, ale jest już bardzo senna.

*Mama rysuje.*

Wciąż trzymam kredkę, którą mi podała. Powoli, niemal z bólem, biorę ze stosiku na stole czystą kartkę. Długo na nią patrzę. Przeraza mnie ta biel. Przez ostatnie dwa lata nie miałam czasu na malowanie. Ochoty też nie. Ważniejsze było przetrwanie. Teraz po prostu nie wiem, jak zacząć.

Właściwie nie zastanawiając się, zaczynam szkicować sylwetkę Mii: wygięte plecy, miękką aureolę włosów, profil. Natychmiast mnie to wciąga – patrzenie i rysowanie. Wszystko inne znika. Część mnie, która była od dwóch lat martwa, ożywa z jednym szkicem. Wystarczy kilka kresek i jest tu, na papierze – moja córka. Po raz pierwszy przeze mnie narysowana.

Boże, ale mi tego brakowało...

Odkładam portret na bok i zaczynam kreślić przypadkowe linie na nowej kartce. Staram się nie myśleć, pozwalam ręce robić, co chce, eksperymentuję z kreską i kształtem, cieniowaniem, jasnym i ciemnym. Tworzę abstrakcję.

Mia siada i patrzy na mój rysunek.

– Co to? – pyta.

Spoglądam na to, co narysowałam, i ściska mi się serce. Linie i kształty wcale nie są przypadkowe. Moja abstrakcja to pejzaż – światło i cień drzew i miejsc między nimi. A na pierwszym planie ciemne głązy.

– Co to, mama? – znowu pyta Mia.

– Nic, tylko plamy – odpowiadam, choć to coś więcej. Dużo więcej.

To miejsce z mojej głowy.

Miejsce z mojego koszmaru.

Miejsce, w którym tracę Mię.

## ADAM

Starczy, ja już skończyłem. Powiedzieliście, że mogę zobaczyć Sarę. No więc chcę ją zobaczyć.

Newsome patrzy na Saula. Widzę wyraźnie, że wolałby, żeby Siwy odmówił, ale on wstaje.

– Tak – przyznaje. – To chyba może pomóc.

– Jesteś pewien, Saul? – odzywa się doktor. – Nie powiedział nam zbyt wiele. Moim zdaniem powinniśmy przeprowadzić od razu jeszcze parę sesji.

– Newsome, mieliśmy umowę. Adam dotrzymał swojej części. Zdejmijcie z niego te pasy – nakazuje Siwy i zwraca się do mnie: – Zaprowadzę cię do niej.

– Co? Teraz? – pytam głupio.

Nagle tracę pewność. A jeśli jej nie poznam? A jeśli zrobię z siebie kretyna? A jeśli ona wcale nie chce mnie widzieć?

Siwy się uśmiecha.

– Tak, Adam, teraz. Możesz iść?

Opieram ręce na poręczach i odpycham się. Stoję, ale czuję, jakby nogi nie należały do mnie. Lecę na bok.

– Ostrożnie.

Saul łapie mnie i obejmuje ramieniem, podtrzymując. Cieszę się, że nie pozwolił mi upaść, ale bycie tak blisko niego jakoś mnie denerwuje. W pewnej chwili, kiedy facet pomaga mi stanąć na nogi, spoglądam mu w twarz. Nasze oczy się spotykają i ból jego śmierci staje się jeszcze

silniejszy, tak mocny, że jęczę i uginają się pode mną kolana.

– Zawieziemy go – decyduje Siwy i kiwa głową na jednego z asystentów, który natychmiast wybiega z pokoju i wraca z wózkiem inwalidzkim.

Patrzę na niego z przerażeniem. Nie jestem żadnym kaleką!

– Chyba jednak nie – mówię wkurzony.

– Adam, wczoraj zleciałeś z motoru jadącego sześćdziesiąt pięć na godzinę – odzywa się Saul. – Masz szczęście, że żyjesz. Siadaj.

Naciska na moje ramię, niemal mnie zmuszając, żebym usiadł. Moje nogi się poddają i opadam na wózek.

– Zawołam kogoś – mówi Newsome.

– Nie, sam go zawiozę – ucina dyskusję Saul.

Doktor patrzy na niego, jakby mu odbiło.

– Masz jakiś problem? – pyta ostro Siwy.

Newsome podnosi obie ręce.

– Żadnych problemów.

Odwraca się i udaje, że jest bardzo zajęty swoimi wykresami i wydrukami.

Saul wyjeżdża wózkiem na korytarz. Zakładałem, że jestem w szpitalu, ale to miejsce nie przypomina żadnego szpitala, jaki widziałem. Przed drzwiami stoi dwóch strażników. Wygląda, jakby chcieli iść za nami, ale Siwy odprawia ich gestem. Faceci patrzą po sobie niepewnie, ale robią, co im każe.

Ściany korytarza są szare, podłoga betonowa. Kręcą

się tu wyłącznie żołnierze, wszyscy są uzbrojeni.

– Gdzie my, do cholery, jesteśmy? – pytam.

– W najbezpieczniejszym miejscu w Anglii – odpowiada Saul, ale więcej mi nie wyjaśnia.

W głowie brzmia mi jeszcze słowa Newsome'a: Możesz nam pomóc... albo zniknąć.

– Bezpiecznym dla kogo? – dopytuję.

– Bezpiecznym dla mnie, dla nas. Chcesz być jednym z nas, nie?

Zostawiam to pytanie bez odpowiedzi. Jestem całkowicie pewien, że nie chcę być jednym z nich, ale nie chcę faceta wnerwiać, zwłaszcza teraz. Na tym wózku jestem bezbronny. Saul to ktoś ważny, ktoś, kto im tu rozkazuje. I zdaje się, że w tym momencie jest po mojej stronie.

Przez chwilę zastanawiam się dlaczego... Ale w mojej głowie kotłuje się tyle innych myśli i pytań. Ten migoczący numer, straszny ból, który z nim przychodzi. W tym jest coś złego...

– Newsome pytał mnie o swój numer – mówię. – Ale ty nie. Nie chcesz wiedzieć?

– Nie. Nie chcę.

– Nie dziwię się. Ja też bym nie chciał.

– Mnie śmierć nie przeraża – odpowiada Siwy. – To inni tak na nią reagują.

– Dlatego staram się ludziom nie mówić. To tak, jakby dać im wyrok śmierci.

– Szlachetnie – stwierdza Saul. – Nie chcesz nikogo

ranić. Rozumiem to. Ale powiedzieć, jeśli pytają, jest w porządku. I jest w porządku powiedzieć, jeśli robisz to z właściwych powodów.

– Z właściwych powodów... – powtarzam. – Czyli jak wtedy, kiedy próbowałem ostrzec wszystkich, że będzie trzęsienie ziemi.

– Właśnie. Możesz pomóc wielu ludziom, Adam. Powinieneś pomagać ludziom. To twój moralny obowiązek.

– Nie wydaje mi się, żeby moralne było pomaganie tylko niektórym. To mi się nie podoba.

– Ale, Adam, nie mamy dość środków, żeby starczyło na pomoc wszystkim. Ludzie i tak umrą. To jedyne, co wiemy na pewno. Możesz ograniczyć liczbę zgonów, jeśli pomożesz nam zdecydować, kto najwięcej skorzysta.

Mózg mam tak samo poobijany jak resztę ciała. Nie mogę się z facetem kłócić – nie mam siły.

– To za dużo, Saul. Nie udźwignę... – mówię cicho.

On zatrzymuje wózek, obchodzi go i kuca przede mną. Znowu będzie próbował mnie przekonać?

– Każdy dźwiga jakiś ciężar – tłumaczy. – Ja mam teorię, że dostajemy tyle, ile możemy udźwignąć. Niektórzy z nas mogą znieść więcej niż inni.

Jego oczy lśnią, niemal jakby w nim, w środku, płonął ogień. Nie mam wyboru – muszę patrzeć na tego faceta, słuchać go. Jego numer mnie oszałamia, ból przeszywa. Dlaczego jego śmierć boli o wiele bardziej niż innych? 1622029. A teraz mam w głowie inny numer.

1222029. I gościa leżącego na drodze, z rozlewającą się wokół niego kałużą ciemnej krwi. Gdzie to było? Kto to był? Którego mamy dzisiaj?

– A tobie dano naprawdę duży ciężar, Adam – ciągnie Siwy. – Dar widzenia daty śmierci. Możesz go wykorzystać. Jesteś dość silny. Chcę, żebyś pracował ze mną, był moją prawą ręką. Mogę ci pomóc to udźwignąć. Rozumiem to, Adam. Naprawdę. – Kładzie rękę na mojej.  
– Adam, jesteś ze mną?

Jest w nim coś takiego, że chcę powiedzieć „tak”. Byłby potężnym przyjacielem. I strasznym wrogiem. Ale jest w nim też coś odrażającego, coś, czego nie mogę uchwycić. Kręci mi się w głowie.

Facet widzi, że jestem oszołomiony i ogłupiały. Klepie mnie po rękę i wstaje.

– Nie musisz odpowiadać natychmiast. Pomyśl o tym. Jeszcze wrócimy do tematu. – Patrzy na drzwi przed nami. – Chcesz ją teraz zobaczyć?

To już?! Ona tam jest? Sara?

Serce zaczyna mi walić. Wszystkie moje dylematy co do Saula odchodzą na dalszy plan – usiłuję przywołać wspomnienia o Sarze. Widzę jej twarz, swoją rękę na jej talii, kiedy siedzimy przy ognisku. Ale to wszystko. Boże, dlaczego nie mogę sobie przypomnieć?

*Nie. Jeszcze nie. Potrzebuję czasu.*

– Tak – mówię na głos. – Tak, chcę.

Strażnik salutuje i otwiera drzwi. Saul znika w środku, zamykając je za sobą. Zdenerwowanie mnie

rozsadza. Dlaczego nie weszliśmy od razu? Co on tam robi? Czy Sara naprawdę jest w środku, czy to jakaś ścierna?

Nie jestem gotowy.

Ale chcę ją zobaczyć.

Chcę zobaczyć moją dziewczynę.



## SARA

Rozlega się głośne pukanie do drzwi, a potem przekręca się klucz w zamku. Zaczynam nienawidzić tego dźwięku. Co teraz? Pewnie to Marion z kolejnymi głupimi pytaniami.

Wciskam rysunek Mii i szkic mojego koszmaru pod materac. Nie mogę myśleć o tym, co oznacza. Nie chcę o tym myśleć. Jedyne, o czym muszę myśleć, to jak się stąd wydostać.

To nie Marion, tylko Saul.

Aż skręca mnie w środku. Czego ten okropny facet znowu chce?

Reakcja Mii jest bardziej gwałtowna. Mała przełazi w poprzek łóżka i zsuwa się na podłogę. Kuli się w przerwie między łóżkiem a ścianą.

– Mia! – wołam.

Ona zasłania buzię rączkami.

– Zły pan... – piszczy.

Odwracam się, żeby na niego spojrzeć. Saul zamyka za sobą drzwi. Pokój natychmiast wydaje się mniejszy, jeszcze bardziej klaustrofobiczny.

– Gdzie jest Adam? – pytam szorstko.

– Tobie też dzień dobry – parska Saul.

Nienawidzę go. Nigdy nikogo nie nienawidziłam tak bardzo.

– Adam jest tutaj. Przywiozłem go ze szpitalnego

skrzydła – mówi.

– Tutaj? – powtarzam z niedowierzaniem.

I od razu próbuję precyzyjnie się koło faceta do drzwi. Ale on staje mi na drodze i blokuje mnie. Kładzie mi rękę na ramieniu. Dostaję gęsiej skórki w miejscu, gdzie mnie dotyka.

– Słódko ostrzeżenia, Saro – zaczyna ostro.

– Ostrzeżenia? Zamierzasz mi grozić?

Saul zabiera rękę z mojego ramienia i kładzie mi palec na ustach.

– Ciii – syczy.

Szarpnięciem odsuwam głowę, czuję, że zaraz się porzygam.

On uśmiecha się złośliwie.

– Tu nie chodzi o ciebie, tylko o Adama – wyjaśnia. – Wczoraj nieźle oberwał. Wystąpiła pewna utrata pamięci.

– Co... co to znaczy?

– Nie pamięta niektórych rzeczy, może nie pamiętać za wiele o tobie, o waszym związku. Możesz zauważyć zmianę w jego osobowości.

Teraz zaczynam się bać.

– Chodzi o uszkodzenie mózgu? – dopytuję.

Facet prychnął.

– Nie dramatyzuj. Walnął się w głowę, ale powoli dochodzi do siebie. Tylko zachowuj się rozsądnie. I nie spodziewaj się za wiele – mówi i otwiera drzwi.

Pierwsze, co za nimi widzę, to wózek inwalidzki. Potem Saul wpycha go do środka. Stoję bez ruchu, wbita

w podłogę. Za to Mia nie waha się ani sekundy. Wyłazi szybko ze swojej kryjówki, przemyka obok mnie i rzuca się Adamowi na kolana.

– Hej! Hej! Co to? – Adam chwyta ją za rękę.

Potem odsuwa ją od siebie, trzymając na odległość ramienia.

– Ta-taa! – piszczy mała, usiłując wykręcić się z jego uścisku. – Ta-taa, boli!

Zaczyna płakać. Łzy płyną strumieniami po jej buzi.

Mina Adama zdradza mi straszną prawdę: on nie wie, kim ona jest. Jakby ziemia mi się rozstała pod nogami. Nigdy bym się tego nie spodziewała, ale tak jest.

Potem Adam patrzy na małą, naprawdę patrzy. Jego mina się zmienia. Marszczy czoło, niemal się krzywi.

– Babcia...? – szepcze.

O Boże, zobaczył numer! Poznał, czyja to data.

Od drzwi słyszę gwałtowne wciągnięcie powietrza. Odwracam głowę i dostrzegam Saula opierającego się o framugę.

– Jak mówiłem – wyjaśnia mi – jest zdezorientowany. Ale jego bystre czarne oczy wbijają się w Adama, a potem... przesuwiają na Mię. Mają nowy wyraz, który mi się nie podoba. Jest w nich coś zimniejszego i bardziej wyrachowanego niż wcześniej.

Czy Saul usłyszał, co powiedział Adam? Czy wie, co to znaczy?

Od tego, jak ten facet patrzy na Mię i Adama, zaczynam zgrzytać zębami.

Mia i Adam...

Adam i Mia...

To, że widzi numery, zrobiło z Adama cel. Czy zmiana numeru Mii zrobi cel także z niej?

Tylko że nikt oprócz mnie i Adama o tym nie wie.

Muszę się stąd pozbyć Saula, zanim Adam powie coś jeszcze.

## ADAM

Tam jest dziecko, dziewczynka. Nie wiedziałem, że jest jakieś dziecko. Rzuca się na mnie, buzię przytula do moich kolan, czepia się mnie rączkami. Czuję się tak, jakby mnie atakowano. Odczepiam ją od siebie, odsuwam. Jest malutka, nie chcę jej wystraszyć, ale nie chcę jej na sobie – tego małego, hałaśliwego, lepkiego i obcego człowieczka.

A potem patrzę jej w oczy. Są niebieskie jak letnie niebo, a jej numer w nich migocze.

2022054.

Tańczy mi w głowie, przynosi zapach dymu papierosów, wspomnienie innych oczu – oczu tak przesywających, że kiedy raz spojrzały, człowiek był schwytyany, póki go nie puściły. To moja babcia, Val.

*Co tu się dzieje? Nic nie kumam.*

– Babcia...? – pytam.

Za sobą słyszę gwałtowne wciągnięcie powietrza.

A teraz ktoś kładzie ręce na moich dłoniach. I jest inna para oczu. Równie niebieskich i intensywnych, jak tego dziecka. Ale numer w nich jest inny. Zalewa mnie ciepłem, każda komórka w moim ciele aż promienieje.

2572075.

– Sara – szepczę.

Jak mogłem zapomnieć?!

Teraz ją poznaję. Znam jej historię, jej przeszłość,

nasze wspólne życie. Wiem, że ona mnie kocha. Wiem, że ja ją Kocham. I wiem, kim jest ta dziewczynka. To nasza córka. I ma imię: Mia.

W oczach czuję łzy ulgi.

– Już dobrze – szepcze Sara, a ja jej wierzę.

Jej numer mówi mi, że w końcu wszystko będzie dobrze. Cokolwiek dzieje się teraz, poradzimy sobie z tym. Będziemy razem.

– Możesz nas zostawić? – mówi Sara do Saula. W jej głosie pobrzmiwa teraz ostrzejszy ton. Jej niebieskie oczy spoglądają twardo ponad moim ramieniem.

Zapada dłuższa cisza. Nie patrzę na faceta, tylko na Sarę. Moją dziewczynę.

– Oczywiście. Nie śpieszcie się. Możecie w spokoju... pogadać – odpowiada w końcu Saul.

I słyszę, jak zamykają się drzwi. W zamku obraca się klucz. Z korytarza dochodzi stukot butów, coraz słabszy. Poszedł. Jesteśmy sami.

Rozglądam się. Znajdujemy się w nagiej, prawie pustej celi, zamknięci we trójkę.

Kciukami głaszczę ramionka dziecka.

– Mia – odzywam się. – Cześć, Mia.

Ona unosi ku mnie buzię zalaną łzami.

– Tata – mówi, czkając.

– Tak, tata – odpowiadam.

Podnoszę ją tak, że siada mi na kolanach. Nie dziwiłbym się, gdyby się wyrwała i schowała przede mną, ale ona tego nie robi. Przytula się do mnie, wtula mocno.

Obejmuję ją ramionami. Jest taka malutka. Jej jasne kręcone włosy łaskoczą mnie w podbródek. Nie wiem, co mam jej powiedzieć, ale to nie ma znaczenia. Siedzimy tak i obejmujemy się, milcząc, podczas gdy Sara mocno trzyma mnie za rękę i patrzy na nas niesamowicie niebieskimi oczami.

– No więc jak się czujesz? – pyta po dłuższej chwili.

– Wszystko mnie boli. Nie pamiętam różnych rzeczy.

Na przykład jak się tu dostałem.

– Jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz?

– Siedziałem z tobą przy ognisku. Byli tam inni ludzie. Byliśmy w lesie.

– Tak, to był Daniel i ludzie w jego obozie. Zanim przyjechał Saul. Czyli nie pamiętasz, jak się pojawił ani jak zabrał Mię?

– Zabrał Mię?

– Tak. Nie pamiętasz, jak siedziałeś na siodełku?

– Na rowerze?

– Nie, na wielgachnym motorze. Jak spadłeś, walnąłeś się w głowę i straciłeś przytomność?

Próbuję pogrzebać w swojej głowie, dokopać się tych brakujących elementów, ale natrafiam na pustkę.

– Pamięć wróci – uspokaja mnie Sara i głaszcze po rękę. – Nie denerwuj się. Teraz jesteś tutaj. Jesteś bezpieczny, ale... – urywa – to miejsce nie jest dobre, Adam. Musimy się stąd wydostać.

– Saul mówi, że tu jest bezpiecznie – zaprzeczam.

Ona się krzywi.

– Adam, co o nim wiesz? – pyta.

Zastanawiam się, zanim odpowiem.

– Jest... kimś ważnym, dowódcą. Ludzie go słuchają, robią, co im każe. Kazał im przestać zadawać mi pytania, przywiózł mnie do ciebie.

Sara odwraca wzrok, ogląda własne paznokcie. Potem znowu patrzy prosto na mnie.

– Adam, to morderca – mówi. – Zastrzelił jednego z własnych ludzi i postrzelił Daniela w nogę. Naprawdę nie pamiętasz?

Zastrzelił jednego ze swoich ludzi. Facet leżący na drodze – tak, przypominam sobie. To o to morderstwo oskarżał mnie Newsome? Dlaczego Saul nic wtedy nie powiedział? Żeby uratować własną skórę?

Przez chwilę nie mogę wydusić słowa.

– Nie, nie – odzywam się w końcu. – Nie mogę w to uwierzyć...

Jednak w tym momencie przypominam sobie ciemne oczy, które wydawały się rozświetlone ogniem, ten migoczący numer...

Chcę, żebyś pracował ze mną, był moją prawą ręką...

Czy to jest człowiek, który porwał moją córkę i dziewczynę, który strzelał do mojego przyjaciela? Ale w takim razie dlaczego mi pomagał, stawał po mojej stronie przeciw Newsome'owi?

Zmuszam się do powrotu do terażniejszości i pytam:

– Co się wtedy stało?

– Kiedy nas porwali, Daniel próbował nam pomóc...



– zaczyna opowiadać Sara. Przez krótką chwilę widzę mężczyznę z brodą, stojącego na drodze. To przyjaciel. Mierzy ze strzelby, strzela do czegoś i... Obraz znika.

– Nie pamiętam, Saro. Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć?! – Walę się dłonią w czoło.

Mia podnosi głowę i patrzy na mnie. Oczy ma szeroko otwarte i pełne niepokoju. Zsuwa się z moich kolan i chowa za mamą.

– Czego jeszcze nie wiem?

Spoglądam na Sarę i odnajduję kolejne wspomnienie: dwóch chłopców śmiejących się przy ognisku.

– Twoi bracia...

Jej oczy wypełniają się łzami.

– Chyba nic im nie jest – mówi. – Są w obozie z przyjaciółmi Daniela. Ale nie mogę mieć pewności. Musimy do nich wrócić.

Mam wrażenie, że zaraz oszaleję. Znowu walę się w głowę.

– Co to za miejsce? Dlaczego tu jesteśmy? – pytam.

I znowu. *Bam, bam, bam.*

To nie pomaga. Ruch, dźwięk tylko mnie bardziej denerwują, ale nie mogę przestać.

– Adam! Uspokój się! Adam! – krzyczy Sara.

Teraz kręcę głową jak jakiś świr, usiłuję zagnać myśli z powrotem na miejsce i odnaleźć wspomnienia. W głosie Sary słyszę strach, ale nie mogę przestać.

– Adam! Spójrz!

Sara podsuwa coś przed moje oczy i tak przełamuje

ten mój chory stan.

– Popatrz na to – mówi.

– Co to jest?

– Rysunek Mii – odpowiada. – Mia rysowała.

Mała uśmiecha się teraz, wyglądając zza mamy Sara też się uśmiecha i zachęca mnie:

– Założę się, że zgadniesz, co to, jeśli się przyjrzysz.

Na kartce widzę pięć okrągłych kształtów w różnych kolorach. Dwa duże elementy – jeden czerwony, drugi niebiesko-różowy – i trzy mniejsze: zielony, pomarańczowy i mały żółty. Od razu wiem, że to rodzina, rodzina kształtów. I wtedy to do mnie dociera, jakby strzelił piorun albo ktoś odpalił fajerwerki. To nasza rodzina. Ja, Sara, Mia i chłopcy.

– To my... Naprawdę to narysowałaś? – pytam małą.

Mia kiwa główką, rozpromieniona, zbyt dumna, żeby cokolwiek powiedzieć.

– To wspaniałe.

Obejmuję ją ramieniem i delikatnie przytulam.

– Adam – zaczyna powoli Sara – pamiętasz, jak twoja babcia mówiła, że widzi moją aurę?

– Tata – wtrąca się Mia, wskazując paluszkami na czerwony kształt, potem na niebiesko-różowy – mama.

Patrzę na nią, a potem znowu na rysunek. Kolory coś znaczą. Gwizdę przez zęby.

– Widzi je, nie? – wykrztuszam w końcu. – Ma to od mojej babci.

To naprawdę wielka rzecz. Sądząc po minie Sary, ona

też tak uważa.

– Mia ma numer babci i też widzi aury ludzi – mówię to głośno.

Patrzę na córkę i jej numer drażni moje myśli. Ona jest malutka, delikatna i... z cudzym numerem. Śmierć, która pasowała do babci, do niej wcale nie pasuje.

Mia jest żywym dowodem na to, że dwa lata temu w tym pożarze stało się coś niesamowitego i przerażającego jednocześnie.

Mam gęsią skórę na całym ciele.

Pytanie, które dręczyło mnie tyle razy wcześniej, znowu się pojawia w mojej głowie.

Czy babcia jej to dała – swoje życie, swój dar?

A może Mia sama je wzięła?

Czy ona może zabrać komuś życie?

## SARA

Musimy się stąd wydostać – mówię.

– Oni wiedzą? Wiedzą o niej cokolwiek? – pyta Adam z niepokojem.

– Nie, tylko ty i ja. Ale zaczynają się nią interesować. Jest taka kobieta, Marion... Gadała z nami rano, cały czas naciskała, węszyła, wtykała nos w nasze sprawy. To ona zachęciła Mię do rysowania.

– Myślisz, że ta baba się domyśliła, co to znaczy?

– Nie, chyba nie. Adam, musimy chronić Mię. Jest wyjątkowa, nawet bardziej, niż myśleliśmy. Jest inna.

– Jej numer też jest inny.

– Co to znaczy?

– Migocze mi w głowie. W całym moim życiu widziałem tylko jeden podobny.

– Kto? Ktoś tutaj? – pytam, zaskoczona.

Adam zamiera, jakby nie wiedział, czy powinien mi to zdradzić, czy nie.

– Nie musisz mi mówić – uspokajam go. – Nie chcę znać niczyich numerów.

On przez chwilę milczy, nie patrzy na mnie, tylko w stronę drzwi. Z czymś się zмага w środku.

Wiem, że nie należy na niego naciskać, więc kieruję rozmowę z powrotem na Mię.

– Nie mamy pojęcia, co się stało w tym pożarze, prawda?

– Nie.

– Byłeś tam. Jak myślisz, co to było? Pamiętasz coś?  
Adam pociera czoło dłonią.

– Kazałem babci iść przez płomienie, żeby wydostała się z domu. Byłem przekonany, że nic jej się nie stanie. Miała przecież bezpieczny numer. A my... my zostaliśmy w środku, żeby znaleźć Mię.

W myślach jestem tam teraz z nim. Słyszę huk płomieni i trzask belek pękających wokół nas, czuję zapach przypalanego ciała i włosów.

– Było jej gorąco, prawda? – ciągnie Adam; jego głos trochę drży. – Naprawdę gorąco. Wszystkim nam było. Ty wyszłaś pierwsza, a ja trzymałem Mię, usiłowałem ją osłonić przed płomieniami. Przeszedłem przez ogień. Nie widziałem babci ani w ogóle niczego.

– Ja tak – przerywam mu.

– Co?

Nigdy wcześniej mu o tym nie powiedziałam.

– No, nie widziałam jej, ale słyszałam jej głos. Czułam jej rękę – tłumaczę.

On pochyła się i chwyta mnie mocno za ramiona.

– Dlaczego mi nigdy o tym nie powiedziałaś? – pyta z wyrzutem.

– Nie byłam pewna, czy to się stało naprawdę. Ale chyba tak. Nie wiedziałam, co się dzieje, kompletnie zgłupiałam w tym ogniu. Spanikowałam. Ale ktoś mnie złapał za rękę i skierował we właściwą stronę. Słyszałam jej głos: *Tędy. Tylko kilka kroków...*

Adam puszcza mnie i opada na wózek. Gapi się na mnie z na wpół otwartymi ustami.

– Babcia była tam z tobą. Dotknęła cię. Więc dlaczego to nie ty dostałaś jej numer? – pyta po chwili.

– Nie wiem. Mój numer nie wypadł tego dnia, nie? Mii tak. Może Val do niej też sięgnęła.

Mam łzy w oczach, Adam też.

– Wyciągnęła do ciebie rękę – powtarza. – Nie myślałem... nigdy nie myślałem, że ją stracę.

– Wiem. Przykro mi. Mam wrażenie, że to w pewnym sensie moja wina. Czuję się winna, nie wiem dlaczego. Ale mieliśmy wielkie szczęście, że Mia ocalała. To cud, że nadal ją mamy, i musimy ją chronić, Adam. Musimy zachować jej numer w tajemnicy, żeby była bezpieczna.

– Tak, masz rację. Informacja o tym, co się wtedy stało, co babcia zrobiła... to prawdziwa bomba. To musi pozostać między nami. – Zaraz potem dodaje: – Musimy jak najszybciej zabrać stąd małą.

I wtedy otwierają się drzwi celi.

Z korytarza wpada światło, wbiega kilku żołnierzy. Nie patrzą na nas, nie odzywają się. Nie zdążyłam nawet mrugnąć, a oni zrzucają Adama z wózka i przygważdżają do podłogi. On wierzga i krzyczy, ale zaraz leży unieruchomiony, twarzą do betonu. Ktoś wbija mu kolano w plecy, wydusza z niego powietrze.

Widzę, że Adam cierpi. Wrzeszczę, Mia też.

– Tata! Tata!

– Adam!

Tak się na nim skupiam, że nie rejestruję przyjścia Saula, póki głęboki, ostry głos nie przekrzykuje naszych wrzasków:

– Zabierzcie go!

Facet stoi z tyłu, z założonymi rękami, ale nie patrzy na Adama. Wzrok wbija w Mię i we mnie.

Nie mogę nie myśleć o tej nocy przy ognisku, kiedy nas wyśledził. Nienawidziłam go wtedy i nienawidzę teraz. Przyciągam Mię mocniej do siebie.

Żołnierze muszą się nieźle namęczyć, żeby wynieść Adama. Dostał szau, kiedy wszedł Saul: krzyczał na niego, kopał, rzucał się, we wściekłości zapominając o własnym bólu.

Sama też wrzeszczę, ale to niczego nie zmienia. Nie mogę uwierzyć, że znowu go tracę. Dopiero co go odzyskałam. Nie mogę uwierzyć, że mnie tu zamkną.

Ale tak jest.

Mia i ja. Uwięzione w pokoju, który ma pięć kroków na cztery, z łazienką dwa kroki na trzy. Nie ma tu żadnych okien, nie licząc kratki w drzwiach. Nie ma słońca. Nie ma świeżego powietrza.

Tracę poczucie czasu. Ten dzień był naprawdę koszmary. Mia jest teraz wystraszona, zdenerwowana, ale w końcu uspokajają ją przytulenie i piosenka. Gdyby tylko to mogło pomóc i mnie... Ale myśli nie dają mi zasnąć, bez ustanku wirują w mojej głowie.

Jedzenie przynosi ten sam młody strażnik. Nie wiem, co to ma być za posiłek: zupa i krakersy, mleko dla Mii. Na tacy jest coś jeszcze – mały plastikowy kubek z białą pigułką w środku.

– Wziąłbym na twoim miejscu – mówi strażnik. – Pomoże ci zasnąć. Zwłaszcza po dzisiejszym dniu. Wszyscy je tu bierzemy.

– Nie, dzięki – odmawiam.

Chociaż perspektywa kolejnej nieprzespanej nocy jest straszna, to pigulek brać nie będę. Nie będę się niczym szprycować.

– Gdzie jest Adam? Co z nim zrobili? – pytam.

– Jest w izolatce. Nic więcej nie wiem.

– Nie rozumiem, dlaczego go zabrali. Przecież tylko rozmawialiśmy... Jak długo będą go tam trzymać? Kiedy mogę go zobaczyć?

Chłopak wzrusza ramionami, ale w jego oczach widać litość, kiedy spogląda na Mię śpiącą na łóżku.

– Nie wiem, naprawdę.

Boże, jeśli stracę Adama, chyba sobie nie poradzę. Potrzebuję go. Kocham go. Dlaczego było trzeba aż tego, żebym to zrozumiała?

– Właściwie to muszę widzieć, jak połykasz pigułkę – mówi strażnik, skinieniem głowy wskazując plastikowy kubeczek na tacy. – Inaczej przyjdą ze strzykawką.

Patrzę na niego, zszokowana. On znowu wzrusza ramionami, ale widać, że mu się to nie podoba.

– Nie mogę – odpowiadam. – Nie potrzebuję



lekarstw, a poza tym nie będę brać niczego, co może podziałać na dziecko.

– Nie daliby ci tego, gdyby mogło zaszkodzić.

– Naprawdę tak myślisz? – pytam go.

Chłopak przygląda mi się przez chwilę.

– Może nastawię ci prysznic? – proponuje nagle.

Marszczę czoło. Już nic nie kapuję. O co mu chodzi?

Strażnik przywołuje mnie do łazienki. Idę za nim.

Włącza prysznic. Stajemy obok strumienia wody.

– Tutaj nas nie usłyszają – szepcze, choć woda leci z głośnym szumem na posadzkę.

*Usłyszają.*

Patrzy na mnie spokojnie, czeka, aż to do mnie dotrze. I w końcu załamuję.

Podśluchiwali nas! Wiedzą o Mii. Wiedzą o zmianie jej numeru i o tym, że mała widzi aury jak Val. I wiedzą, że chcemy się stąd wydostać. Dlatego przyszli po Adama – żeby go usunąć z drogi, żeby nas rozłączyć, żeby nikt nie mógł nas chronić.

I teraz do mnie dociera – bez najmniejszych wątpliwości – że następną zabiorą Mię.

To znaczy, że nie zostało nam wiele czasu. Musimy uciec.

Zerkam na strażnika. Czy hałas prysznicza naprawdę zagłusza nasze słowa? A co, jeśli to sztuczka, żeby wyciągnąć ze mnie więcej? Ale nie mam wyboru. Muszę mu zaufać. Tylko jego mogę spytać, tylko on okazał mi w tym miejscu trochę współczucia.

– Słuchaj, potrzebuję twojej pomocy – szepczę. –  
Potrzebujemy twojej pomocy, żeby się stąd wydostać.

No, proszę, powiedziałam to.

Co się stanie, jeśli to usłyszeli? A nawet jeżeli nie, złożyłam swoje życie – i Mii, i Adama – w ręce tego strażnika. Przez jedną straszliwą chwilę zastanawiam się, czy właściwie go oceniłam. Pomoże nam?

Patrzymy na siebie kilka długich sekund.

– To niebezpieczne – wreszcie mówi cicho. – Jeśli mnie złapią, czeka mnie sąd wojenny.

Pozwalam sobie poczuć odrobinę ulgi. Chłopak jest po naszej stronie.

– Co to znaczy? – Chcę wiedzieć.

On przesuwa palcem po gardle. Jest zdenerwowany. Jeśli udaje, robi to naprawdę dobrze.

– Aż tak? – pytam.

Kiwa głową.

– Ale my musimy stąd uciec! – Jestem już bliska łez.  
– Inaczej bym nie prosiła.

Strażnik przygryza wargę. Mruga gwałtownie, spogląda na mnie i znowu odwraca wzrok.

– Adam... on uratował życie mojej mamie – szepcze w końcu, ale tak cicho, że ledwo go słyszę przez szum prysznic. Pochyliłam się, żeby złowić każde słowo. – Mieszkała na dwunastym piętrze bloku w zachodnim Londynie. Zobaczyła Adama w wiadomościach i uciekła. Ten wieżowiec był jednym z tych, które się zawaliły. W całości. Zginęłaby, gdyby nie on. Więc jestem mu coś

winien. – Patrzy mi prosto w oczy. – Pomogę ci, Saro. Zrobię, co się da.

– Dziękuję. – Oddycham z ulgą i kładę mu rękę na ramieniu.

– A tak w ogóle to jestem Adrian – dodaje chłopak.

– Dzięki, Adrian. Możesz przekazać Adamowi wiadomość ode mnie?

On wsysa powietrze przez zęby.

– Proszę, proszę – błagam go. – Zaczekaj tutaj.

Wracam do pokoju, wyciągam spod materaca kartkę i kredkę Mii.

Nie bardzo wiem, jak powinna brzmieć wiadomość. Zwłaszcza jeśli wpadnie w niewłaściwe ręce. W końcu piszę: „Wróć do mnie. Ufaj Adrianowi. Xx”.

Adam będzie wiedział, co to znaczy.

Składam kartkę trzy razy i podaję strażnikowi. On waha się. Zerka na śpiącą na łóżku Mię, zwiniętą w kłębek. I bierze zwitek. Wkłada go do kieszeni na piersi.

Kiedy przechodzimy z powrotem do pokoju, mówi głośno:

– A teraz chcę widzieć, jak połykasz pigułkę. Dobrze ci to zrobi, obiecuję.

Wysypuje pigułkę z kubeczka na moją dłoń. Zaciskam wokół niej palce.

– Właśnie tak – komentuje, mrugając do mnie. – Najlepiej od razu. Dobranoc, Saro.

Kiedy chłopak wychodzi, wracam do łazienki i wrzucam pigułkę do sedesu. Tańczy w wirującej wodzie,

gdy pociągam za spłuczkę, a potem znika.

Niedługo potem jarzeniówka na środku sufitu gaśnie i w pokoju znowu robi się ciemno. Odrobina światła wpada jedynie przez kratkę i przed dwie szpary nad i pod drzwiami.

Leżę obok Mii, rozmyślając o ludziach, za którymi tęsknię. Adam, Marty i Luke... Czy Adam dostanie moją wiadomość? Jeśli tak, to czy uda mu się ją przeczytać? A może leży gdzieś pobity albo związany? Czy Marty i Luke są nadal z Danielem? Czy Daniel żyje?

Cały czas, gdy tak rozmyślam, mam otwarte oczy, wpatruję się w kratkę w drzwiach. Jest bezpośrednio naprzeciwko łóżka. Całą noc mogą nas obserwować. Całą noc będą nas obserwować.

Nie mogę tak leżeć na widoku.

Wyślizguję się z łóżka i podchodzę do drzwi. Opieram się o nie plecami i osuwam na podłogę. Ja nie widzę kratki, a oni nie widzą mnie.

Dziecko rusza się w moim brzuchu. Odchylam głowę, zamykam oczy. Nie chcę spać, nie chcę śnić, ale wyczerpanie i tak mnie dopada.

*Nie jestem już sama. Ale to nie Mia jest ze mną. To ktoś inny. Jego twarz jest blisko mojej. Czuję kwaśny oddech, widzę igielki zarostu na szczęce. On oblizuje wargi, ale w kąciку ust zostaje kropla śliny. Oddycha niemal równie szybko jak ja. Muszę uciec. Rozglądam się za jakąś kryjówką, bezpiecznym miejscem. Wszędzie są kryjówki – drzewa, kamienie i krzaki. Ale nie mogę biec.*

*Nie mogę nawet iść.*

*Przeszywa mnie ból, fala za falą.*

*Moje nogi nie działają. Jestem przykuta do tego miejsca. Tutaj. Z nim.*

*Nigdy dotąd nie czułam takiego przerażenia. Chcę krzyczeć, ale mój głos jest zniewolony, zduszony w zbolałym ciele.*

*Zamiast tego moje bezradne krzyki odbijają mi się echem w głowie.*

*– Pomocy! Pomocy! Czy ktoś mi pomoże?!*

## ADAM

Teraz jestem w prawdziwej więziennej celi. Nagi beton, materac i wiadro w kącie. Na ścianach są znaki, ciemne smugi. Nawet nie chcę myśleć, czym ktoś je zrobił.

Muszę im powiedzieć, że to jakaś pomyłka. Przecież ja nie chcę żadnych kłopotów. Nie trzeba mnie zamykać. Wszystko było w porządku, dopóki nie zastawili na mnie tej pułapki. Więc za co tu, do cholery, jestem?! Wiem, że musieli mnie obezwładnić, bo znowu mi odbiło. Ale przecież ja się tylko broniłem!

Tu nawet nie mogę myśleć. Mój mózg nie działa. Nie zdołam wykombinować, jak stąd uciec i jak dostać się do Sary. A przecież stąd musi być jakieś wyjście. Musi.

Nie wiem, jak długo tu siedzę. Światła są cały czas zapalone, nie dostaję jedzenia ani wody.

Nagle słyszę klucz w zamku. Siadam na materacu, staram się przygotować na to, co mnie czeka.

To Saul. Kiwa głową żołnierzowi pilnującemu celi.

– Zapukam, jak będę gotowy – mówi.

Wchodzi. Drzwi się zamykają. Jesteśmy sami.

– Adam – odzywa się Siwy i opiera o drzwi. – Jak się czujesz?

– Jestem zmęczony – odpowiadam. Nic nie rozumiem, jestem wściekły i przerażony. – Jaki dziś dzień?

– Wtorek – informuje. Chyba mam głupią minę, bo dodaje: – Trzynasty lutego.

W tej chwili wydaje mi się, jakby dwunasty – kiedy zastrzelił swojego kumpla – był rok temu.

A teraz przed oczami mam numer Saula. 1622029. Zostały mu trzy dni. I czuję jego bolesny koniec, jak cios w brzuch. To koszmarnie, taka agonia jest ohydna. Czuję się słabo, tracę oddech.

– Chcę stąd wyjść – mówię. – Chcę z powrotem do Sary, do Mii. Dlaczego mnie od nich zabraliście? Dlaczego tu jestem? Nic nie kapuję.

Facet uśmiecha się zagadkowo.

– Dlatego tu jesteś, Adam, żebyś zrozumiał i pomógł nam zrozumieć swój dar. Potrzebujemy twojej pomocy. Ja potrzebuję twojej pomocy.

Podchodzi do materaca i kuca koło mnie. Nie podoba mi się, że jest tak blisko. Poruszam się niespokojnie.

– Nie chcę pomagać, jeśli to znaczy, że mam wybierać, komu się pozwoli umrzeć – wyrzucam z siebie.  
– Nie mogę tego robić. To nie jest w porządku.

– Adam, masz bardzo uproszczoną wizję dobra i zła. Życie nie jest czarno-białe. Jest pełne trudnych decyzji. Czasami wszystko jest „złym” wyborem i trzeba zdecydować się na mniejsze zło.

– Nie wierzę w to. To jest pojebane.

On kiwa głową z politowaniem.

– Jesteś taki miody. Ile masz lat? – pyta.

– Osiemnaście.

Uśmiech znika z jego twarzy.

– Ledwo pamiętam, jak miałem osiemnaście lat... –  
Robi długi wydech i spuszcza wzrok. – Gdybyś tylko  
wiedział...

Potem podnosi głowę i patrzy prosto na mnie. Jego  
numer uderza mnie w pełni, aż stękam. Chcę odwrócić  
oczy, ale nie mogę. Złapał mnie. Czuję ból, odległy już  
tylko o kilka dni, i jestem przerażony. Serce mi wali.

Nie chcę, żeby ten facet był tak blisko. Nie chcę go w  
tej celi.

Jego numer, migoczący. Migoczący jak Mii...

I wtedy, w końcu, załapuję. To do mnie dociera jak  
cios młotem – Saul ma cudzy numer. Nie ma innego  
wyjaśnienia.

– Pytałeś, czy chcę znać swój numer – odzywa się  
cicho, obserwując moją twarz. – Ale ja już go znam.

Nie mogę mówić. Gapię się na niego. Drobne mięśnie  
w jego twarzy drżą. Jego czarne oczy paląco wpatrują się  
w moje. W ich głębi widać iskrę szaleństwa.

– Nigdy nikomu tego nie powiedziałem – wyznaje.  
Potem śmieje się krótko. – No, nikomu, kogo nie miałem  
akurat zabić.

Włosy na karku stają mi dęba. Saul mnie zabije? To  
chce powiedzieć?

Facet kładzie mi dłoń na ramieniu, pochyla się  
jeszcze bliżej. Jego oddech jest kwaśny, w kącie ust  
widzę bąbel śliny. Chcę strząsnąć jego rękę, ale nie mogę  
się ruszyć – sparaliżował mnie strach.



– Długo cię szukałem, Adam...

– Dlaczego? – zadaję to pytanie, chociaż nie chcę znać odpowiedzi. Mój głos wydaje się odległy, metaliczny.

– Bo chcę, żebyś był moimi oczami – odpowiada Siwy.

– Co chcesz?!

– Chcę widzieć to, co ty widzisz. Chcę widzieć numery.

– Ale myślałem... Przecież znasz własny numer.

– Widzę je, Adam. Ale... – zgrzyta zębami – widzę je tylko w ostatniej chwili, w ostatniej sekundzie ich życia – w jego głosie pobrzmiewa złość, cień frustracji, którą dusi w sobie. – W momencie, kiedy opuszczają czyjąś duszę, i tuż przed tym, jak wejdą w moją.

Co?!

I wtedy, powoli, wręcz boleśnie, mój umysł wyciąga wniosek... Ich.

Saul zabrał więcej niż jeden numer! To złodziej numerów. Cholerny kot z dziewięcioma życiami. Więcej niż dziewięcioma...

*Jak Mia...*

*Jak Mia...*

*Jadę na motorze. Czuję wiatr na twarzy, zapach oleju w nozdrzach, wibracje silnika w rękach i nogach.*

*Saul jedzie koto mnie, z Sarą z tyłu. Salutuje. Trzask – i lecę w pustkę. Potem nic...*

*Jak Mia...*

Nie ma słów, które by wyraziły, co czuję. Mogę tylko siedzieć i patrzeć, podczas gdy wszystko w środku mnie zamiera.

## SARA

Budzę się w ciemnym pokoju, złana potem. Leżę na cienkim materacu. Słyszę płacz.

Rzeczywistość wiruje i wyślizguje mi się. W którym koszmarze jestem?

Znowu mam czternaście lat? Jest tu mój tata? W pokoju jest ciemno. W drzwiach nie ma zamka. Nie mogę zabronić Mu wejść. Czy On jest teraz tutaj, a może właśnie wyszedł?

To nie może być mój płacz – mnie nie wolno było wydawać żadnych dźwięków. Powiedział, że inaczej mnie zabije...

Teraz pojawia się jakaś kobieta, pochyla się nade mną. Kładzie rękę na moim ramieniu.

I w końcu z tej mieszaniny wspomnień i koszmarów krystalizuje się jedna rzeczywistość. Smród chemikaliów – rozpoznaję ten ostry zapach. Moja cela. Jestem w bunkrze.

I Marion. Widzę jej sylwetkę na tle prostokąta światła padającego z na wpół otwartych drzwi. Twarz kobiety pozostaje w cieniu, ciało góruje nade mną.

– Krzyczałaś we śnie – mówi do mnie. – Miałaś zły sen, prawda?

– Wynoś się z mojego pokoju! – wrzeszczę.

– Co ci się śniło, Saro?

– Nie wiem. Wynoś się. Zostaw mnie w spokoju!

Ale wiem. Panika jest prawdziwa – serce wciąż wali mi w piersi – i ból był prawdziwy, i to miejsce. Nigdy tam nie byłam, ale i tak czuję w nozdrzach ten zapach wilgoci, czuję zimno przenikające mnie aż do kości.

Mia też tu jest – wyciąga rączkę, żeby dotknąć mojej twarzy. Łzy napływają mi do oczu.

– Mama płacze – szepcze mała. – Nie płacz, mama.

Ale nie mogę przestać. Wiem, że zbliża się czas, kiedy jej nie będzie obok mnie. Nadejdzie niedługo. Widzę to, tak samo jak kiedyś widziałam Chaos. Narysowałam Chaos bezwiednie – tkwił w mojej głowie. I ostatnio narysowałam też ten nowy koszmar. To się wydarzy.

– Saro, co to było? Co ci się śniło? – Marion nie ma zamiaru odpuścić.

– Nic! Nie wiem. Do jasnej cholery – krzyczę – dajcie mi wreszcie spokój!

– Widziałaś Chaos, prawda, Saro? Widziałaś datę i narysowałaś to. Co ci się śniło teraz, Saro? – wścibska baba nadal wypytuje.

– Nic. Już ci mówiłam, już nie mam snów.

– Przed chwilą miałaś. Widziałam.

– Od jak dawna tu jesteś?! I co, napatrzyłaś się? To cię kręci? Podglądanie innych ludzi?

– Ja nie... – Marion próbuje się tłumaczyć. – Nie wiem, o czym...

– Nie powinnaś tu być, ty wredna wiedźmo! Nie powinnaś być w cudzym pokoju. To jest złe! Całe to

miejsce jest złe. Wynoś się! Wynoś się stąd!

Zrywam z siebie koc i rzucam się na nią. Wymachuję na oślep rękami, usiłując ją uderzyć, podrapać, zranić.

Wreszcie Marion się poddaje. Pośpiesznie wybiega z pokoju, zatrzaskuje za sobą drzwi.

Mia znowu się zdenerwowała. Przez ostatnich kilka dni tyle przeszła, tyle widziała...

Siadam przy niej na łóżku, aż znowu zasypia, może po godzinie. Patrzę, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada, jak regularnie oddycha. Po chwili jej oddech przyśpiesza. Rączki i nóżki podrygują. Mała mamrocze coś przez sen.

Coś jej się śni.

## ADAM

Saul, nie mogę ci pomóc. Tak nie można. Nie wolno zdradzać numerów.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Zamykam się. Nie chcę mu tłumaczyć, bo potem by gadał na moją mamę. A wtedy naprawdę musiałbym mu przywalić.

Siwy cmoka z niecierpliwością i kręci głową z wyraźną irytacją.

– Nie myślisz jasno – mówi. – Już ci powiedziałem, życie nie jest czarno-białe. Teraz działam na ślepo, dlatego muszę wiedzieć. Adam, możesz ratować ludzi.

– Ratować? – Nie rozumiem.

– Ratować przede mną.

Muszę to przetrwać. Chodzi mu o ratowanie tych, co mają złe numery, ludzi, którzy niedługo umrą – w każdym razie za wcześnie dla niego. Facet chce numerów z długim życiem.

– Muszę tylko znaleźć ten właściwy... we właściwym czasie – ciągnie, jakby mówił sam do siebie. – Gdybym tylko mógł widzieć numery. Gdybym mógł się nauczyć, gdybym mógł to załapać...

– Nie mogę cię nauczyć – przerywam mu. – Urodziłem się z tym. Nawet nie wiem, jak to robię.

– Nie, nie możesz mnie nauczyć – zgadza się ze mną Siwy. – Ale może mógłbyś mi to dać. Dałbyś mi to...

gdybym ładnie poprosił? – Teraz uśmiecha się do mnie, ale to karykatura uśmiechu, taką samą minę ma lis na widok królika. – Ja ci dam moje zdolności, a ty mi twoje. – Śmieje się wrednie. – Tak, to mi się podoba. Zrobimy wymianę.

I wtedy rozumiem, wszystko jest jasne – jeśli mu nie pomogę, on pomoże sobie sam. Zabije mnie. Za dwa dni, kiedy nadejdzie jego numer, weźmie sobie mój i będzie miał nadzieję, że zdolność widzenia numerów przejmie razem z nim.

– Odpieprz się, Saul – warczę.

Strach sprawia, że słowa więzną mi w gardle. Zrywam się i podchodzę do przeciwległej ściany, zapieram się o nią rękami, chowam głowę w ramionach.

Siwy też się podnosi i staje blisko mnie. Za blisko.

– Jeśli nie ty, Adam, to kto? – mówi mi cicho do ucha. – Kto ma taki dar, jak ty? Kto jeszcze ma taki sam dar? Może twoja córka?

Po tych pytaniach podchodzi do drzwi i puka, żeby go wypuścili.

Zostaję sam, a słowa Saula wciąż rozbrzmiewają w mojej głowie. Szczerze mówiąc, ta cela nie jest dość duża, żeby pomieścić kłębiące się we mnie myśli.

Numer Saula mnie prześladowa. Bez przerwy migocze mi w głowie, niezależnie od tego, czy mam otwarte czy zamknięte oczy. Nie mogę przed nim uciec.

Facet nie raz już zabił, żeby żyć.

Groził, że zabije mnie.

I groził, że zabije Mię.

Teraz już wiem, jakim potworem jest Saul.

A najgorsze jest to, że Mia też ma migoczący numer. Numer babci. Czy to znaczy, że Mia jest taka sama jak Saul? Moja córka jest morderczynią...?

Siadam na materacu i chowam twarz w dłoniach. Moja dziewczynka. Moja mała dziewczynka. Przypominam sobie jej buzię, kiedy pierwszy raz pokazałem jej ptasie gniazdko z błękitnymi jajeczkami w środku. Jej zachwyty. Czystą radość. Ona nie mogłaby zabić, prawda?

Nie podnoszę głowy, kiedy znowu słyszę otwierające się drzwi. Jeżeli to Saul, nie jestem jeszcze gotowy dalej z nim rozmawiać. Nie mogę dać mu odpowiedzi, no, w każdym razie takiej, jaką chce usłyszeć.

Ale to nie Saul. To strażnik z tacą z jedzeniem. Podaje mi ją, więc kładę ją na materacu – jest zupa, krakersy i kubek wody. On dalej stoi, nie rusza się, niemal jakby czekał na napiwek.

W końcu patrzę mu w twarz. Na oko jest w moim wieku, chudzielec z rzadkimi wąsikami. Jest zdenerwowany, trochę zarumieniony. Zdecydowanie na coś czeka.

Odchrząkuje i ruchem głowy wskazuje tacę, znacząco. Zerkam w dół. Spod miski z zupą coś wystaje.

Strażnik odwraca się plecami.

To kawałek papieru. Wyciągam go i rozkładam. Na jednej stronie jest jakiś rysunek, to chyba cmentarz.



Dziwne. Obracam kartkę, tam jest coś napisane. Pięć słów: „Wróć do mnie. Ufaj Adrianowi”. I dwa całusy. Podpisane: Sara.

– Ty jesteś Adrian? – pytam.

Chłopak kiwa głową.

– Powiedz jej... – zaczynam, ale on kładzie palec na wargach.

Oczywiście, mogą nas podsłuchiwać.

Gość jest sprytny. Wie co i jak. Podaje mi ogryzek ołówka. Mogę przesłać odpowiedź.

Nigdy nie byłem dobry w czytaniu i pisaniu. Próbowiałem, ale nigdy nie miałem do tego cierpliwości. W tej chwili mam wrażenie, że mógłbym napisać książkę. Mam Sarze tyle do powiedzenia, tyle powinna wiedzieć. Chcę, żeby wiedziała, że ją kocham. Chcę, żeby wiedziała, że do niej wrócę, niezależnie od tego, ile będzie mnie to kosztować. Muszę ją ostrzec przed Saulem – ale wiem, że ona już i tak go nienawidzi.

A może powinienem ją ostrzec przed Mią...?

Biorę ołówek. Strażnik spogląda demonstracyjnie na kartkę i zamyka oczy – pokazuje mi, że nie będzie czytał mojej wiadomości. Potem znowu odwraca się plecami.

Koniec ołówka unosi się nad papierem. Co mam napisać? Czy on tego na pewno nie przeczyta? Co go powstrzyma przed zerknięciem, jak tylko stąd wyjdzie? Sam na jego miejscu bym zajrzał. Dlaczego Sara mu ufa?

Kiedy wszedł, zerknąłem na jego numer – zostały mu całe lata, długie lata. Ten nie zginie. Ale nie wygląda na

twardziela, który zawsze przeżyje. Jest w nim coś słabego – słabego w ciele i duszy. Coś mi w nim nie pasuje. Chyba nie chcę jego pomocy.

Jednak piszę wiadomość. Nie wydaje się szczególnie dobra: „Nie ufaj nikomu. Wróć. Xx”.

Składam kartkę.

– Dzięki – rzucam.

Strażnik odwraca się, bierze zwitek i wkłada do kieszeni. Dziękuję mu skinieniem głowy, a on wychodzi.

Znowu jestem sam z moimi myślami. I z numerami – Saula i Mii – migoczącymi mi w głowie.

## SARA

Zapala się światło i słyszę klucz obracający się w zamku. Nie spałam, odkąd obudziłam się z koszmaru. A teraz pewnie wróciła Marion.

– Wynoś się, głupia krowo! – krzyczę. – Nie przychodź tu więcej!

Drzwi się otwierają, ale tym razem to faceci w białych fartuchach.

Za długo odkładaliśmy ucieczkę. Przyszli po nas.

Zbliżają się do posłania. Jeden podnosi Mię. Mała, na pół śpiąca, zaczyna krzyczeć i się wyrywać. A ja nie mogę jej pomóc, bo drugi ściągnął mnie z łóżka i wykręcił mi lewą rękę za plecami.

– Puszczaj mnie! Zabieraj te brudne łapy! – protestuję.

Facet bez słowa przepycha mnie przez pokój i za drzwi. Mię niosą przede mną. Widzę, jak wymachuje rączkami i nóżkami, słyszę jej wrzaski.

– Co wy robicie?! Co się dzieje?! – drę się.

Wnoszą Mię do jednego pokoju, a mnie wpychają do drugiego. Przez wielką szybę w ścianie widzę, jak kładą małą na łóżku w sali obok. Mia wyrywa się, ale trzymają ją mocno, zaciskają paski wokół jej rączek i nóżek.

Nie wierzę własnym oczom. To okropne!

– Przestańcie! Przestańcie! Zostawcie moją córkę w spokoju! Zostawcie ją w spokoju! – wrzeszczę.

Ktoś, nie widzę kto, uderza mnie mocno w twarz, aż cichnę z zaskoczenia.

Teraz przyczepiają do małej jakieś druty. To przerażające. Co oni, do jasnej cholery, robią?! Przecież to małe dziecko!

Przedemną staje mężczyzna z rozkwaszoną twarzą. On też ma na sobie kitel.

– Saro – odzywa się – proszę, posłuchaj mnie.

– A pan to kto?

– Jestem doktor Newsome. Zajmuję się oceną Mii.

– Oceną? Jaką oceną? Co chcecie oceniać, kiedy tak ją traktujecie?! – złości się.

– Przeprowadzamy naukową ocenę jej niezwykłych zdolności – tłumaczy mi. – Ktoś musi tam z nią być. Czy chcesz to być ty?

– Tak, tak, oczywiście – odpowiadam potulnie. – Proszę tylko powiedzieć temu idiotcie, żeby mnie puścił, to pójdę do niej.

– Dobrze. Puść ją – nakazuje doktor facetowi, który mnie trzyma.

Zanim przeszłam do pokoju, gdzie leży Mia, zdążyli poprzyklejać jej wszędzie czujniki, nawet na głowie.

– Boże, kochanie! – wzdycham i podbiegam do niej.

– Ma-maa! – łka mała.

– W porządku, słoneczko, wszystko w porządku – staram się ją uspokoić.

W sali jest mnóstwo monitorów, tysiące lampek, pokręteł i ekranów. Sprawdzają je technicy pod nadzorem

tego doktora.

On pochyla się nad Mią.

– Spójrz mi w oczy – mówi do niej. – Co widzisz?  
Nie martw się. Nie musisz mi mówić, tylko spójrz.

Mia wykręca główkę w inną stronę.

– Przez chwilę złapałem kontakt wzrokowy. Macie to? – pyta Newsome swoich asystentów.

– Tak, mamy – odpowiada jeden z nich.

– Możesz ją delikatnie odwrócić, żeby patrzyła na ciebie? – prosi mnie.

Robię to, ale wyłącznie dlatego, że nie chcę, żeby on jej dotykał.

Jak tylko znajdujemy się twarzą w twarz, buzia Mii się wykrzywia. Mała próbuje wyciągnąć do mnie rączki.

– Łapiecie to?

– Tak, wszystko wyraźnie.

– Okay, mamy podstawowe dane – stwierdza doktor.  
– Jesteśmy gotowi.

Asystenci wychodzą.

– Co się dzieje? – pytam cicho, jeszcze bardziej zaniepokojona.

Newsome odwraca się do mnie.

– Na tę część procedury musimy was tu zostawić. Twoje zadanie to być przy Mii, uspokoić ją.

– Co wy właściwie robicie za badania? Czy to rentgen? Dlatego wychodzicie? – zasypuję go pytaniami.

– Nie jestem pewna, czy mogę tu zostać, bo dziecko...

– Nic wam nie będzie – odpowiada doktor i zamyka

za sobą drzwi.

Słyszę, jak z drugiej strony klika zasuwka.

Duży prostokąt, o którym wiem, że jest oknem, wygląda z tej strony jak lustro. Odbija się w nim ten ponury pokój, Mia i ja. Wiem, że nas obserwują. Czuję się jak eksponat w muzeum albo zwierzę w zoo. Wiem, że mnie widzą, i wiem, że mnie słyszą.

– Tu jest bardzo gorąco, za gorąco – mówię do lustra.

– Możecie wyłączyć ogrzewanie albo uruchomić klimatyzację, czy coś?

– Tak, jasne. – Do pokoju wpada głos Newsome’a.

Nad lustrem, pod sufitem, jest głośnik.

– Zajmiemy się tym.

Mia piszczy, usiłuje ruszać przywiązаныmi rączkami i nóżkami.

– Spróbuj przez chwilę leżeć spokojnie – mówię do niej. Potem zwracam się znowu do lustrzanej ściany: – Tu jest coraz cieplej.

– Nie ma się czym denerwować – słyszę w odpowiedzi. – Mamy chwilowy problem z systemem ogrzewania. Już go naprawiamy.

– U was też jest gorąco?

– Tak, tak, to cały system.

– Potrzebujemy tu trochę powietrza. Możecie otworzyć drzwi?

Jestem spocona, Mia też. Czółko ma wilgotne, policzki zaróżowione. Ma na sobie tylko T-shirt i spodenki, a i tak jest jej za ciepło.

– Mii jest za gorąco – mówię. – Będę musiała zdjąć jej koszulkę. Muszę odłączyć to wszystko, co ma na głowie.

– Saro, nie dotykaj sensorów. Rozumiesz mnie? Nie dotykaj ich. Zbieramy bardzo ważne dane, które pomogą nam w analizie.

– Jakiej analizie? Jakie dane? – denerwuję się. – Niczego mi nie wytłumaczyliście. Co wy robicie?

– Potem ci to wyjaśnię. Teraz zostań z Mią – odpowiada doktor.

– To gorąco to część badań?

– Nie, jest problem z centralnym ogrzewaniem, już ci mówiłem. Ale musimy kontynuować badania. Proszę, siedź z Mią.

Siadam na łóżku, ale nie dlatego, że mi kazał. Nogi zaczynają się pode mną uginać. Cała jestem spocona, coraz trudniej mi oddychać. Z Mią też nie jest dobrze: rzuca główką na boki, jęczy. Plamy na jej buzi są coraz wyraźniejsze. Już je kiedyś widziałam. To się robi naprawdę niebezpieczne.

– Jaka tu jest temperatura? – pytam.

– Trzydzieści stopni.

– Trzydzieści! Dostyc, do cholery! Otwórzcie te drzwi!

– Wszędzie jest tak samo.

– Nie wierzę wam!

Mia szarpie rękami i nogami. Dotykam jej buzi. Jest rozpalona. Rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu

jakiejś wody, czegokolwiek, co by ją ochłodziło. Ale nie ma niczego.

– Możecie nam przynieść trochę wody? – W swoim głosie słyszę panikę. Wiem, że powinnam być spokojna ze względu na Mię, ale nie mogę. W mojej głowie wyją syreny alarmowe. – Doktorze Newsome, może mi pan przynieść wody?

– Zaraz do was przyjdziemy.

– Nie! – wrzeszczę. – Potrzebujemy jej teraz!

Mój oddech wymyka się spod kontroli, jest coraz szybszy, urywany, ale i tak kręci mi się w głowie.

– Saro, próbuj zachować spokój – słyszę z głośnika.

Patrzę na rząd monitorów przy łóżku, na różne wskaźniki wyświetlane na ekranach, ze wszelkiego rodzaju numerami i licznikami. Nic dla mnie nie znaczą, z wyjątkiem jednego. Na kilku ekranach jest ta sama informacja: 35 stopni. Patrzę, czy liczba się zmienia – i owszem, zmienia się na każdym monitorze. Jest już 36 stopni. Zaraz nas tu ugotują!

Mia zaczyna płakać – to nie jest zdrowy wrzask, jak kiedy upadnie albo się uderzy, ale cienki, żałosny jęk. Jej policzki były przedtem ciemnoróżowe, a teraz są plamiaste – ostroczerwone plamy na bladej, niemal alabastrowej skórze. Jeszcze przed chwilą miała się ruszać, krzyczała. Teraz kompletnie znieruchomiała. Oczka ma szkliste. Zmiany zachodzą bardzo, bardzo szybko.

– O Boże! Doktorze, proszę nam pomóc! Mia jest



przegrzana! Ona nie może się przegrzewać!

Zaczynam szarpać klamry na paskach, którymi ją przywiązali. Powinnam to była zrobić od razu. Nie wolno mi było pozwolić, żeby to zaszło tak daleko.

– Saro, nie dotykaj pasów – mówi doktor. – Zaraz u was będziemy. Niech Mia leży na łóżku. Staraj się zachować jak największy spokój.

– Muszę ją stąd wydostać! – wrzeszczę.

Rozpinam pasek wokół jednego z jej ramion, ale moje spocone palce wciąż się ślizgają na drugiej klamrze, a od gorąca tracę siły. Nie dam rady.

– Zostań na miejscu. Zaraz do was przyjdziemy – słyszę ponownie.

Kolejny raz spoglądam na monitory wokół – jest już 41 stopni.

Pokój wiruje wokół mnie. Nie mogę ustać. Padam na materac koło Mii. Dziecko wierci się wewnątrz mnie, naciska na brzuch i żebra. Ślina zalewa mi usta – będę wymiotować. Przekręcam głowę i pluję na podłogę. Już nic nie widzę. Pokój pociemniał. Lewe ramię mam przerzucone przez Mię. Czuję ją, chociaż nie widzę. I słyszę ją:

– Ma-maaa.

To cienki, słaby dźwięk, ale jest jak głośny dzwonek alarmowy w mojej głowie – budzi mnie.

Odchylam powieki. Pokój się wyostrza. Podnoszę głowę akurat na czas, żeby zobaczyć, jak oczy Mii wywracają się w słupek, a jej ciało wypręża.

– O Boże! O Boże! Niech ktoś nam pomoże!  
Pomocy! Proszę! – błagam rozpaczliwie.

Małą chwytają konwulsje. Jej ręce i nogi podrygują w pasach. Głowa rzuca się bezwładnie.

Sama ledwo mogę oddychać, jednak staram się ją przytrzymać.

– Mia! Mia, wróć do mnie! Mia! – wołam w panice.

Atak jest coraz silniejszy. To przerażające, ale nie mogę tego nijak zatrzymać. Mogę tylko patrzeć i starać się nie pozwolić, żeby Mia zrobiła sobie krzywdę.

Nagle jej ciało sztywnieje. Oczy ma wciąż otwarte, ale widzę tylko białka. Biorę jej buzię w dłonie.

– Mia. Mia. Słyszysz mnie? Mia. Mia! – Mam wrażenie, że odeszła, jakby jej ciało było puste. – O Boże, nie! Nie! Proszę, proszę, proszę...

Klepię ją w policzki. Mała pojękuje cicho, jej źrenice wracają na miejsce. Przez chwilę znowu mnie widzi – jestem pewna, że tak.

– Mia, nie zostawiaj mnie. To nie twój czas. Mia, zostań ze mną. Nie odchodź... – błagam szeptem.

Teraz jest blada – plamy zniknęły – blada, chudziutka dziewczynka na o wiele za dużym łóżku. Jej oczka się zamykają, rączki i nóżki rozluźniają.

Drzwi otwierają się gwałtownie, wpada podmuch zimnego powietrza. Wbiegają Newsome i jego ekipa. Odpychają mnie na bok.

Cofając, potykam się. Z mojego ciała gorąco wyszło już wszystkie siły. Plecami uderzam o ścianę i osuwam się

na podłogę.

Nie wiem, czy moja córka żyje, czy nie.

## ADAM

Saul wrócił. Tym razem przyprowadził ze sobą dwóch uzbrojonych goryli. Oberwę? Stłuką mnie teraz? Ale tylko skuwają mi ręce za plecami i wypychają przez drzwi.

– Dobro czy zło, teraz mi pomożesz. Potrzebujemy cię – mówi Siwy, przeciska się koło mnie i biegiem rusza przez korytarz.

Eskortujący mnie strażnicy szturchają mnie ciągle w plecy, popychają i ciągną – przez to mam nowe sińce na starych. Nie mam jak się bronić.

– Przestańcie – proszę. – Przecież idę.

Moje słowa niczego nie zmieniają. Oni najwyraźniej to lubią.

Tracimy Saula z oczu, ale niedługo go doganiamy. Skręcamy za róg. Korytarz przed nami pełen jest ludzi biegających jak kurczaki bez głowy. W większości kierują się do jednego pokoju. My też tam wchodzimy.

Początkowo trudno dojść, co się tu dzieje. Wydaje się, że tłum ludzi biega wokół łóżka. Jest ich tylu, że nie widzę, kto na nim leży.

Saul wrzeszczy na Newsome'a:

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?!

– Robię, co do mnie należy – odpowiada spokojnie doktor. – Dziewczynka zmieniła swój numer. Odtwarzaliśmy warunki, w których do tego doszło, żeby

zbadać, jak to się stało.

Dziewczynka. Mia.

Odkryli, że zmieniła numer. Ale skąd? Skąd mogą to wiedzieć?

Nagle przypominam sobie, że strażnik, który przyniósł wiadomość od Sary, położył palec na wargach. Mogli podsłuchiwać. Podsłuchiwali naszą rozmowę! Tylko tak mogli się dowiedzieć.

Co oni zrobili Mii?

– Nie wyraziłem na to zgody – parska gniewnie Siwy.

– Nie potrzebuję twojej zgody – zbywa go Newsome.

– Jestem tu dyrektorem naukowym. Sam zatwierdzam wszystkie badania. To mój projekt. Ty jesteś tylko od ochrony.

Stoją naprzeciw siebie, niemal pierś w pierś, jak dwa walczące ptaki.

– To ja zarządzam tym ośrodkiem! – Saul krzyczy doktorowi w twarz. – Całym! A może o tym zapomniałeś, do cholery?!

– Co ty wiesz o nauce? – prycha Newsome. – Co ty wiesz o numerach? Co ty tu w ogóle robisz? – Jego podbródki aż się trzęsą.

Saul rzuca mi szybkie spojrzenie. I wreszcie kapuję. Newsome nie wie o tym, że Siwy kradnie numery.

Otwieram usta – będę o tym krzyczał na cały świat, jeśli to tylko pomoże mi się stąd wydostać. Jednak zaraz przypominam sobie pogróżki Saula. I jeszcze coś. On już zabijał.

Jeśli nie ty, to kto?

Zamykam usta. Jestem bezradny. Nie mogę nikomu powiedzieć. A poza tym i tak mi nie uwierzą. Moje słowo przeciwko jego. Co mogę zrobić?

– Czego się dowiedziałeś o tej małej, Newsome? – pyta ze złością Saul. – Co ci pokazały te twoje badania? Zmienił się jej numer? A może te twoje eksperymenty ją zabiły?

Zabiły?

Na razie odpycham od siebie tę myśl i próbuję się dostać do łóżka. Kiedy się wykręcam z rąk goryli, zauważam postać na podłodze. To Sara. Wołam jej imię. Ona podnosi wzrok. Twarz ma czerwoną i lśniącą, jej oczy patrzą tępo, ale nadal są przeszywająco niebieskie, a jej numer jest taki sam. 2572075. Nawet w środku tego szaleństwa jej numer mnie pociesza. Jakoś przez to przebrniemy. Czeka nas szczęśliwa, spokojna, pełna miłości przyszłość. Trudno w to uwierzyć, ale tak mówi jej numer. I nie mogę pozwolić, żeby się zmienił. Nie mogę dopuścić do niej Saula.

Ale co z Mią?

– Sara, nic ci nie jest? Co się stało? – pytam.

Ona tylko kręci głową, nie ma siły mówić.

Nagle Saul chwyta mnie za ramię i odciąga od niej. Przeciska się przez tłum. Niektórzy protestują, kiedy usuwa ich z drogi, ale on ich całkowicie ignoruje.

Udaje nam się dopchać do łóżka. Wreszcie widzę Mię. Ręce i nogi ma skrępowane pasami. Leży

bezwładna, blada, całkowicie nieruchoma. Oczy ma zamknięte.

– Co wyście jej zrobili, skurwysyny?! – wrzeszczę wściekle.

– Spójrz jej w oczy, Adam. Powiedz mi, co widzisz – nakazuje mi Siwy.

Klatka piersiowa Mii unosi się i opada – krótkie, płytkie oddechy. Ona oddycha. Żyje.

– Odpieprz się, Saul – odwarkuję. – Niczego nie zrobię, dopóki nas obojga nie rozwiążecie.

– Zróbcie to – mówi Saul do ludzi wokół.

Ktoś szarpie mi ręce do góry i grzebie przy kajdankach, ale potem, nagle, moje ręce są wolne. Sięgam naprzód, pomagam innym ściągnąć pasy z Mii.

Mała powoli otwiera oczka. Są przekrwione. Jednak numer się nie zmienił. 2022054. Numer Mii. Numer babci. Nadal tam jest.

Gdy jest już wolna, biorę ją na ręce i niosę do Sary. Kucam przy niej.

– Czy ona...? – szepcze z trudem Sara. – Mia, kochanie, nic ci nie jest?

– Ma-maa – odzywa się Mia.

Kładę ją w ramionach Sary.

– No i? – rozlega się głos Saula.

Stoi tuż nad nami, patrzy w dół.

Zamykam oczy na kilka sekund, potem spoglądam na niego wrogo.

– No i co? – pryham.

– Zmienił się jej numer?

– Nic ci nie powiem.

Jeden z ciężkich butów Siwego przesuwa się po podłodze – facet chciałby mnie kopnąć, ale w tym nastroju mu nie ulegnę.

– Odpięprz się, Saul! – odpowiadam ze złością. – Daj nam spokój. Potrzebujemy trochę miejsca, trochę czasu.

– Czasu – powtarza po mnie, a jego but zaczyna miarowo stukać w posadzkę. – Wszyscy mamy niewiele czasu... – Jego głos wydaje się zduszony.

Spoglądam w górę. Numer w oczach Saula parzy mi umysł. 1622029. Jemu naprawdę kończy się czas.

– Jeśli sam mi nie powiesz, jest inny sposób, żeby się dowiedzieć – mówi złowrogo. – Daj mi ją.

– O co mu chodzi? – Sara tuli Mię najmocniej jak może i patrzy na mnie w poszukiwaniu odpowiedzi.

Dobrze wiem, o co mu chodzi.

Widzę je, Adam. Ale... widzę je tylko w ostatniej chwili, w ostatniej sekundzie ich życia. W momencie, kiedy opuszczają czyjaś duszę, i tuż przed tym, jak wejdą w moją.

Saul zabierze Mię z tego pokoju i weźmie jej numer tylko po to, żeby sprawdzić, jaki jest. Zaryzykuje, że jest lepszy niż jego własny – że jej dary są silniejsze niż jego – i nie pomyli się. Będzie miał numer małej, a ona – jego.

– Nie! – krzyczę.

– Nie? Na pewno? – pyta spokojnie Siwy.

– Nie musisz tego robić – mówię. – Nie zmienił się.



Jej numer jest taki sam. Nie zamieniły się.

Newsome stojący za Saulem klnie.

– Cholera! Dlaczego nie zadziałało? – Nie może zrozumieć. – Pewnie nie dociągnęliśmy wystarczająco daleko. Za wcześnie przerwaliśmy eksperyment.

– To nie był jej ostatni dzień – myśli głośno Siwy. – To musi być jej ostatni dzień. Ona jest jak... – urywa i rozgląda się.

Wszyscy patrzymy na niego, Newsome też. Wstrzymuję oddech. Czyżby Saul zamierzał wyjawić swoją tajemnicę?

– Jest jak...? – dopytuje doktor.

– Jest jak... anioł śmierci – mówi Siwy i choć w pokoju jest upał, po plecach przebiega mi dreszcz.

– Jak... jak poetycko to ująłeś, Saul – ironizuje Newsome. – Ale nie wiemy tego, prawda? Moim zdaniem powinniśmy opróżnić pokój i kontynuować eksperyment. Za pierwszym razem nawaliliśmy. – Wydaje się równie wściekły, jak Saul. – To dziecko raz już zmieniło swój numer. Musimy się dowiedzieć, co to znaczy, co to może znaczyć dla nas wszystkich – mówi piskliwie z powodu podniecenia.

– Prawie nas zabiłeś! – wrzeszczy na niego Sara.

Jej głos jest wysoki i przeszywający. Słysząc w nim przerażenie.

– Szykujcie pokój! – krzyczy Newsome, jakby jej nie usłyszał, i już maszeruje w stronę drzwi. – Powtarzamy eksperyment.

– Nie! Nie, proszę! – błaga Sara. – Nie róbcie nam tego znowu. Proszę, proszę. Powiem wam wszystko, co tylko chcecie. Zrobię wszystko...

Widać, że zupełnie się rozkleiła. Cokolwiek przeszła, było to dla niej za dużo.

– Czego chcecie? Czego ode mnie chcecie? – szlocha rozpaczliwie.

Newsome zatrzymuje się z ręką na klamce.

– Nie chodzi o ciebie, Saro – odpowiada jej Saul. – Tylko o Mię.

Sara przytula małą jeszcze mocniej. Dygocze, niemal konwulsyjnie.

– To tylko dziecko – szepcze.

– Saro, czy ona widzi numery? – pyta Siwy.

– Nie. Nie wiem. Ona nawet jeszcze nie zna cyfr. Ma tylko dwa lata. A poza tym dlaczego miałyby je widzieć?

– Z powodu Adama. Jaki ojciec, taka córka – tłumaczy jej Saul. – Zastanów się, Saro. To ważne. Myślisz, że Mia widzi numery?

– Przecież on nie jest jej ojcem – szlocha Sara. – Nie biologicznym ojcem.

Mam wrażenie, że ziemia rozstąpiła mi się pod nogami. Kolejna luka w pamięci nagle się wypełnia. Dwa lata temu... Sara była już w ciąży, kiedy ją poznałem. Jak mogłem zapomnieć?

Mia nie jest moją córką.

## SARA

Nagle zrobiło się cicho, wszyscy gapią się na nas.

– Nie rozumiem – odzywa się Newsome. – Jakie to ma znaczenie? Nas interesuje tylko fakt, że dziewczynka zmieniła numer, nie? Może zmieniać numery. Odnawiać. Może... żyć wiecznie.

Saul spogląda na niego. Myśli szybko, widać to w jego twarzy. Jego wzrok przeskakuje z jednego człowieka na drugiego, a w końcu na mnie. Ale facet nie patrzy mi w oczy. Gapi się na Mię, którą trzymam w ramionach.

– Tak, Newsome, zgadza się – odpowiada. – Ale z jakichś przyczyn zrobiła to tylko raz. Twój eksperyment nie zadziałał. A do tego dziecko wcale nie widzi numerów. Nie jest jak Adam. Ja chciałem mieć jedno i drugie. Widzenie numerów i zmianę.

– Ty chciałeś? – pyta zdumiony doktor.

– My. Chciałem powiedzieć: my – poprawia się Saul.

– Pomyśl o jej możliwościach, gdyby miała jedno i drugie.

– Saul, mam ci jeszcze raz przypomnieć, czyj to projekt? – prychnął rozdrażniony Newsome. – Mam dosyć twojego wtrącania się.

Ja też mam dosyć. Oni są szaleni, pozbawieni hamulców, nie zachowują się jak normalni ludzie. Sami nie wiedzą, czego chcą – ale ja tak. Chcę się stąd wydostać.

– Powiedziałam wam, co chcieliście wiedzieć. Mia nie widzi numerów. Zadowoleni? – To jest do Saula. Potem zwracam się do doktora: – I Saul ma rację. Zmieniła numer raz. Nie wiemy, czy umie go zmienić znowu, ale nie będziecie drugi raz jej tego robić. Chcę stąd wyjść i zabieram swoją córkę. Adam, idziesz z nami?

Odwracam się do Adama, który ciągle kuca koło mnie. Chcę, żeby mnie poparł, postawił się tej szalonej zrącej się parce. Ale on nie słucha. Chyba nie słyszał ani słowa z tego, co mówiłam. On też patrzy na Mię – i wydaje się głęboko wstrząśnięty. Mięknę w środku. Adam myślał, że jest jej ojcem. Ten kawałek układanki jego umysł położył w złym miejscu. Nie pamiętał, że ona nie jest jego biologiczną córką.

Pochylam się ku niemu.

– Jesteś jedynym ojcem, jakiego Mia w życiu znała – szepczę. – Jesteś najlepszym ojcem, jakiego mogłaby mieć moja córka.

Adam nie reaguje. Ściskam jego ramię, ale on dalej siedzi, oszołomiony.

Próbuję wstać przy ścianie, z trudem podciągam się do pionu. To duży wysiłek. Dziecko wewnątrz mnie wydaje się cięższe niż kiedykolwiek. Mój wypukły brzuch jakby się obsunął. Wydaje mi się, że teraz mocno przylega do moich ud.

Stoję, ale wciąż muszę się opierać o ścianę. W ogóle nie mam siły. Zamykam oczy na sekundę i oddycham, usiłując wciągnąć z powietrzem chociaż trochę energii.

Wtedy słyszę głos Newsome'a:

– Czyli kontynuujemy.

Mocniej zaciskam powieki. Chcę, żeby ten koszmar się skończył.

– Nie. – To głos Saula. – Nie, na dzisiaj koniec. Mają już dość.

Otwieram oczy Rozkwaszona twarz Newsome'a to uosobienie wściekłości i niezrozumienia. A potem Saul odwraca się ode mnie do niego i mówi coś bezgłośnie. Doktor aż ciemnieje na twarzy, ale przestaje mamrotać pod nosem i wychodzi z pokoju.

Saul jest teraz metr ode mnie. Robi krok naprzód, wyciągając rękę. Dotyka mojego brzucha.

Niemal mnie odrzuca. Ten facet wzbudza we mnie strach i obrzydzenie, odkąd go zobaczyłam. Nienawidzę go od chwili, gdy siłą otworzył oko Mii, kiedy chowała się w moich ramionach.

Za plecami czuję ścianę – nie mam dokąd uciec. Gapię się na jego rękę. Nie mogę tego znieść, nie mogę wytrzymać tego kontaktu.

– Zabieraj łapy! – warczę.

– Saro – mówi cicho Saul – musisz być wykończona.

Adam w jednej chwili jest już na nogach. Kładzie swoją dłoń na ręce Saula, jego palce drżą, kiedy usiłuje odciągnąć tego faceta ode mnie.

– Zabieraj z niej swoje łapska – cedzi przez zęby.

Przez sekundę Saul dociska rękę trochę mocniej, a ja już jestem gotowa krzyczeć, ale zaraz ją odsuwa.

Odwracam się natychmiast i schylam po Mię. Mała wdrapuje się na mnie. Kolana niemal się pode mną uginają pod jej ciężarem.

– Wracajmy do twojego pokoju – mówi Saul.

– Nie! – protestuję.

Facet jest zaskoczony jadem w moim głosie.

– Nie chcę tam wracać. Nie chcę tu być – powtarzam.

On wzdycha.

– Wolisz spać na ziemi? W błocie? Na zimnie? Chyba nie. Musisz się wyspać. Zobaczymy, jak się będziesz czuła jutro rano.

Dlaczego on nagle robi się dla mnie miły? Co próbuje osiągnąć? Mój umysł nie potrafi znaleźć powiązania między tym, co się stało, a tym, co dzieje się teraz.

– Nie mogę tu spać. Po prostu nie mogę – znowu protestuję, ale słabiej.

– Potrzebujesz tylko małej pomocy. Możemy to załatwić. Chodź – mówi Saul, kładzie dłoń na moim ramieniu i kieruje mnie w stronę drzwi.

– Nie, nie chcę... Niczego nie potrzebuję, tylko się stąd wydostać... Adam? Powiedz mu.

Zerkam w bok – z Adama aż tryska energia. Cały podryguje – palce, ręce, ramiona. Ma skurcze twarzy. Widywałam go już w takim stanie i wiem, co zaraz będzie.

– Nie, Adam, nie. Proszę, nie – błagam go. – Znowu cię zabiorą. Proszę, nie!

Ale jest już za późno.

– Powiedziałem, żebyś zabrał od niej łapy! Nie słyszałeś?! – wydziera się Adam.

Jego łokieć odskakuje do tyłu, a potem pięść wystrzeliwuje do przodu. Uderza Saula w szczękę z obrzydliwym chrzęstem. Zaskakuje go. I facet leci do tyłu, chwytając się za twarz.

Ludzie wokół rzucają się na Adama, obezwładniają go. Łapią też mnie i Mię, wyciągają nas z pokoju. Zanim się pokapowałam, jestem z powrotem w miejscu, którego tak się boję. Zdesperowana, przerażona, z kolejną bezsenłą nocą w perspektywie.

Ale tym razem jest inaczej.

Dowiedziałam się, do czego oni są zdolni. Tutaj nie ma żadnych reguł. Nie ma praw człowieka. Tu chodzi tylko o przeżycie.

## ADAM

A więc Saul chce widzieć numery... Gdyby mnie zapytał, jak to jest, mógłbym mu powiedzieć. Mógłbym mu opisać, czym to było dla mnie przez osiemnaście lat.

Codziennie patrzeć śmierci w twarz.

Czuć ból ludzi, ich strach.

Mieć świadomość, że gdy tylko kogoś poznaję, jestem zmuszony do myślenia o jego ostatnich chwilach. Nawet gdy chodzi o noworodka.

Kiedy Saul położył rękę na brzuchu Sary, wiedziałem, co myśli. Przyznał to wyraźnie, nie? Jeżeli nie ty, to kto?

Sądził, że mój dar odziedziczyła Mia, dlatego tak się wkurzył, kiedy usłyszał o eksperymencie Newsome'a. Ale jak tylko dowiedział się od Sary, że dziewczynka nie jest moja, zmienił plan. Już nie myślał o Mii.

Jest dla mnie jasne jak słońce, że Sarze i naszemu dziecku grozi niebezpieczeństwo. Prawdziwe, ogromne niebezpieczeństwo.

Saulowi kończy się czas. Mógłby przejąć jakieś przypadkowe życie, ale nie tego pragnie. Pragnie ukraść życie, które nie tylko da mu dodatkowe lata, ale też umożliwi pozyskanie dodatkowych zdolności. I ma niecałe czterdzieści osiem godzin, żeby znaleźć taką osobę.

Teraz myśli, że znalazł.



Nie wiemy, kiedy dziecko powinno się urodzić, ale Saul nie będzie czekać. Bo nie ma na to czasu.

Sara nie jest głupia i nie znosiła go od samego początku, ale nie wie tego, co wiem ja. Tylko że przez moje rwące się do bójki pięści nie mieliśmy możliwości, żeby o tym pogadać. Bo znowu mnie zamknęli.

Żałuję, ale jedynie tego, że nie skończyłem z Saulem. On jest potworem. Powiniennem był go zabić. I zabiję.

Chodzę od jednej ściany celi do drugiej. Dwa i pół kroku tam. Dwa i pół kroku z powrotem. I znowu, i znowu. Potem padam na podłogę i próbuję zrobić kilka pompek. Moje posiniaczone ciało ciągle boli, ale zaciskam zęby i nie przestaję. Pięćdziesiąt pompek i nadal się trzymam. Kolejne pięćdziesiąt i zaczynam czuć wysiłek w ramionach. Tak lepiej. Kolejne pięćdziesiąt i jestem cały mokry.

Chcę być zmęczony i chcę mieć pustkę w głowie. Ale zamiast oczyścić umysł z wszystkich myśli, ćwiczenie pozwala mi się skupić. Napinam całe ciało i odpycham się ramionami, ale wciąż mam przed oczami osoby, których tu nie ma. Sara i Mia. I niebezpieczeństwo, które im grozi. Potem babcia i mama. Nie wiem, gdzie są. Gdzieś? Czy nigdzie?

Nagle cały mój żal, tęsknota za nimi, staje się czymś fizycznym – ból za oczami, ciężar w żołądku.

Kładę się na podłodze z głową zwróconą na bok, policzkiem na zimnym betonie. Jestem totalnie przerażony. Dociera do mnie, że z mojej rodziny zostałem

już tylko ja. Nie mam do kogo pójść po radę. Pozostali odeszli. Czy Adrian zechce nam pomóc? Nie mogę powstrzymać czarnych myśli, że on nie pomoże – w końcu jednak nie.

Będę musiał zrobić to sam. Jeśli będę uważał, wpadnę na jakiś pomysł albo trafi się jakaś okazja. Tylko muszę zachować czujność. Stąd musi być jakieś wyjście, a ja mogę je znaleźć. Wiem, że tak. I zrobię to.

Muszę chronić Sarę i dziecko, wydostać nas stąd i... zabić Saula.

## SARA

Kolejny lekarz, kobieta, przychodzi zbadać Mię. Odkąd wróciłyśmy do celi, mała jest blada, cicha i nie płacze. Leży na łóżku nieruchomo. Wystarczyły zaledwie dwa dni, żeby z bystrej i szczęśliwej dziewczynki zmieniła się w przerażoną kukłę.

Lekarka robi parę standardowych badań.

– Jej temperatura jest już w porządku – mówi. – Puls także dobry. Potrzebuje jedynie odpoczynku i odrobinę czulej opieki.

Czulej opieki... Mam ochotę wepchnąć jej te słowa z powrotem do gardła. Gryzę się w język, ale potem tego żałuję. Powinnam jej wszystko powiedzieć. Bo co mamy do stracenia?

Adrian przynosi nam jedzenie i picie. Próbuję namówić Mię, żeby przynajmniej wypła trochę mleka. Mała bierze kubek w rączki, ale nie pije.

Adrian tymczasem uruchamia prysznic w łazience.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie przy szumie wody; wygląda na zdenerwowanego.

Wzruszam ramionami.

– Próbowali nas zabić. Więc myślisz, że jak nam jest?

– Przykro mi. Ogromnie – szepcze, a ja mu wierzę.

– Adam jest znowu w izolatce? Dałeś mu tę kartkę, przedtem? – pytam, bo do tej pory nie miałam okazji tego zrobić.

– Tak – odpowiada Adrian, nie patrząc na mnie. – Ale nie mógł odpowiedzieć. Za bardzo go pilnują.

– Tak czy inaczej, dzięki. Jest szansa, żebyśmy uciekli dzisiaj w nocy?

Chłopak kręci przecząco głową.

– Potrzebuję trochę czasu na zaplanowanie – tłumaczy się. – Ściągam pomoc z zewnątrz. To nie potrwa długo. Noc albo dwie.

To za długo, żeby czekać.

– Nie wiem, czy wytrzymam tu dłużej.

– Dasz radę – Adrian dodaje mi otuchy. – Rozumiem, że jest wam ciężko. Wiesz co, powinnaś odpocząć. Wyglądasz na zmęczoną. Może dam ci pigułkę...?

Nogi mam jak z galarety, pod oczami na pewno ciemne wory.

– Nie potrzebuję żadnej pigułki – mówię.

Nienawidzę myśli o spaniu tutaj, ale czuję, jak ogarnia mnie wyczerpanie.

Dostaję kopa energii, kiedy do mnie dociera, dokąd mnie zabierają następnego ranka – z powrotem do pokoju z szybą do obserwacji. Nie ma znaczenia to, co powiem albo zrobię. Jedyne ustępstwo, jakie udało mi się wywalczyć, to to, żeby Mia poszła ze mną. Nie chcę jej spuszczać z oka. A jeśli zobaczę, że inni wychodzą z sali, tym razem pójdziemy z nimi – nie ma mowy, żeby nas znowu zamknęli.

Mia zaczyna popiskiwać, kiedy tam wchodzimy.

Trzymam ją mocno za rękę, głaszcząc jej paluszki kciukiem. Jednak dzisiaj rano się nią nie interesują. Dają jej kredki i kartki, żeby miała zajęcie. Po chwili mała leży na podłodze pod łóżkiem, rysując sobie.

Teraz całą uwagę skupiają na mnie. Mówią, że zrobią mi USG.

Nie chcę, żeby Newsome albo któryś z jego ludzi kiedykolwiek jeszcze zbliżył się do mnie albo do Mii, ale część mnie jest ciekawa, chcę zobaczyć nowe dziecko. Z Mią nigdy nie miałam USG. Była moją tajemnicą. Nie miałam żadnej pomocy nawet przy porodzie. Myślałam, że z tym dzieckiem będzie inaczej. No, jest inaczej, to na pewno – ale wcale nie lepiej.

A teraz jest tu Newsome. Patrzę na niego nieufnie.

– Miałaś jakąś opiekę prenatalną? – pyta.

– Jakies co? – pryham.

Doktor wzdycha, stara się panować nad sobą.

– Opiekę prenatalną. Byłaś u położnej?

– Jasne, że nie. Żyłam w lesie.

On cmoka z dezaprobatą.

– Ponosisz za to dziecko odpowiedzialność, masz obowiązek o nie dbać.

No nie! Ale facet ma tupet. Nie zamierzam słuchać pouczeń od niego.

– Wczoraj to dziecko gównem cię obchodziło – odpowiadam wkurzona. – Niemal zabiłaś nas oboje. I Mię.

Newsome ma przynajmniej na tyle przyzwoitości, że

wygląda na zawstydzonego.

– To było... co innego – mówi. – Staram się pogodzić medycynę, troskę o pacjenta i badania naukowe. To nie jest proste.

– Och, biedaku... – ironizuję, a jego twarz robi się bardziej różowa.

– Zróbmy to, dobrze?

– Nie ty! – protestuję. – Nie chcę, żebyś to ty przeprowadzał badanie. Chcę kobietę.

– Nie możesz stawiać żadnych warunków – zaczyna doktor, ale wtedy przez głośnik rozlega się głos. Głęboki i ostry, sprawia, że oddech więźnie mi w gardle.

– Rób, co ona mówi, Newsome.

To Saul.

Nie mogę powstrzymać spojrzenia w stronę lustrzanej ściany. Widzę tylko odbicie własnej ściągniętej twarzy, ale wiem, że on tam jest.

Obserwuje.

Chcę wstać z łóżka i wyjść stąd natychmiast, ale ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Spoglądam w górę, to kobieta w kitlu, ta sama lekarka, która wczoraj wieczorem oglądała Mię.

– Proszę, połóż się – mówi łagodnie.

Unosi moją koszulkę i wyciska zimną, przezroczystą galaretkę na mój brzuch.

– Spróbuj się odprężyć. Zaraz będziemy mieć obraz.

Na wózku obok niej jest zamocowany monitor. Lekarka włącza ekran i przyciska do mojej skóry jakieś

plastikowe narzędzie, zaczyna je przesuwać i przechylać na różne strony.

– No, proszę. Mamy rączkę, kręgosłup. I serce. Widzisz? – pyta mnie.

Przekręcam głowę i rzeczywiście widzę. Na ekranie jest dziecko, z zaciśniętymi piąstkami, rączkami skulonymi z przodu, zgiętymi kolankami, zamkniętymi oczami, buzią z profilu.

– Widzisz, Mia? – wołam małą.

Ona wyłazi spod łóżka, staje na palcach, spogląda na ziarnisty czarno-biały ekran.

– Dzidzia świeć – mówi.

– Tak, dzidzi będzie się podobała piosenka „Świeć, gwiazdko złota” – przytakuje.

– Nie – mówi ze złością mała. – Dzidzia świeć.

Nie wiem, co to znaczy.

Mia zdecydowanie kiwa głową, jakby była zadowolona, że mi to powiedziała, a potem wraca pod łóżko do swoich kredek.

– Jakież problemy? – To znowu głos Saula.

Lekarka kręci głową.

– Wydaje się, że wszystko jest w porządku. Doktorze Newsome, wiemy, jaki ma termin porodu? Nie mogłam znaleźć w karcie.

– To nieważne – tym razem z głośnika słychać doktora. – To wszystko, dziękuję. Już do was idę.

Lekarka gwałtownie spogląda w górę, potem na mnie. Zostaje przy moim łóżku, kiedy doktor wraca do pokoju,

ale on energicznie ją wyprowadza.

Siadam z trudem, gotowa do ucieczki, jeśli znowu będą chcieli mnie tu zamknąć.

Newsome zaczyna mówić szybko, ale niewiele z tego rozumiem. Mój mózg wyłączył się po paru pierwszych zdaniach: Nie ma powodu do alarmu, ale USG pokazuje, że musimy wydostać dziecko przed czasem. Jutro zrobię cesarskie cięcie...

Patrzę, jak jego usta otwierają się i zamykają. W pewnej chwili doktor pochyła się naprzód i kładzie rękę na mojej, w geście uspokojenia. Jestem zbyt oszołomiona, żeby ją strącić. W końcu facet przestaje gadać.

– Nie rozumiem – mówię słabo. – Tamta lekarka powiedziała, że wszystko jest w porządku.

– Chodziło jej o to, że płód jest żywy, ale są inne czynniki. To, jak dziecko jest ułożone, umiejscowienie łożyska. Cesarskie cięcie to najbezpieczniejsze wyjście.

– Mam jakiś wybór?

– Tak będzie najlepiej – odpowiada.

Czyli decyzja została podjęta za mnie.

Spoglądam w dół, na rękę Newsome'a – leży na mojej dłoni jak cielista ropucha. Co jest z ludźmi tutaj? Dlaczego im wszystkim się wydaje, że mogą mnie dotykać?

Zdecydowanym ruchem zrzucam jego rękę.

– Nie chcę operacji – mówię.

– Tak będzie najlepiej – powtarza doktor i wstaje.

– Nie chcę – mówię znowu, starając się, żeby mój



głos był mocniejszy.

Newsome zatrzymuje się w drzwiach, przez otwór widzę kogoś stojącego na korytarzu. To Saul, oczywiście.

– Do zobaczenia rano – mówi doktor.

Oczy Saula lśnią w ciemności. Facet zaciera ręce i klepie Newsome'a po plecach.

Drzwi się zamykają.

## ADAM

Przyszedłem ci pogratulować.

Saul wrócił. Jest jakby roztrzęsiony, zdenerwowany, ale równocześnie się uśmiecha, jak kot, który się dobrał do śmietany.

– Dlaczego? – pytam.

– Niedługo zostaniesz ojcem. Tym razem naprawdę. Sara. Zaczęła rodzić! Ignoruję jego uwagę o Mii i zrywam się na nogi.

– Muszę tam być, Saul. Obiecałem, że przy niej będę.

– Uspokój się, to dopiero jutro.

– Co? Skąd wiesz?

Facet nadal szczyrzy zęby w uśmiechu. Jest zachwycony tym, że mówi mi rzeczy, które powinienem wiedzieć jako pierwszy.

– Bo wtedy będzie operacja – wyjaśnia.

– Jaka operacja? Co się stało? – Teraz naprawdę się denerwuję.

– Nic się nie stało. Sara będzie miała cesarskie cięcie. Czysto i bezpiecznie.

Cesarskie cięcie...? To wtedy, jak się rozcina matce brzuch i wyciąga dziecko. Tak się robi, gdy coś jest źle.

– Dzieje się coś złego, a ty mi nie chcesz powiedzieć – wkurzam się.

– Nic się nie dzieje, Adam. Sara miała badanie USG i wszystko wygląda dobrze. To właśnie zaleta cesarki.

Można ją zrobić, kiedy najbardziej pasuje.

*Kiedy pasuje.*

*Kiedy pasuje komu?*

– Kto o tym decydował? Lekarze? Czy Sara? Czy...?

– pytam.

Saul nie odpowiada.

– Muszę ją zobaczyć. Muszę. Zrobię cokolwiek zechcesz... – błagam.

On opiera się o ścianę ze skrzyżowanymi rękami. Wydaje się całkiem spokojny, a przecież kiedy go ostatnio widziałem, przyłożyłem mu.

– Co byś zrobił, Adam? – pyta mnie po chwili. – Powiedziałbyś mi każdy numer, który chciałbym znać? Obiecałbyś znaleźć mi dobry? Oddałbyś mi swój?

– Prosisz o rzeczy, na które nie mogę się zgodzić – odpowiadam.

Usiłuję się od niego odsunąć, ale w celi tych rozmiarów to dość trudne.

– Mógłbyś... – zaczyna Siwy, ale wybucha śmiechem. Bawi go moje zachowanie. Po chwili pyta: – Jaki numer ma Mia?

– Nie powiem ci.

– A Sara?

Kręcę głową. Naprawdę, naprawdę staram się wykombinować, co powinienem teraz zrobić. Muszę wrócić do Sary. Ale jak?

– Saul, proszę, pozwól mi tam być – mówię powoli, starannie dobierając słowa. – Ona mnie potrzebuje.

– Może trzeba było o tym pomyśleć, zanim mnie zaatakowałaś – prycha Siwy.

Facet ma rację. Trzeba było. Ale teraz znowu mi się wydaje, że powinienem był z nim skończyć. Może to właśnie czas i miejsce, żeby to zrobić. Albo... może jest jeszcze szansa, żebym wszystko jakoś odkręcił.

– Przepraszam, Saul. Nie powinienem... Trochę mnie poniosło – mówię potulnie.

– Nie, nie powinienieś.

– Byłem zdenerwowany przez to, co się stało z Mią i Sarą. No, wiesz...

– To było... niefortunne. Chociaż Newsome naprawdę przesadził. Ale więcej tego nie robi. Przypomniałem mu, kto tu rządzi.

– Czyli to ty tu decydujesz.

– Tak.

– I to ty postanowiłeś, że moje dziecko urodzi się jutro.

– Owszem.

Facet ma znowu strasznie zadowoloną z siebie minę. Mam ochotę zetrzeć mu ten grymas z twarzy. Nie, nie wytrzymam. Nie mogę mu się dłużej podlizywać.

– Trzymaj się od nich z daleka! – wybucham. – Od Sary i od Mii, i od dziecka.

– To tylko puste groźby, Adam – odpowiada spokojnie Saul. – Nic mi nie zrobisz. Jestem tu szefem. Więc robię, co chcę...

Rzucam się na niego, ale tym razem jest na to

przygotowany. Blokuje mnie i wykorzystuje mój rozpęd, żeby powalić mnie na podłogę. Czuję się jak kretyn, jak wyrostek walczący z mężczyzną.

Gdy ja usiłuję wstać, Siwy jest już w drzwiach. Zanim wyjdzie, musi mi jeszcze dokopać słowami.

– Spójrz na siebie – mówi z pogardą. – Adam, naprawdę jesteś gotowy zostać ojcem? Byłoby mi żal dzieciaka, gdyby przeżył. Tak będzie lepiej dla wszystkich. To ofiara dla większego dobra. Nie martw się, zrobię to szybko. Będzie po wszystkim, niemal zanim się zaczniesz.

Drzwi się zatrzasują, a ja walę pięściami w przerdzewiały metal.

– Ty skurwysynu! Zostaw moją rodzinę w spokoju!

## SARA

W naszym pokoju jest teraz więcej jedzenia, zamiast koców na łóżku leży puchowa kołdra, a dla Mii są zabawki – pudełko z pokoju do rozmów.

– Co to jest? – pytam Adriana.

– Saul tak kazał.

Saul. Wszystko wraca do Saula.

– Dlaczego to robi? – dziwię się. – Przedtem traktował mnie jak gówno, co mu się przykleiło do buta. Co się zmieniło?

Adrian nie odpowiada.

– Dla mnie nic się nie zmieniło, nic – mówię powoli, z nadzieją, że chłopak zrozumie, o co mi chodzi.

– Próbuję zorganizować wszystko, o co prosiłaś – odpowiada i już wiem, że rozmawiamy jednym językiem.

Idziemy do łazienki, podczas gdy Mia sadowi się na podłodze i przekopuje przez pudełko zabawek w poszukiwaniu lalki. Woda w prysznicu leci z hukiem.

– Kiedy? – pytam szeptem.

– Jestem zdany na pomoc innych – tłumaczy mi Adrian. – Ale może niedługo. Może bardzo niedługo. – Kładzie mi rękę na ramieniu, ale ten dotyk wydaje się miły. – Spróbuj odpocząć. Zostaw to mnie.

Tym razem nie przeszkadza mi, gdy zamykają się drzwi. Pociesza mnie świadomość, że Adrian działa.

Włazę na łóżko i opieram się na boku, z poduszką

pod brzuchem. Brzuch mnie w zasadzie nie boli, tylko jest mi okropnie niewygodnie. Obserwuję bawiącą się Mię. Znalazła lalkę i jest bardzo zajęta przemawianiem do niej, układaniem jej i stawianiem z powrotem na nogi.

– Dzidzia świeć – powtarza mała. – Spać, dzidzia. Ciii!

Dziecko porusza się we mnie. Przykładam dłoń do miejsca, gdzie na skórze odznacza się kolanko albo łokieć. Zamykam oczy.

Dziecko się uspokaja.

*Dyszy jak pies. Kropelka śliny w kąciku jego ust nabrzmiewa i pęka, spływa mu po podbródku. Nie ociera jej. Zamiast tego wyciąga nóż. Rękojeść jest z kości albo rogu, ostrze zakrzywione. To nóż myśliwski.*

*Nie rozumiem, co ma do mnie, dlaczego jest taki.*

*– Już to robiłem – mówi.*

*Wierzę mu każdą komórką ciała.*

*Gdybym tylko dała radę biec. Gdyby tylko był tu ktoś jeszcze. Ale nie ma. Tylko ja i on. Ja i on, i jego nóż.*

*– Proszę, proszę, nie... – błagam go.*

*Błagam o własne życie.*

*On nie słucha. Patrzy na mnie, a w jego oczach czai się szaleństwo.*

## ADAM

Ściany celi są grube, podłoga z betonu, dziura do wentylacji w suficie szerokości mojego ramienia i z zamocowaną solidną kratą. Jedyna droga ucieczki prowadzi przez drzwi – gdy ktoś przychodzi do mnie, czyli wtedy kiedy strażnicy przynoszą mi jedzenie i zabierają tacę. Bo Saul więcej się nie pokazał, odkąd wpadł, żeby się ze 2067 mnie ponabijać. Adriana też nie było.

Obserwuję strażników. Staram się zapamiętać, co dokładnie robią, kiedy przynoszą posiłek. Zawsze na zewnątrz czeka jeden z bronią – to on otwiera drzwi. A potem pojawia się ten z jedzeniem, trzymając tacę w obu rękach. Przed wejściem sprawdza, gdzie jestem, szybko stawia tacę na materacu i wycofuje się tak, żeby ciągle być twarzą do mnie. Drzwi są otwarte, żeby żołnierz na zewnątrz, ten z kluczem, wszystko widział.

Zaraz po tym, jak strażnicy otwierają drzwi celi, jest kilka sekund wahania. To byłby dobry moment na atak.

Facet z tacą ma zajęte obie ręce, więc chyba mógłbym go bez problemu załatwić. Ten z kluczem nie użyje broni, jeśli jego kolega będzie stał na linii strzału, ale może będzie próbować... Chyba że wykorzystałbym tacę. Mógłbym nią walnąć w twarz strażnika w środku i popchnąć go na tego w drzwiach.

Wszystko zależy od tego, czy będę wystarczająco



szybki i czy ich zaskoczę.

Mam jedną, jedyną szansę.

Nie wiem, która jest godzina. Nie ustalę tego na podstawie rodzaju posiłku, bo jedzenie przynoszą zawsze takie samo. Chyba po prostu będę musiał spróbować, kiedy przyjdą do celi następnym razem.

Chcę być gotów. Przysiadam na brzegu materaca napięty jak sprężyna, ale w tej pozycji nie da się wytrzymać długo. Próbuję chodzić, ale wtedy zużywam cenną energię. Zmuszam się więc, żeby znowu usiąść. Staram się skupić na Sarze, ale to psychiczna tortura – gdy zaczynam się zastanawiać, co może się z nią dziać, wyobraźnia mnie ponosi. Zamiast tego skupiam się więc na Saulu. I kiedy go sobie przypominam, z tym uśmieszkiem zadowolenia, czuję adrenalinę. To on mi pomoże to przetrwać. I moje pragnienie, żeby go powstrzymać. Pragnienie, żeby chronić tych, na których mi zależy.

Straciłem zbyt wiele bliskich mi osób, żeby teraz stracić jeszcze Sarę. Kocham ją i wiem, że ona kocha mnie. Jeśli ją zabiorą, nic mi nie zostanie. Przecież nie da się zatrzymać przy sobie kogoś, kto już odszedł. Nauczyłem się tego w najbardziej bolesny sposób.

Zamykam oczy i usiłuję przypomnieć sobie mamę. Jej obraz wyślizguje mi się i ucieka. Nie mogę jej uchwycić. A kiedy w końcu mi się to udaje, wspomnienie, które do mnie przychodzi, wcale nie jest tym, które chciałem przywołać.

*Siedzi podparta w łóżku. Jest cieniem tego, czym była kiedyś. Jej twarz zmieniła kształt, oczy zapadły się głęboko. Przywołuje mnie bliżej. Przeraza mnie to, jak jest inna. Ostrożnie wdrapuję się na łóżko. Nie chcę jej zrobić krzywdy nieuważnym łokciem albo kolaniem. Ona obejmuje mnie kościstym ramieniem i opiera głowę na czubku mojej. Jej oddech śmierdzi, jakby wydychała wszystkie te chemikalia, które w nią wlewają.*

*Jestem spięty i niespokojny.*

*– Co jest, Adam? Co się dzieje? Jesteś dzisiaj kłębkiem nerwów.*

*Co się dzieje...? Mój świat rozpada się na kawałki. Jesteś chora, mamó. Umierasz, ale nikt nie chce tego powiedzieć.*

*– Nic – mówię.*

*– Uspokój się. Myśl o czymś miłym. Gdzie chciałbyś teraz być? Dokąd pójdziemy? Tylko we dwójkę.*

*Przez sekundę nie mogę myśleć. Prawda jest taka, że nie chcę nigdzie wyjść z nią w takim stanie. Wolałbym cofnąć się do przeszłości – do czasu, kiedy była tylko mamą jak wszystkie inne, zanim zachorowała. Tylko że ona nigdy nie była mamą jak wszystkie: zawsze była zabawniejsza i bardziej zwariowana, i lepsza.*

*– Mamó, chodźmy na plażę.*

*Plaża w Weston jest tylko kilkaset metrów od naszego mieszkania. Ale równie dobrze mogłaby być na drugim końcu świata – mama nie może w tej chwili nawet wstać z łóżka, nie mówiąc już o spacerach nad morze.*

- Świeci dzisiaj słońce, Adam?
- Tak, ale nie jest za gorąco.
- Masz ochotę na lody?
- Za chwilę, najpierw pochodźmy po piasku. Jest przypiływ.
- Czyli do przejścia mamy tylko marne pół kilometra?
- Nie idziemy, mamo, biegniemy.
- Jasne, i na pewno cię przegonię...
- Na pewno nie! Ja już jestem kilometry z przodu.
- No to na mnie zaczekaj. Weź mnie za rękę...
- Nie, musisz mnie złapać...

*Biegniemy po piasku w stronę linii lśniącego srebra uderzającej niemal w ciszy o brzeg. Zwalniam specjalnie, aż mama łapie mnie za ramię – „Mam cię!” – a potem biegniemy, trzymając się za ręce, dalej i dalej, aż do morza...*

Otwieram oczy. Jestem w pustej celi, sam.

Dlaczego odeszła? Dlaczego mnie zostawiła? Nic mi po niej nie zostało.

Znowu zamykam oczy i słyszę jej głos brzmiący jednocześnie z moim – i mówimy te same słowa, te, które wyczytałem w liście, jaki do mnie napisała, kiedy wiedziała, że umiera: *Mam nadzieję, że mnie pamiętasz, ale jeśli zaczniesz zapominać, jak wyglądałam albo jaki miałam głos, albo cokolwiek, nie martw się. Pamiętaj tylko o miłości. Tylko to się liczy.*

Pamiętaj o miłości. Tylko to się liczy.

Nadal mam jej miłość. Nikt i nic mi tego nie

odbierze. Nawet śmierć.

I mam ludzi, których teraz Kocham i którzy Kochają mnie. Tego Saul nie rozumie. Po prostu nie jest w stanie.

Nieważne, ile żyć przeżył, nie nauczył się, co naprawdę ma znaczenie.

Może przez to jest bardziej niebezpieczny.

Może to jest jego słabość.

Nie wiem.

Ale wiem, co mam ja. Mam w swoim życiu miłość, a to jest coś, o co warto walczyć.

Za co warto umrzeć.

## SARA

*Ostrze jest tępe – zimny szary metal. On przykłada jego koniec do mojej skóry. Nie mogę nic powiedzieć. Mam w ustach knebel, który mnie dławi. Patrzę mu w oczy, błagając wzrokiem. Ale jego oczy są dziwnie puste. Nie widzi mojego przerażenia, nie reaguje na ten strach. To nic dla niego nie znaczy.*

*Nie rań mnie.*

*Nie zabijaj mnie.*

*– Już to robiłem – mówi, a ja mu wierzę.*

*Boże, pomóż.*

*Wtedy rozlega się huk. Dźwięk odbija się echem w moich uszach.*

Otwieram oczy akurat w chwili, gdy słyhać następny wybuch. Potworny huk odbija się dziesiątki razy w korytarzu. Pierwsze, o czym myślę, to Chaos. Znowu.

Rozlega się alarm.

Rozglądam się w poszukiwaniu Mii. Mała nie śpi.

– Mama? – pyta, wystraszona.

– Nie wiem, co to jest – mówię.

Czekam na kolejny wstrząs, na to, że pokój wywróci się do góry nogami.

Na zewnątrz, na korytarzu słyhać hałasy, ale tym razem to głosy ludzi przebiegających obok naszego pokoju i wyjący alarm. Wkrótce kroki i głosy cichną.

Nagle znowu zaczynają się wybuchy. Teraz jest ich więcej. Przychodzą seriami: dwa albo trzy, potem przerwa, a później kolejne dwa albo trzy. Korytarz ponownie jest pełen ludzi: słyszać tupot wielu nóg i krzyki.

Hałasy są tak głośne, że nie słyszę klucza w zamku, ale w pokoju pojawia się Adrian. Mundur ma krzywo zapięty, a jego włosy sterczą na wszystkie strony.

– Teraz, Saro – mówi. – To musi być teraz. .Poniosę Mię. Owiń ją czymś. I weź ciepłe rzeczy, co tylko wpadnie ci w ręce.

– Co się dzieje? Co to za hałas? – denerwuję się.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Musimy iść.

Szybko zawijam Mię w jej pasiasty kocyk.

– Gdzie idziemy? – mamrocze mała.

– Zobaczyć tatę – odpowiadam szeptem.

Spod łóżka wyciągam swoją starą kurtkę.

Adrian bierze Mię na ręce i wychodzi, ale waha się w drzwiach. Żołnierze przebiegają obok niekończącym się strumieniem khaki. Jednak strażnik przed naszym pokojem nadal stoi.

– Mam rozkaz ewakuować te dwie dalej od wejścia – informuje go Adrian. – Możesz iść przodem? Mamy dotrzeć do skrzydła medycznego.

Strażnik nie zadaje pytań.

– Przepuścić więźniów – warczy i rusza pod prąd, spodziewając się, że inni zejdą mu z drogi.

Adrian i ja ruszamy za nim. Mam trudności z

dotrzymaniem im kroku. Im bardziej zostaję w tyle, tym częściej wpadają na mnie ludzie biegnący w przeciwną stronę. Buzia Mii patrząca na mnie nad ramieniem Adriana w pewnym momencie znika w morzu głów.

– Adrian! – wołam.

On ogląda się i zatrzymuje.

– Zaczekaj chwilę! – krzyczy do strażnika, który nas eskortuje.

– Przepraszam – mówię. – Ciągłe łapie mnie kolka. Nie mogę się ruszać tak szybko.

– W porządku. Będiesz szła przede mną. Pójdziemy twoim tempem.

Prawie docieramy do skrzydła medycznego, kiedy rozlega się kolejna seria wybuchów. Tym razem podłoga aż się trzęsie. Wszyscy na sekundę czy dwie przystają. Potem korytarzem niesie się głos:

– Kod 5. Kod 5. Wejście 1 ma kod 5.

– Co to znaczy? – pytam Adriana.

– To znaczy, że tu są kłopoty.

Nasz strażnik przeciska się obok nas w drugą stronę.

– Dalej sobie poradzicie? – upewnia się. – Jest kod 5.

– Tak, jasne – odpowiada Adrian. – Damy radę.

Żołnierz rusza biegiem. Patrzymy za nim, a potem Adrian mówi:

– Lepiej od razu włóż tę kurtkę.

– Adrian, co się dzieje? Nie chcę trafić do skrzydła medycznego.

– Spokojnie, Sara. Musimy się dostać do magazynów.

Chodź, tędy.

– Do magazynów? – powtarzam, zdezorientowana.

Próbuję z nim rozmawiać, ale strasznie dyszę, bo staram się nie opóźniać marszu.

– To jedyne inne wyjście – wyjaśnia mi chłopak. – Te magazyny łączą się z siecią jaskiń ciągnących się pod wzgórzem. Ludzie tamtędy wchodzą i wychodzą, odkąd ten bunkier zajęło wojsko. Biorą z magazynów różne rzeczy, lekarstwa i tak dalej.

Skręcamy w boczny korytarz.

– Tu się pożegnam – mówi Adrian i stawia Mię na ziemi. Głaszczę ją po policzku. – Na razie, skarbie. Idźcie dalej, Saro. Znajdziesz drogę beze mnie. Na końcu ktoś będzie na ciebie czekał.

Ale ja jeszcze nie jestem gotowa go puścić.. Co, jeśli będzie więcej wybuchów? A jeśli Mia tak się wystraszy, że nie da rady iść? W tym stanie nie mogę jej nieść.

– Nie podejdiesz z nami jeszcze kawałek? – proszę.  
– Tylko kawałek. Żebym złapała oddech.

– Okay, ale niezbyt daleko. Powinienem być z powrotem na posterunku, zanim zauważą, że cię nie ma.



## ADAM

Beton wibruje mi pod policzkiem. Jeden wstrząs i po chwili drugi. Potem pojawia się hałas – dwa trzaski, jakby odgłos blokujących się zamków w samochodzie.

Siadam. To nie były kliknięcia blokady w drzwiach. Więc co?

Po korytarzu biegają ludzie, ktoś wykrzykuje rozkazy, dzwoni alarm. Opieram się o drzwi i słucham odgłosów paniki na zewnątrz.

Po jakimś czasie tupot butów na betonie cichnie, tylko alarm wyje dalej. Mam wrażenie, jakby się rozlegał w mojej głowie.

Nagle słyszę szczęk klucza w zamku. Zanim smuga światła zdąży rozszerzyć się w prostokąt, jestem na nogach, gotów przyłożyć każdemu, kto wejdzie.

– Adam! – męski głos wymawia moje imię.

Dziwne. Normalnie strażnik nic nie mówi, a światło w celi zapala, zanim otworzy drzwi.

Nie odzywam się. Plecami przyciskam się do ściany obok drzwi, więc żeby mnie zobaczyć, strażnik musi wejść do środka.

Facet jest przygarbiony, coś za sobą ciągnie. W świetle z korytarza widać jego wojskowe ubranie, ale jest niższy niż większość tutejszych strażników i ma włosy związane w kucyk. To nie jest żaden żołnierz. A to coś, co wciąga do celi, to ciało.

Mężczyzna odwraca się twarzą do mnie. W brudnej brodzie pojawia się szeroki uśmiech i słyszę:

- Adam... Adam, nic ci nie jest?
- Daniel?! – wołam, zaskoczony.
- Muszę go tu zostawić...

Pomagam mu wciągnąć ciało. To nieprzytomny strażnik, który mnie pilnował.

Daniel się prostuje i przymyka drzwi. Potem odnajduje mnie i obejmuje męskim uściskiem, klepiąc po plecach. Przywieram do niego na minutę. Ledwie mogę uwierzyć, że to on.

– Przyszedłem was stąd wyciągnąć – mówi Dan. – Gotowy?

– Boże, tak! Tak! – wykrzykuję. – Ale musimy zabrać Sarę. Daniel, im chodzi o nasze dziecko. To jest kompletnie pojebane miejsce.

On robi ponurą minę.

– Potem mi opowiesz. Sarze pomaga ktoś inny, mój tutejszy kontakt, mój dostawca – Adrian. Jak będziemy mieli szczęście, to ich dogonimy. Jeśli nie, spotkamy się już na zewnątrz.

– Muszę ją zobaczyć! – krzyczę. – Szybko! Chodźmy po nią!

– Adam, wszystko jest pod kontrolą. Zaufaj mi. Nałóż to, żebyś się nie wyróżniał.

Daniel podaje mi wojskową kurtkę. Jej kieszenie są wypchane. Sprawdzam, co tam jest – nóż, latarka i różne inne drobiazgi.

– W przebraniu czy bez, i tak mnie poznają – mówię, a potem wskazuję na swoją twarz, twarz, którą pokazały telewizory w milionach domów.

– Zawiąż ten szalik. Trochę cię zakryje. Na szybki kamuflaż wystarczy. I tak nie będą na ciebie patrzeć, są zajęci czymś innym.

Po tych słowach Daniel unosi rękę, żeby złapać trochę światła wpadającego przez szparę, i patrzy na zegarek.

– Zaczekajmy jeszcze minutę.

– Na co? – pytam.

Odpowiedź przychodzi w formie serii potężnych wybuchów. Natychmiast zaczynają wyć syreny. Na korytarzu znowu słychać tupot butów. Modłę się, żeby nikt nie zauważył uchylonych drzwi celi.

Dan przesuwa się w stronę wyjścia i wygląda.

– Idziemy. Na początek lecimy ze stadem.

I ruszamy kłusem za żołnierzami. Daniel kuleje. Przypominam sobie wtedy – trzy dni temu Saul postrzelił go w nogę. Musiała to być powierzchowna rana, bo nie przeszkadza mu aż tak bardzo.

Biegniemy przez kilka minut – z tyłu grupy – a potem Dan zwalnia, pozwalając żołnierzom się oddalić, zanim skręci w boczny korytarz. Idę za nim, zerkając przez ramię. W porządku, za nami nikogo nie ma.

– Już niedaleko – mówi Daniel, kiedy go doganiam.

– Dokąd idziemy?

– Do tylnego wyjścia. Tamtędy wszedłem.

– A Sara?

– Też tam będzie. Prędzej czy później. Nie martw się. Kolejna seria wybuchów i mury aż się trzęsą.

– Cholera! Co to jest?

– Przyjaciele, Adam. Przyjaciele. Tym razem może uda im się dostać do środka i zniszczyć cały ten szajs. A nawet jeśli nie, znakomicie odwracają uwagę od waszej ucieczki.

– Nie mogę uwierzyć, że po mnie przyszedłeś – przyznaję z wdzięcznością.

Unoszę rękę, a on przybija mi piątkę.

– Uwierz, Adam – śmieje się. – Już ci mówiłem, potrzebujemy cię. Nie mogliśmy dać ci zniknąć.

Skrećamy w kolejny korytarz. W jego połowie widzę trójkę ludzi plecami do nas: faceta w mundurze, kobietę i dziecko. Musieli nas usłyszeć. Odwracają się. Żołnierz wyciąga zza pasa broń. Kiedy unosi rękę, żeby wycelować, ktoś krzyczy:

– Adam! – To Sara.

– Tata! – To Mia.

Strażnik chowa broń. Teraz poznaję, że to Adrian.

Pędzę do Sary i Mii. Sara wygląda na wyczerpaną, pod oczami ma ciemne worki, ale jej oczy są niebieskie jak zawsze i teraz lśnią radością. Obejmuje mnie za szyję i przyciąga, żeby pocałować. Mia czepia się moich nóg, prosząc, żeby ją wziąć na ręce. Jednym ramieniem obejmuję Sarę, drugim sięgam do małej.

Sara patrzy za mnie.

– Daniel, to ty? – Jest bezgranicznie zdumiona. – Żyjesz! Dzięki Bogu. Gdzie Marty i Luke? Są bezpieczni?

– Nic im nie jest – odpowiada Dan. – Niedługo ich zobaczysz. Ale najpierw musimy się przedostać przez jaskinie. Miejscami jest ciasno, ale nic wam nie będzie. Na ścianach są białe znaki, wystarczy iść za nimi. Proszę. – Sięga do kieszeni i podaje Sarze latarkę. – A teraz wynośmy się stąd. Idziesz z nami? – pyta Adriana.

– Nie – mówi chłopak. – Zostaję. Co ja bym tam robił? Ale powodzenia. Do zobaczenia za parę miesięcy.

– Tego miejsca może już wtedy nie być – ostrzega go Daniel.

Kolejny wybuch wstrząsa bunkrem.

– Będzie – stwierdza Adrian. – To najbezpieczniejsze miejsce w Anglii.

Skoro chłopak nie chce uciekać, ruszamy dalej bez niego. Na końcu korytarza są drzwi. Otwarte.

– Nie tak to zostawiłem. – Daniel staje jak wryty. – Zamknąłem je na klucz.

Patrzymy na siebie.

– Ktoś tu był. Może weszło więcej naszych, ale tego chyba nie było w planie – myśli głośno Dan.

Stawiam Mię na ziemi, żebym mógł z Danielem sprawdzić, co jest za drzwiami. Ale widzę, że on zawraca, biegnie w stronę Adriana, który stoi tam, gdzie go zostawiliśmy. Opiera się o ścianę, głowę ma odchyłoną, oczy zamknięte.

– Adrian – dyszy Daniel, a chłopak ze strachu niemal

wyskakuje ze skóry. – Drzwi są otwarte. To ty?

– Nie. Nie wchodziłem do magazynów.

– Chodź, zobacz.

– Nie mogę, muszę już wracać – mówi chłopak, uciekając wzrokiem, a jego twarz robi się cała czerwona.

– Daniel – wołam – zostaw go! Tracimy czas!

Ale on już wyciąga broń i przystawia do karku strażnika. Nie kapuję, co się dzieje – myślałem, że byli kumplami – ale nie będę się kłócił z Danielem, kiedy jest w takim nastroju.

– Adrian pójdzie pierwszy – warczy Dan. – Prawda?

I prowadzi go do nas. Kiedy nas mijają, od Adriana czuję ostrą woń strachu. Po twarzy spływa mu pot.

Otwarte drzwi w niestrzeżonym wyjściu. To nie mogło być takie proste, prawda?

Daniel zdejmuje lufę z szyi chłopaka i popycha go za drzwi, dźgając w żebra. Adrian wchodzi do magazynu.

– Czysto! – krzyczy do nas. – Nikogo tu nie ma!

Więc Daniel też idzie. Przepuszczam Sarę z małą i ostatni przechodzę przez drzwi.

Staję jak wryty.

Tu wcale nie jest pusto. Przed Danielem i Adrianem stoi Saul. Trzyma rewolwer.

– Dzień dobry – mówi. – Wejdźcie wszyscy. Wejdźcie i zamknijcie za sobą drzwi.

## SARA

Odwracam się i przytrzymuję drzwi, żeby się nie zamknęły. To wielkie, grube, drewniane drzwi z nitami i staroświeckimi zamkami. Kiedy je ciągnę, Adam nagle skacze na Adriana. Wykręca mu lewą rękę za plecy, aż chłopak jęczy z bólu. Potem sięga do swojej kieszeni, wyjmując nóż i przykłada Adrianowi do gardła.

– Adam, przestań! Przestań! – krzyczę, ale on mocno trzyma strażnika i nie zamierza go puścić.

Daniel nadal stoi bez ruchu. Ma w ręku broń, celuje w Saula.

– Sara – rozkazuje przez zaciśnięte zęby, odwracając głowę w moją stronę – uciekaj. Dogonimy cię.

Ściskam rączkę Mii i zaczynam się przesuwać, żeby wyminąć ich wszystkich. Gdy jesteśmy już za nimi, powolutku wchodzimy głębiej do jaskini, cały czas trzymając się plecami do ściany.

Adam mocniej szarpie rękę Adriana.

– Wiedziałeś – mówi ochryple. – Wystawiłeś nas!

– P-p-przepraszam – Adrian ledwo może to wykrztusić. Jąka się z przerażenia. – J-ja n-n-nie miałe-e-e-em w-wyboru.

Adam mocniej przyciska czubek ostrza do jego szyi. Nie przecina skóry. Jeszcze nie.

– Nie chcę słyszeć twoich przeprosin – odwarkuje. – Zdradziłeś nas. Swojego kumpla Daniela. Sarę i mnie.

Nawet Mię.

– Adam, odłóż ten nóż – wtrąca się Saul. – Przecież go nie użyjesz. Saro, zostań, gdzie jesteś.

– Nie zatrzymuj się, Saro – nakazuje Adam. – Użyję go, Saul. Zabiję chłopaka, jeśli będzie trzeba. I ciebie też.

Takiego Adama nigdy przedtem nie widziałam. Zdarzało mu się kogoś uderzyć w ataku złości. Byłam świadkiem, jak rzuca przedmiotami, rozbija coś. Ale nigdy nie myślałam, że zobaczę, jak grozi komuś nożem. Kiedy patrzę na niego w tej chwili – na nienawiść w jego oczach, ścięgnięta ręki napięte jak struny, żyłę na szyi pulsującą wściekle – nie jestem wcale pewna, czy nie użyje tego noża.

W takim stanie jest przerażający. Ale jest też w nim coś szlachetnego. Przecież broni Mii i mnie. Będzie za nas walczył do śmierci.

Nie wiem, co się stanie potem, ale nie chcę, żeby Mia była świadkiem tej sceny. Ignoruję słowa Saula i nie zatrzymuję się. Jesteśmy już od nich oddalone o kilka metrów.

– No to ciach! – mówi Saul. – Zabij go.

– Co? – nie dowierza Adam.

– Zabij gnojka!

Adrian piszczy w zwierzęcym przerażeniu.

– Naprawdę chcesz, żebym go zabił? – pyta Adam.

– Niespecjalnie chcę – parska Saul. – On mnie nie obchodzi, tak czy inaczej. Chcę tylko, żeby ten cyrk się skończył. Pozbądź się go. I przy okazji tego hipisa z



sześciostrzałowcem. Potem zostaniemy już tylko ty i ja.

Przez boleśnie długi czas panuje cisza, nie licząc szurania butów moich i Mii na nierównym podłożu oraz Adriana, dyszącego jak pies, szybko i głośno.

Potem odzywa się Adam:

– Nie mogę. Masz rację, Saul, nie zrobię tego.

– No to go puść.

Adam odsuwa ostrze od gardła chłopaka, a on zatacza się, wymachując rękami.

– Ty nie możesz, ale ja mogę. Tak się to robi – mówi zimno Saul i wciąż celując w Daniela, pociąga za spust.

To tylko drobny ruch, ale ogłuszający huk wypełnia całą jaskinię, odbija się echem od ścian. A jednak gdyby nie dym unoszący się z lufy, nie dałoby się poznać, że to stamtąd wydobył się dźwięk.

Daniel wypuszcza broń z ręki. Zgina się, trzymając za nadgarstek.

Kładę rękę na oczach Mii i ruszam biegiem, ciągnąc ją ze sobą. Oglądam się. Widzę, jak Saul kieruje rewolwer na strażnika. Rozlega się kolejny strzał i następny. Adrian skręca się na miejscu i pada na ziemię.

Biegnę w głąb jaskini. Już się nie oglądam. Nie mogę.

Podążam za linią narysowaną na skalnej ścianie, obok pierwszego białego znaku, dalej i dalej.

## ADAM

Adrian i Daniel – obaj oberwali. Adrian leży na ziemi, z twarzą w piachu. Daniel nadal kuca, ściskając nadgarstek – usiłuje powstrzymać krwawienie.

– Rewolwer jest lepszy niż nóż – mówi do mnie Saul głosem zimnym jak lód. – Odłóż go, Adam, zanim zrobisz sobie krzywdę.

Upuszczam nóż.

– A teraz zdejmij hipisowi pasek – rozkazuje mi.

– Co? – Nie rozumiem, o co mu chodzi.

– Zrób to! – syczy przez zęby Siwy.

Przykucam koło Daniela, rozpinam mu pasek i wyciągam go ze szlufek.

– Usiądź do niego plecami – rzuca Saul.

Robię, co każe.

Facet klęka obok nas i paskiem związuje ręce moje i Dana za naszymi plecami. Daniel jęczy, gdy Siwy szarpie jego postrzelony nadgarstek, i prosi:

– Saul, muszę założyć ucisk. Inaczej się wykrwawię.

– Rzeczywiście, może tak się zdarzyć – odpowiada Saul, nie przerywając pracy.

Jak tylko skończy, na pewno ruszy za Sarą.

Znowu nie udało mi się go powstrzymać. Nie kupiłem jej dużo czasu. Ale jest sposób, żeby ją uratować. Mogę dać temu świrowi to, czego chce.

– Saul – zaczynam – nie musisz ścigać Sary. Nie

musisz zabijać mojego dziecka.

– Owszem, muszę – odpowiada i zaciska węzeł tak mocno, że pasek wrzyna mi się w skórę.

– Chcesz mieć więcej czasu – mówię dalej. – Chcesz widzieć numery. Możesz je widzieć moimi oczami. Moje życie, mój dar. Są twoje, jeśli tylko obiecasz, że zostawisz moją rodzinę w spokoju. Dam ci je.

Facet przygląda mi się badawczo, jakby mnie widział pierwszy raz.

– Adam, myślałem, że jesteśmy tacy sami, ale nie jesteśmy. Różnimy się, i to bardzo. Naprawdę oddałbyś mi swój numer? – pyta ze zdziwieniem.

Przecież to jedyne, co mi pozostało. Nie miałem odwagi zabić tego szaleńca, kiedy była okazja. Zawiodłem moje dziewczyny, jak wiele razy wcześniej. Teraz mogę dla nich zrobić to jedno. I zrobię.

– Tak – odpowiadam. – W każdym razie pozwoliłbym ci go wziąć, czy jak ty to robisz.

– Wystarczy mi kontakt, o, tak... – Siwy pochyla się i mocno chwyta moje ramię – popatrzeć w oczy i sięgnąć do środka.

Nie mogę się powstrzymać. Instynktownie próbuję odwrócić wzrok, ale jego ręka przenosi się z mojego ramienia na szczękę. Facet siłą zmusza mnie, żebym spojrzał mu w twarz. Zamykam oczy, nie wpuszczam go. On się śmieje i mnie odpycha.

– Naprawdę nic nie rozumiesz, co? – drwi ze mnie. – Twoje dziecko to wszystko, o czym marzyłem. Jak

myślisz, jakie zdolności będzie miało? Takie jak ty, jak Sara, a może jak twoja babka i Mia? To potomek pokoleń ludzi z niezwykłymi darami. Dlaczego uważasz, że twój numer mi wystarczy, skoro mogę mieć numer takiego dziecka? A poza tym nie mogę cię zabić. Jeszcze z ciebie nie zrezygnowałem. Pomyśl, ile moglibyśmy osiągnąć, gdybyśmy pracowali razem. W tej chwili cię na to nie stać. Ale jesteś młody, nauczysz się. Jesteśmy jak bracia krwi, bracia w numerach.

– Proszę, Saul. Zostaw Sarę i dziecko w spokoju. Błagam cię. Błagam...

– Jak mówiłem, jesteś młody. Masz mnóstwo czasu, żeby zrobić kolejne dziecko i kolejne. Ile tylko zechcesz.

– Przestań! Nie mów tak!

– Jak? Jak ktoś, kto przeżył dwieście pięćdziesiąt lat? Jak ktoś, kto wie, co jest grane?

– Nie. Jak ktoś, kto zapomniał, jak być człowiekiem!  
– wykrzykuję.

– A co to znaczy być człowiekiem, Adam? – dopytuje Saul. – To mieć inteligencję. Być lepszym od zwierząt. Móc przechytryć naturę, triumfować, trwać.

Może on ma rację na swój ograniczony sposób. Ale coś pominął. Coś wielkiego.

– A miłość, Saul? Uczucia do innych ludzi, wspólna praca, życie razem? Co z rodziną, sąsiadami, znajomymi, przyjaciółmi?

– To nieistotne – prycha. – Ludzie przychodzą i odchodzą. Zrozumiesz to, kiedy postanowisz iść moją

drogą. Nie ma co się przywiązywać, jeśli za siedemdziesiąt lat umrą. Siedem dych i po wszystkim, zanim się na dobre zaczęło.

– Ale w życiu właśnie o to chodzi – staram się go przekonać. – Masz jedną szansę, żeby wszystko zrobić dobrze. Jedno życie do przeżycia.

– To staroświeckie myślenie. Mogę żyć, ile razy zechcę. Wiecznie.

– Ale ile razy ty zyskujesz życie, ktoś inny umiera.

– Cóż, tak to już jest.

Wiedziałem – on jest szalony i niebezpieczny. To kompletny świr!

Ale ze swoich pokręconych powodów postanowił zachować mnie przy życiu. A jeżeli ja przeżyję, w zamian umrze moje dziecko. Nie mogę na to pozwolić. Nie mogę.

Zmuszę go, żeby mnie zabił.

– Jesteś totalnie porąbany, Saul. I na dodatek głupi – prowokuję go.

On odsuwa się ode mnie gwałtownie, niemal jakbym go uderzył.

– Jesteś głupi, jeśli myślisz, że kiedykolwiek bym ci pomógł. Nie zniżyłbym się do twojego poziomu. Nigdy. Przenigdy. A jeśli mnie tu zostawisz, ucieknę i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię powstrzymać. Wszystkim powiem, kim jesteś i co zrobiłeś.

Z tyłu Daniel szarpie mnie za rękę, chce, żebym się zamknął. Nie rozumie, co jest grane. Nie wie, że muszę to

zrobić, posunąć się dalej, wkurzyć Saula tak, aż dostanie szału.

– Jesteś najslabszym, najgłupszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem – mówię dalej. – Nawet pogardy na ciebie szkoda. Jesteś...

Saul chwyta rewolwer za lufę i wali mnie rękojeścią w bok głowy. Mam tylko ułamek sekundy na to, żeby zamknąć oczy. Pod wpływem siły uderzenia przechylam się, ciągnąc przy tym Daniela. Tracę przytomność, zanim padniemy na ziemię.

# SARA

Ciągle idziemy naprzód. Drogę oświetlają nam lampy rozwieszane co jakiś czas. Ale nie możemy posuwać się zbyt szybko, bo pod nogami mamy skałę, miejscami mokrą i bardzo nierówną. W najlepszym wypadku stać nas na powolny trucht. Mia radzi sobie nie najgorzej, ale nie ma wielkiego wyboru – ciągnę ją za sobą, ściskając mocno za rączkę.

Po jednej stronie piętrzą się wysokie stosy pudel i skrzyń, po drugiej – mamy litą skałę. Sufit jest wysoko nad naszymi głowami – ta przestrzeń jest ogromna.

Akurat kiedy zaczynam się zastanawiać, czy nadal jesteśmy na dobrej drodze, na skale dostrzegam kolejny znak. Białe kropki nie rzucają się w oczy – gdybym ich nie wypatrywała, pewnie bym ich nie zauważyła. Każda jest dla mnie jak nagroda.

Niedługo później zaczynam mieć wrażenie, jakby ściany wokół nas się zamykały. Skrzynie i pudła leżą już tylko w jednej warstwie, a tuż za nimi widać skałę. Sufit też jest coraz niżej.

I wtedy kończą się lampy. Wygląda, jakbyśmy szły na ciemną ścianę.

– Okay, Mia, zatrzymajmy się na moment – mówię.

Włączam latarkę i kieruję promień światła do przodu. To koniec magazynów, ale nie ścieżki – prowadzi dalej skalnym tunelem szerokości jakiegoś metra i niewiele

wyższym niż ja.

Za sobą słyszę szum głosów. Przed nami jest tylko gruby koc ciemności.

– W porządku – odzywam się po chwili, starając się, żeby mój głos brzmiał bardziej pewnie, niż się czuję. – Mia, trzymaj mnie za rękę. Będzie trochę ciemno.

– Gdzie tata? – pyta mała.

– Dogoni nas. Chodź.

Sufit jest coraz niżej. Dopóki mogę iść wyprostowana, nie jest źle. Ale wkrótce muszę się przygarbić i iść na zgiętych nogach.

Z góry ciągle kapie woda. Na ziemi są kałuże, w końcu zaczynamy brodzić w płytkim strumyku.

Nie mam odwagi się nad tym zastanawiać – boję się, że będę panikować. Ciemność przed nami, ciemność za nami, milion ton ziemi i kamieni nad nami. Adrian mówił, że jak długi jest ten tunel? Mówił o tym w ogóle?

Jest coraz ciaśniej. Idę przed Mią, ale wykręcam się tak, żebym mogła trzymać ją za rękę. Mała jest cichutko, dzielnie dotrzymuje mi kroku.

Świecę do przodu latarką. Parę metrów przed nami jest ściana. Ślepa uliczka. Co, do...? Oszukali nas! Wpadliśmy w pułapkę jak myszy.

– Stańmy na chwilę – mówię, a mój głos brzmi, jakby należał do kogoś innego.

Promieniem latarki szukam w górze i w dole, na lewo i na prawo. Po lewej stronie w skale jest otwór, wysokości może metra, a nad nim biały znak.



– To chyba tu, Mia. Chyba pójdziemy tędy.

– Ciemno, mama – szepcze mała.

Odwracam się i obejmuję ją mocno.

– Już prawie doszliśmy – pocieszam ją, chociaż nie mam bladego pojęcia, czy to prawda. – Jesteś bardzo dzielna. Masz swój kocyk?

– Tak.

– Grzeczna dziewczynka, staraj się go nie zamoczyć.

Jedyny dźwięk tutaj – oprócz naszych głosów – to krople kapiące do wody na ścieżce. Nie słyszę już Adama ani Saula. Mogłybyśmy być tu jedynymi ludźmi na świecie. Może powinniśmy zawrócić? Ale tam, z tyłu, jest Saul z rewolwerem i Adam z nożem. Bóg wie, co się tam dzieje. Nie myśl o tym. Uciekaj.

– Schyl się, Mia – proszę ją. – Ja będę musiała iść na czworakach. Pójdę pierwsza, dobrze? Ty za mną. Tylko trzymaj się blisko, skarbie.

Biorę latarkę do ust i opuszczam się na ręce i kolana. Woda jest lodowata. Sięga mi do nadgarstków. Błyskawicznie mokną mi kolana, łydki i stopy. Przemierzam się metr czy dwa do przodu i zamieram. A jeżeli dalej robi się głębiej? Jeżeli dno tunelu opada?

Serce wali mi jak oszałałe. Czuję jego bicie w gardle i uszach. Nie mogę się ruszyć. Jestem jak sparaliżowana. Nie dotykam skały nad sobą, ale i tak ją czuję – kolosalny, przytłaczający ciężar.

Coś wpada na moją pupę.

– Brzydko tu – mówi drżący głosik.

Mia. Tylko dzięki niej pokonuję panikę i ruszam dalej.

Czas jakby tu nie istniał, więc zaczynam liczyć pod nosem. Wytrzymam tak minutę. Jeden, dwa, trzy...

Kiedy dochodzę do sześćdziesięciu, obiecuję sobie, że wytrzymam kolejną minutę.

I tak idziemy.

Mia podąża tuż za mną, co chwila wpada na mnie. W normalnych warunkach byłoby to irytujące, ale teraz każde jej dotknięcie przypomina mi, dlaczego tu jestem, i mobilizuje do dalszej drogi. Robię to, żeby moja córeczka była bezpieczna.

Gdy doliczam do dwustu siedemdziesięciu, sufit się podnosi. Wyjmuję latarkę z ust i podciągam się, przytrzymując ściany. Kolana mnie boją, ręce i stopy mam zdrętwiałe z zimna. Wciągam do płuc wilgotne powietrze. Mam wrażenie, jakbym całe godziny wstrzymywała oddech. Opieram się o skały, żeby się uspokoić.

Mia trwożliwie obejmuje mnie za nogi i opiera główkę o moje uda.

Świecę dookoła latarką i nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Jesteśmy w olbrzymiej jaskini, pustej, nie licząc mnóstwa stalaktytów zwisających z sufitu i ich bliźniaczych odpowiedników sterczących z podłogi. Po pobycie w małej celi, po wędrówce w wąskim tunelu poczucie przestrzeni jest niesamowite. Olbrzymia podziemna pieczara – nigdy nie widziałam czegoś

podobnego.

– Rety. Popatrz, Mia – szepczę do małej.

Przez kilka sekund stoimy zapatrzone. Potem przesuwam światłem latarki wzdłuż ściany, szukając białych znaków. Oddycham z ulgą, kiedy widzę jeden kilka metrów dalej.

– Chodź – mówię do Mii. – Teraz znowu możemy się trzymać za ręce.

Pierwsza oznaka, że jesteśmy blisko powierzchni, to zmiana pod naszymi stopami. Wychodzimy ze stojącej wody na suchą skałę. Później ciemność łagodnieje. Powietrze też się zmienia. Czuję dym.

– Mia, kochanie, chyba już prawie doszliśmy – mówię z nadzieją.

– Prawie doszliśmy – powtarza po mnie mała.

Ścieżka zaczyna wyraźnie piąć się w górę. Skręcamy za róg i wreszcie jest – plama miękkiego szarego światła przed nami.

– To tu. Dzięki Bogu.

Po tak silnych emocjach zaczynają mi się trząść nogi. Ale teraz nie mogę się zmienić w galaretę. Musimy się stąd wydostać i znaleźć jakieś miejsce, żeby się schować i żeby odpocząć.

Wejście na świat zagradza zardzewiała brama. Ale jest tylko oparta o skały. Z jednej z krat zwisa kłódka, otwarta i bezużyteczna.

Adrian mówił, że ktoś na nas będzie czekał, ale to było kłamstwo, nie? Powiedział, co musiał, żeby nas

doprowadzić do magazynów. Jego zdrada jest jak twarda, zimna kula w gardle. W głowie mam obraz, jak chłopak gładzi Mię po policzku. Myślałam, że jest po naszej stronie. Ale wysłał nas prosto w łapy Saula. Jak mógł to zrobić? Nie rozumiem. Nigdy nie zrozumiem.

– Halo?! – wołam.

Zero odpowiedzi.

Wyglądam przez kraty, ale po drugiej stronie nikogo nie widać. Więc odsuwam bramę trochę na bok, żebyśmy mogły wyjść.

– Chodź, Mia.

Przeciskam się przez szparę, mała idzie za mną. Potem przesuwam bramę z powrotem na miejsce.

Jesteśmy w środku kępy jeżyn, ale gałęzie przy wejściu zostały ułamane, ziemia jest zdeptana. Ktoś tu był, niedawno. Więc wołam znowu:

– Halo?!

Nawet na dworze światło jest przytłumione. Musi być wciąż wcześniej albo jest bardzo mglisto. Wszystko spowijają szare opary, mgła zmieszana z drzewnym dymem.

Nie widzę nieba, ale wiem, że jest tam, w górze. Mam wrażenie, jakby ktoś zdjął mi z barków wielki ciężar. Znowu mogę oddychać, naprawdę oddychać.

Kępa jeżyn, w które weszłyśmy, rośnie na pochyłym zboczu. W oddali widać jakieś budynki. Ale żadnych ludzi. Nie mamy szansy schować się na otwartym polu, więc lepiej będzie pójść w stronę zabudowań i tam

zdecydować, co dalej.

– Idziemy – mówię, ale Mia już pobiegła.

Ona też poczuła wolność i przestrzeń po dniach spędzonych w malutkiej celi, naszym więzieniu. Ruszyła beze mnie i pędzi polem, przeskakując kretowiska, śmiejąc się głośno.

– Zaczekaj! Zaczekaj na mnie! – wołam do niej.

Nie mogę jej złapać, ale to nie szkodzi, bo mała biega w kółko i po chwili wraca do mnie zziajana, z językiem na wierzchu, jak pies. W oczach ma światło, którego dawno w nich nie widziałam.

Moje nogi są zmęczone i dygoczą, ale świeże powietrze dodaje mi sił. Biorę córeczkę za rączkę i idziemy na skraj pola, do brukowanej drogi.

Droga wiedzie w dół, do miasteczka. Przechodzimy po spękany bruku, a potem idziemy ulicą między domami. Jest tu pusty kanał, obetonowane koryto głębokości trzech czy czterech metrów. Na jego dnie leży metalowa konstrukcja, chyba zniszczony mostek.

Przez chwilę stoimy na brzegu kanału. Jest tak cicho, że słyszę pisk drona, chociaż jest jeszcze daleko.

Czip Mii. Boże! Zaraz nas znajdą!

Czy uciekanie w ogóle ma jakiś sens? Czy możemy się schować przed tym szpiegiem krążącym po niebie?

Kumple Daniela w lesie mieli najlepszy pomysł: zestrzelić cholerne paskudztwa.

Ale nie mogę się teraz poddać. Nie mogę usiąść tu i czekać, aż nas złapią.

– Musimy zawrócić, kochanie – mówię do Mii. –  
Tędy nie przejdziemy.

Gdy się cofamy, czuję ukłucie niepokoju – tyle czasu  
straciłyśmy. Ale nie mamy wyboru.

Znowu idziemy ulicą w górę i brukowaną drogą. Nie  
mogę się powstrzymać od spoglądania na pole, z którego  
zeszłyśmy, na wyraźne ślady naszych stóp w mokrej  
ziemi. Kiedy tak patrzę, we mgle pojawia się jakaś postać.  
Za duża na Adama.

Ktoś inny przeszedł za nami.

Szarpię Mię za rękę.

– Biegnij, Mia. Biegnij, biegnij!

## ADAM

Ziemia pode mną jest twarda. Przez ubranie czuję nierówności skały i jakaś część mnie się uspokaja. To nie jest gładki beton. Wydostaliśmy się z bunkra. Uciekliśmy z tego więzienia i znowu jesteśmy pod gwiazdami.

Sięgam po Sarę. Moja dłoń znajduje jej dłoń. Otwieram oczy. Przynajmniej tak mi się wydaje. Poruszam powiekami, ale to nie robi żadnej różnicy. Albo jest całkiem ciemno, albo oślepiłem.

Gdzie jesteśmy? Na jakichś klifach? W jaskini?

– Sara? – szepczę.

Mój głos wraca do mnie niesiony echem, razem z czymś innym.

– Nie Sara. Daniel.

Gdzie ja, do cholery, jestem?!

– Daniel? – pytam, zdezorientowany.

– Jesteśmy w bunkrze, Adam. Straciłeś przytomność. Saul zniknął.

Wszystko do mnie wraca. Saul i pistolet. Ja i nóż. Znowu nawaliłem.

– Jak długo go nie ma?

– Jakieś pięć minut.

– Kurwa!

– Już się prawie uwolniłem z tego paska. Możesz usztywnić nadgarstki, ale tak porządnie?

Ręce mi całkiem zdrętwiały, ale czuję mocne

szarpnięcie i Daniel jest wolny. Siada i wyciąga latarkę z kieszeni mojej kurtki. Widzę, że jego ręka jest cała zakrwawiona.

– Przez moment myślałem, że cię zabił – mówię.

– Tak, ja też. Już drugi raz skurwysyn do mnie strzelał. – Dan śmieje się słabo. – Muszę powstrzymać krwawienie. To może chwilę potrwać.

– Daniel, muszę iść.

Podciągam się do siadu.

– Wiem. Pójdę za tobą. Tylko najpierw to załatwię.

– Poradzisz sobie?

– Tak, tak. Ty ruszaj. Saul ma pięć minut przewagi, tylko tyle. Możesz ich dogonić.

Kolejny wybuch wysyła mi wibracje wzdłuż kręgosłupa. Ten brzmi bardziej jak wstrząs. Z sufitu sypie się trochę małych kamyków i kurzu.

– Daniel, to nie jest najlepsze miejsce do siedzenia, jeśli chcą wysadzić bunkier.

– Nie – przyznaje. – Nie spodziewałem się więcej bomb. To albo bardzo dobrze, albo bardzo źle. Może tam wrócę, rozejrzę się.

– Lepiej stąd spadaj, stary.

– Są tam inni, może im się przydać pomoc. Ale ty musisz iść za Sarą. Idź, Adam. Dogonisz je. Szukaj białych znaków. Jest kawałek, gdzie będziesz musiał leżeć na czworakach, ale da się przejść. Nie zatrzymuj się.

– Okay – odpowiadam. – Spadam stąd. Dzięki, Daniel. Do zobaczenia.



Ruszam biegiem, ale po chwili Dan krzyczy:

– Masz nóż?! Adam, sprawdź Adrianowi kieszenie!

Wracam i grzebię w rzeczach Adriana. Chłopak jest nieprzytomny, ale oddycha. Przypominam sobie jego numer – przeżyje, choć na to nie zasługuje. W jego kurtce jest telefon, jeszcze jedna mała latarka i jakieś klucze. Latarkę zabieram, klucze rzucam w stronę Daniela.

– Może ci się przydadzą!

I już biegnę obok pudeł i skrzyń, butli i wiader. Tyle tu rzeczy – jedzenie, leki, ciuchy. Leżały tu dwa lata, podczas gdy na zewnątrz ludzie głodowali, chorowali i marzli.

Nie mogę teraz o tym myśleć. Wiem tylko, że Sara i Mia szły tędy, widziały to, były tu parę minut temu. Muszę do nich dołączyć, dogonić je. Ale pomiędzy nami jest jeden człowiek. Saul.

## SARA

Próbuję zachowywać się tak, żeby dla Mii to było jak zabawa, ale mi nie wychodzi. Za bardzo się boję.

Mała kiwa główką, ale między jej brwiami pojawia się zmarszczka. Wyczuła mój niepokój. Wychwytuje zapach przerażenia w pocie, który się ze mnie leje. Cuchnąca kropla spada na nią z mojego czoła.

Jeszcze mocniej ściskam dłoń Mii.

– Biegnij, biegnij! – dyszę.

Pędzimy tak szybko, jak możemy, szeroką drogą przez obce miasto. Wokół widać stosy gruzu, latarnie uliczne leżą jak metalowe kłody. Ale można się domyślić, że to miejsce kiedyś było piękne. Gdzieś nadal jest. Tu i tam nietknięte budynki sterczą wśród ruin jak zdrowe zęby w zniszczonych ustach.

Nadal trzymając się za ręce, przebiegamy obok dużego kościoła z wielkimi, łukowatymi wrotami. Plac przed nim pełny jest namiotów i zaimprovizowanych szałasów, jak obozy dla uchodźców, które powstały w każdym mieście po Chaosie. Te miejsca miały istnieć parę tygodni, póki wszyscy nie staniemy znowu na nogi. Dwa lata później większość ludzi wciąż tak mieszka.

Przez chwilę myślę, czy się nie zatrzymać. Może mogłybyśmy zostać tutaj, zgubić się w tłumie. Ale gdy przechodzimy środkiem, czuję okropny smród. Śmierdzi tu jak w wychodku. Instynktownie spoglądam w dół.

Tekturowe pudła, plastikowe płachty, stosy gazet – wszystko leży na rzadkiej kupie ludzkich odchodów. Stoimy w niej. Teraz jest na naszych butach.

Chwytam brzeg swojej kurtki i unoszę do twarzy.

– Mia – krzyczę – zrób tak! Kocykiem. Trzymaj go przy buzi.

Mała nie kłóci się. Sama czuje ten fetor. Jej oczy łzawią i robią się czerwone.

Niemal już przeszliśmy przez obóz, kiedy łapie mnie kolka. Zatrzymuję się i gwałtownie wciągam powietrze, gdy szarpie mną rwący ból. Tkwię nieruchomo, pochylona, ale Mia ciągnie mnie za rękę.

– Mama biec – mówi.

– Za chwileczkę – odpowiadam, a moje słowa są tylko szeptem. Z bólu niemal straciłam oddech.

– Ma-maa – marudzi Mia.

Przestępuje w miejscu z nogi na nogę. Wiem, że jej się tu nie podoba – mnie też nie – ale w tej chwili nie mogę się ruszyć.

– Wiem, wiem. Wytrzymaj chwileczkę – proszę cicho.

Staram się oddychać powoli i równo. Ból ustępuje, mięśnie brzucha się rozluźniają. Pozwalam Mii prowadzić się obok ostatnich szałasów, wzdłuż bocznej ściany kościoła i dalej, ulicami. Nagle mała potyka się o ciągnący się po ziemi róg kocyka. Przewraca się, koc wypada jej z rąk.

– Mama!

Jej bezcenny kocyk leży w kałuży, nasiąka wilgocią, jego pastelowe kolory ciemnieją w oczach.

– Och, Mia, na litość boską! – denerwuję się.

Ona wpatruje się w niego ze łzami, znowu przestępuje z nogi na nogę.

– Nie ma co płakać – uspokajam ją. – Będziemy musiały go zostawić.

– Nie, mama. Nie, nie!

Mała przestaje dreptać w miejscu i tupie. Głośno płacze, wymachując rączkami.

– Mia; chodź – proszę. – Nie mamy czasu...

Próbuję pociągnąć ją za sobą, ale ona zapiera się nóżkami tak, że niemal wlokę ją po ziemi.

– Mia! Przestań! – krzyczę.

– Mama! Nie!

Mała wyrywa swoją rączkę z mojej i ucieka.

– Mia, zaczekaj! – wołam za nią.

Ale ona się nie odwraca. Pędzi po bruku w dół ulicy, byle dalej od kościoła, ode mnie. Ja też próbuję biec, ale po paru krokach znowu łapie mnie kolka.

– Mia! – wołam rozpaczliwie.

Nawet w jej pleckach da się wyczytać bunt wobec mnie. Mała jest coraz dalej. Odgłos jej kroków tłumi mgła. Wsłuchuję się i dociera do mnie, że tu prawie nie ma dźwięków. Miasto ma trochę niesamowitą atmosferę – miejsca, z którego wyssano życie. A do tego czuję dziwne łaskotanie w tyle głowy, mam wrażenie, jakbym była obserwowana. Nie zatrzymując się, spoglądam za siebie.

Z tyłu nikogo nie ma. Widzę tylko ileś tam metrów pustej ulicy, zanim połyka ją mgła.

Znowu patrzę do przodu.

Droga jest pusta.

Gdzie jest Mia?

Gdzie ona się podziała?!

Przyśpieszam, rękami podtrzymując brzuch. Z prawej strony jest wysoki mur, znad niego wystają gałęzie. Może to być ogród albo jakiś dziedziniec. Mniej więcej w połowie drogi natrafiam na żelazną bramę. Jest otwarta.

Kładę rękę na metalowej klamce. Jest zimna i mokra; przez tę mgłę wszystko jest wilgotne. W środku widzę krzaki i drzewa.

Nagle ogarnia mnie uczucie przerażenia.

– Nie, nie tutaj – mamroczę do siebie.

Ale ona musiała tu wejść. To jedyne miejsce na tej ulicy, gdzie mogła się schować.

– Mia! – krzyczę. – Wracaj!

Nigdzie jej nie dostrzegam. Jest tylko pusta ścieżka z drzewami po obu stronach.

Już to widziałam. Byłam tu. Znam to miejsce...

– Mia! Wracaj! – wydzieram się.

Jestem zdesperowana, teraz, kiedy zrozumiałam, co się dzieje. Sny zderzają się z rzeczywistością, jak przedtem. Jak w Chaosie.

Wyciągam rękę i popycham bramę mocniej, ale znowu wraca kolka. Już nie czuję jej tylko w jednym miejscu, ból rozszerza się na cały brzuch, ściska mnie i

paraliżuje. To nie kolka – to skurcz. Zaczął się poród.  
Dlaczego teraz? Dlaczego...?

Chwytam zimne kraty bramy obiema rękami i opieram się o nią, starając się oddychać mimo bólu. Na kilka sekund zamykam oczy.

*Oddychaj. Oddychaj. Poradzisz sobie.*

Oczy mam zamknięte, ale i tak widzę wysokie drzewa, warstwy ciemnych pni i kamieni, które wyglądają jak strażnicy tego miejsca.

*Pod nogami czuję żwir.*

*Jest twarz blisko mojej.*

*Jest ręka z nożem.*

*To mój koszmar.*

Nie mogę tam wejść. To miejsce jest pełne zła.

Ból trochę ustępuje, otwieram oczy i patrzę przez bramę.

Nikogo tam nie ma.

Mia zniknęła i muszę iść za nią.

## ADAM

*Oddychaj, oddychaj, oddychaj.* Znowu z góry sypią się kamienie, tym razem więcej. Leżę na czworakach, z latarką w zębach, kiedy odczuwam wibracje' i po jakiejś sekundzie słyszę hałas. Huk wybuchu miesza się z łoskotem odłamków spadających do wody i na mnie.

To wszystko może się zawalić i pogrzebać mnie tu żywcem. Mam wrażenie, jakbym już był pogrzebany. Powietrze jest tak pełne pyłu, że grzęźnie mi w gardle. Oddycham z trudem, krztuszę się desperacko.

*Wdech nosem, wydech ustami.*

Tak mi powtarzała mama, kiedy wszystkiego było dla mnie za dużo, kiedy numery mnie przytłaczały. Wyjmuję latarkę z ust i ręką przykrywam dół twarzy, usiłując odfiltrować pył z powietrza.

*Wdech nosem, wydech ustami.*

Hałas cichnie. Teraz słyszać tylko moje sapanie i krew tętniącą mi w uszach.

Sara i Mia jakoś tędy przeszły, więc ja też mogę.

Wkładam latarkę z powrotem do ust i idę dalej, brodząc rękami i nogami w lodowatej wodzie.

Promień światła drga i odbija się szaleńczo na skalistych ścianach tuż przy mojej twarzy. Przez to tunel wydaje się jeszcze mniejszy. Latarka oświetla tylko metrowy krąg skały. Wszystko poza granicami tego jasnego koła wydaje się jeszcze czarniejsze, niemal jakby

w ogóle nie istniało – kompletna pustka.

Kolejnych parę minut, a potem krąg światła sięga dużo dalej w prawo i wyławia jakieś dziwne kształty, coś jakby wielkie zęby wyrastające z podłogi. Nadal na czworakach, biorę latarkę do ręki i świecę dokoła. Sufit jest wysoko, kilka metrów nade mną, i tam też są długie zęby, skierowane w dół.

– Chryste!

Przez chwilę umysł płata mi figle. Wydaje mi się, że jestem w ogromnej paszczy, a szczęki się zamykają.

Usiłuję trzymać latarkę nieruchomo, skupić światło na jednym z tych dziwnych kształtów. Widzę, że wcale się nie rusza. To jaskinia, nie paszcza.

Staję na nogi, zadowolony, że wylazłem z wody. Tu mogę oddychać. Głęboko wciągam powietrze. Jeszcze coś się zmieniło, nie tylko przestrzeń: na języku czuję smak dymu.

Mogę znowu biec. Którędy teraz? Na ścianie jest biały znak. Ruszam pędem, chociaż kolana bolą mnie potwornie. To musi być tędy, nie? Muszę być blisko wyjścia.

I jestem. Przez otwarte wejście sączy się światło. Biegnę w tamtą stronę i wpadam z powrotem do prawdziwego świata.

Przede mną, na ziemi leży metalowa brama, jakby ktoś ją wypchnął od środka i przeszedł po niej.

Trudno ocenić, gdzie dotarłem. Jest mgliście – taka zimna i lepka mgła. Przy wyjściu z tunelu wszędzie



dokoła rosną jeżyny, a dalej rozciąga się pole na zboczu. Za nim ledwo dostrzegam jakieś kształty, budynki, miasto. W dół prowadzą trzy ciągi śladów stóp: dwa w linii prostej, jeden z małych stopek kluczących w różne strony. Sara i Mia były tutaj.

A Saul jest za nimi.

Ruszam biegiem w dół zbocza.

# SARA

Mia! Mia!

Mój głos próbuje przebić się przez mgłę, a ona go spłascza, wygasza, pochłania.

Żadnej odpowiedzi. Czy mała mnie nie słyszy? A może wymyśliła sobie jakąś grę?

Popycham bramę. Potykając się, wpadam do środka i ruszam żwirową ścieżką, którą musiała pójść Mia. Przez kilka metrów po bokach mam trawnik i drzewa. Potem między pniami pojawiają się inne kształty, szare i czarne prostokąty – nagrobki. Nagle z mgły wyłania się jakieś stworzenie, wielki ptak czy coś. Przez chwilę nie mogę dojść, co to jest, ale kiedy się zbliżam, widzę, że to nie zwierzę i nic żywego. To skrzydlata postać, anioł stojący na grobie.

Muszę znaleźć Mię i wydostać się stąd.

Żwir chrzęści mi pod stopami, zbaczam ze ścieżki i idę między groby.

Myślę o śmierdzącym obozie, przez który przeszliśmy, o brudzie. Większość ludzi tam mieszkających skończy tutaj. Ilu już tu pochowano? Czy w tej ziemi skrywa się choroba? Wisi w mgłę, którą teraz wdycham?

– Mia! – wrzeszczę i okręcę się.

Wszędzie wokół jest tak samo. Szaro i czarno. Drzewa i kamienie.

Ścieżka prowadzi pod górę. Dyszę. Mgła wdziera mi się do gardła i płuc. Wydaje się, jakby nie było w niej dość tlenu. Nie dam rady dłużej. Jestem za gruba, za powolna, zbyt zmęczona.

Nagle przed sobą dostrzegam ruch. Coś się schowało za nagrobkiem.

– Mia, widzę cię! – krzyczę. – Zostań tam! Nie ruszaj się! Już do ciebie idę!

Z trudem brnę pod górę, ale kiedy docieram do tego nagrobka, nie ma jej. Ale coś przemyka obok, szybko i cicho. Jakiś ciemny kształt. To wielki szczur.

– Mia! Mia, proszę! Boję się! Gdzie jesteś?! – wołam.

Dalej, w dole, skąd przyszłam, coś się porusza we mgle. Czyżby mała tam była cały czas? Nie zauważyłam jej i przeszłam obok?

– Mia?

Kształt znika. Przykurczony, chowa się za drzewo. Potem dociera do mnie cichy głosik:

– Tu jestem, mamo.

Brzmi piskliwie, dziecięco.

Mój ogłupiały od hormonów mózg rejestruje dziecko, które potrzebuje mamy. To może być Mia. Chcę, żeby to była Mia.

– Mia?! – wołam głośniejsz.

– Ma-maa. – Śpiewne tony; dziecko wołające mamę.

– Tu jestem! Idę do ciebie!

Jestem blisko miejsca, gdzie widziałam ruch. To było coś większego niż szczur. Rozglądam się na boki.

– Gdzie jesteś?! – krzyczę.

Tym razem nie ma odpowiedzi, ale z przodu, po lewej coś chowa się za nagrobkiem. Idę tam, ostrożnie stawiając stopy, siłą woli starając się sprawić, żeby nie robiły hałasu. Dochodzę do grobu. Ktoś tam jest, wystają dwie nogi, większe niż dziecka, w ciężkich skórzanych butach. Jeszcze jeden krok i widzę. Ktoś siedzi na ziemi, plecami do nagrobka, z podciągniętymi kolanami.

To nie dziecko.

To mężczyzna.

Odwraca głowę i patrzy na mnie. Jego oczy wydają się bardziej lśniące, bardziej przeszywające niż kiedykolwiek. Porusza wargami i słyszę:

– Ma-maa!

Krew ścina mi się w żyłach. On uśmiecha się, drwi ze mnie. Teraz załapuję, co siedzi w jego oczach. Może to moc, może jakaś magia, ale też coś innego. Jest tam szaleństwo.

– Saul – dukam, przerażona.

On prostuje się, wyciąga nogi.

– Sara – mówi. – Sama?

Jeśli chodzi mu o Mię, nie pozwolę, żeby ją dostał.

– Tak – odpowiadam mu. – Tylko ja.

– A gdzie jest twoja urocza córeczka?

*Gdzie ona jest? Nie ruszaj się, Mia. Nie wychodź z ukrycia, gdziekolwiek jesteś.*

– W bezpiecznym miejscu – prychem.

On znowu wykrzywia twarz w złowrogim uśmiechu.

– Gdzieś, gdzie jej nie znajdę?

– Właśnie.

Saul kręci z politowaniem głową.

– Zapomniałaś? – pyta.

– O czym?

– Ona ma czipa, Saro. – Porusza ręką i świeci mi w oczy latarką, rechocząc. – Mogę wysłać kilka dronów albo sam mogę jej poszukać, jeśli tylko będę chciał.

– Ja nie mam czipa. Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Nie byłem daleko z tyłu, Saro, i miałem do pomocy twój piękny obrazek. – Sięga do kieszeni i wyciąga jakiś zwitek. – Bardzo ładnie z twojej strony, że narysowałaś mi taką dobrą wskazówkę. – Rozkłada papier.

To kartka z wiadomością ode mnie do Adama.

W myślach przeklinam Adriana i siebie też. Głupia byłam, że zaufałam komukolwiek.

– O co tu chodzi, Saul? – pytam ostro.

– Mamy biznes, ty i ja.

Teraz bawi się latarką, pozwala, żeby światło oświetlało napisy na sąsiednich nagrobkach.

*Eliza Sansom, 1893-1911. Zabrana przez anioły.*

*Bernard McAlister, odszedł z tego świata 19 lutego 1932. Niech spoczywa w pokoju.*

*Emily Barker, ur. 1854, zm. 1943. Ukochana żona Ruperta, matka Violet i Isabel.*

– Ja z tobą nie mam żadnego biznesu, Saul!

Nagle ból rozprzestrzenia się z mojego krzyża na

brzuch. Nadchodzi kolejny skurcz. Nie chcę, żeby Saul mnie taką widział. Zbolałą. Bezbronną.

– Idę stąd – mówię. – Odczep się ode mnie.

Ale udaje mi się przejść tylko kilka kroków, zanim ból ogarnia mnie całą.

Saul zrywa się na nogi. W sekundę jest obok mnie, obejmuje mnie ramieniem. Wzdrygam się cała i dostaję gęziej skórki.

– To już, prawda? – pyta szeptem.

*Oddychaj. Oddychaj. Nie przestawaj oddychać.*

Nie mogę mówić. Ani się ruszać.

Jego twarz jest blisko mojej. Czuję kwaśny oddech, widzę igielki zarostu na szczęce. On oblizuje wargi, ale w kąciku ust zostaje kropla śliny.

Obrazy, które widzę, odpowiadają tym, które mam w głowie. To był Saul... Oczywiście, że to był Saul.

On oddycha niemal równie szybko, jak ja.

– Zostaw mnie w spokoju. Odwal się – mówię, gdy ból ustępuje..– Sama to zrobię.

– Jak długo? Jak długo to potrwa?

Oddech mam znowu pod kontrolą, ale on nie. Dyszy jak pies. Kropelka śliny w kąciku jego ust nabrzmiwa i pęka, spływa mu po podbródku. Nie ociera jej.

– Pięć minut? Dziesięć? – Nie daje mi spokoju.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Może godzinę.

– Godzinę. Godzinę – powtarza. Jego wzrok skacze na boki. – Nie wiem, czy mogę tak długo czekać.

Niewielkie mięśnie w jego twarzy żyją, jakby

podrygują. To rozdygotanie z wolna obejmuje całe jego ciało.

O co mu chodzi?

– Sara – mówi po chwili Saul – godzina to bardzo długo. Ale jestem przy tobie. Pomogę ci.

Znalazłam się w pułapce. Rodzę, więc nie mogę nigdzie uciec, nie mogę z nim walczyć. Nie chcę, żeby był przy mnie, ale niczego nie mogę zrobić. Tak się czułam w domu, przez długie lata – bezradna. Moją siłę odebrał mężczyzna. Ogarnia mnie złość. Nigdy więcej nie chciałam się tak czuć. Dlatego odeszłam z domu. Zostawiłam wszystko – dom, szkołę, braci.

– Saul, nie chcę twojej pieprzonej pomocy! – krzyczę.  
– Nie chcę jej ani ciebie tutaj. Wynoś się stąd!

On uśmiecha się z szaleństwem w oczach.

– Zostaję, Saro. A jeśli tego dziecka tu za godzinę nie będzie, wytnę je z ciebie.

– Co?!

Sięga do pasa i wyciąga nóż. Rękojeść jest z kości albo rogu, ostrze długie, może dwadzieścia centymetrów, lekko zakrzywione. To nóż myśliwski.

*Proszę, proszę, nie... Już to robiłem.*

– Już to robiłem – mówi Saul, przesuwając palcem wskazującym po boku ostrza. – Ale lubię cię, Saro. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Wierzysz mi, prawda?

Nie wiem, co powiedzieć. Facet ma szaleństwo wypisane na twarzy. Myślałam, że chodzi mu o Mię, ale cały czas chodziło mu o mnie, czy raczej o nowe dziecko.

Adam to wiedział. Dlatego rzucił się na Saula, kiedy ten dotknął mojego brzucha.

Boże, Adam, gdzie jesteś?!

Ziemia ustępuje mi spod nóg. Nic nie jest pewne. Nic nie jest prawdziwe. Nic nie jest bezpieczne.

Zaczyna się kolejny skurcz. Jęczę, a Saul chowa nóż i znowu mnie ściska.

– Puszczaj mnie! Puść! – wrzeszczę.

On się cofa.

– Idzie? Już wychodzi? – pyta z przejęciem.

Nie mogę mu odpowiedzieć. Znowu ogarną! mnie ból. Przytrzymuję się najbliższego nagrobka i skupiam tylko na oddychaniu.

Saul chodzi tam i z powrotem, jak tygrys w klatce. Chciałabym, żeby był w klatce. Boję się go, naprawdę strasznie się boję.

– Nowe życie, Saro. Nowe życie...

To wszystko, co mówi, raz za razem. Nowe życie.

Co to ma z nim wspólnego?

W pewnym momencie Saul się zatrzymuje.

– Nie mam czasu.

Sięga, żeby ściągnąć szalik z szyi.

– Saul...? – Słowa zamierają mi w gardle.

On skacze do przodu i zaczyna owijać mi szalik wokół twarzy. Jego palce są w moich ustach, otwierają je siłą, wciskają materiał do środka. Wykręcam głowę.

– Nie, Saul! Nie!

Pluję i kaszlę, ale on już wepchnął mi szalik do ust, a



teraz zawiązuje końce z tyłu mojej głowy.

– Gryź to – mówi. – Gryź to, jeśli będziesz musiała. Popycha mnie na trawę i znowu wyciąga nóż. Zapieram się nogami, próbuję się odsunąć, szorując plecami po ziemi, ale to beznadziejne. Ten wariat bez trudu mnie łapie i siada mi na nogach.

– Nie ruszaj się – ostrzega mnie. – Będzie mniej bolało, jeśli nie będziesz się ruszać.

Znowu mam dwanaście lat. Widzę pustkę w oczach taty, kiedy mnie trzyma. Są tacy sami: tata i Saul. Nienawidzę ich. Tak bardzo ich nienawidzę. Nie walczyłam z tatą – zbyt się go bałam – ale teraz walczę wściekle. Walczę o swoje życie. Walczę o życie mojego dziecka.

Saul zamierza się na mnie nożem, a ja usiłuję chwycić ostrze. Nie czuję ran. Wściekłość zagłusza ból. On wyrywa ostrze z moich palców i ponownie bierze zamach. Znowu go blokuję. Wtedy Saul odrzuca nóż na ziemię i szarpie za klamrę swojego paska. Złazi na chwilę z moich nóg, łapie moje nadgarstki, wykręca je do tyłu, owija wokół nich pasek i zawiązuje na węzeł. Potem znowu jest na mnie, znowu z nożem w ręce.

Nic już nie mogę zrobić. Moja wściekłość gdzieś się ulotniła. Zostało czyste przerażenie.

– Proszę, proszę, nie... – próbuję go ubłagać.

Moje słowa są tylko stłumionym jękiem, ale mógłby je odczytać w moich oczach, gdyby patrzył. Tylko że on nie patrzy na moją twarz. Podciągnął mi bluzę i zsunął

spodnie od dresu, przykładając nóż do gołej skóry mojego brzucha. Jest gotów.

Przez jedną sekundę wszystko jest nieruchome, niemal spokojne.

Powtarzam sobie, że on tego nie zrobi. To się nie dzieje naprawdę.

Saul gapi się, gdy ogarnia mnie kolejny skurcz. Widzi, jak skóra napina się na moim brzuchu. Na leżąco to boli bardziej. Zaczynam płakać, łzy spływają mi z kątek oczu do uszu. Ból się zmienia, a raczej teraz pojawia się coś jeszcze – potrzeba parcia. Saul nie musi mnie ciąć. Dziecko i tak już wychodzi.

– Złóż ze mnie! – rzeżę przez szalik.

Dociera do niego ta nagła potrzeba w moim jęku. Szarpie więc za knebel, brutalnie ściąga mi go przez podbródek.

– Co jest?

– Idzie! Dziecko się rodzi, teraz. Proszę, rozwiąż mi ręce. Daj mi skończyć.

– Po mojemu jest szybciej. Łatwiej.

– Nie, nie, to za bardzo ryzykowne. Mógłbyś trafić w dziecko. Daj mi to zrobić po mojemu – błagam go. – Rozwiąż mnie.

– Nie zrobię tego. Myślisz, że jestem głupi?

– Na litość boską! A myślisz, że co zrobię?! Ja rodzę, ty dumy skurwysynu!

Saul odruchowo podnosi rękę, żeby mnie uderzyć, ale w tej samej chwili zaczynam szybko dyszeć, stękać i

warczeń z bólu i potrzeby parcia. Więc zatrzymuje się, z ręką znieruchomiłą w połowie drogi, i gapi się, zafascynowany. Złazi z moich nóg, ale się nie odsuwa. Stoi nade mną, patrząc.

Poprzednim razem byłam sama i – Boże – teraz też chciałabym być. Nie, chciałabym, żeby był tu Adam. To nie tak miało wyglądać...

Ale teraz nie mogę o nim myśleć. Nie mogę myśleć o niczym innym.

*Wdech. Wydech. Wdech.* Tylko to mogę teraz robić.

Po chwili słyszeć płacz. Moje dziecko.

Saul trzyma maleństwo. Ręce ma tak umazane krwią, że wygląda, jakby miał czerwone rękawice. Ta krew jest z dziecka czy ze mnie?

– Dziewczynka – mówi sam do siebie. – Zdrowa, silna dziewczynka.

Dziecko ma mocno zamknięte oczka, głośno krzyczy. Chcę je przytulić. Muszę.

Moje ręce usiłują się wydostać z krępującego je paska. Węzeł już się rozluźnił, udaje mi się wyciągnąć jedną dłoń, potem drugą. Leżałam na nich, więc nie ma w nich czucia. Poruszam palcami, czekając, aż odżyją. I zaraz wyciągam ramiona.

– Saul – proszę – daj mi ją potrzymać.

Wtedy on podnosi wzrok, zaskoczony, jakby w ogóle zapomniał, że tu jestem.

– Lepiej nie – odpowiada. – Tak będzie dla ciebie łatwiej. – A potem wstaje i odchodzi.

Nie mogę w to uwierzyć. To się nie może dziać naprawdę! Próbuję się poruszyć, ale to niemożliwe. Ból przyciska mnie do ziemi. Jest dużo krwi, więcej niż wtedy, kiedy rodziłam Mię. Ciągłe mam skurcze.

– Saul, co ty robisz?! Dokąd idziesz?! – krzyczę za nim.

Nie odpowiada.

– Saul, ona mnie potrzebuje! Nie zabieraj jej!

Próbuję stanąć na nogi, ale świat staje się czerwony, a potem robi mi się czarno przed oczami.

Kiedy dochodzę do siebie, leżę twarzą na ziemi. Patrzę do góry, ale Saul jest już daleko.

– Saul! Saul! Wróć! Proszę! – wyję z całych sił.

Udało mi się stanąć na czworakach, czołgam się po trawie i żwirze. A potem zatrzymuje mnie kolejny skurcz. Muszę urodzić łożysko. Zapomniałam o tym. To, co odżywiało dziecko. Czego moje ciało już nie potrzebuje. Też musi wyjść. Nie mogę z tym walczyć. I już wiem, że nie mam najmniejszej szansy ich dogonić.

Saul zabiera moje dziecko, a ja nie mogę go powstrzymać. Opieram czoło na żwirze. Jestem zbyt zmęczona, zbyt przybita, nawet żeby płakać.

## ADAM

W tunelu miałem pewność, którądy szły Sara z Mią. Szedłem po ich śladach, chociaż odcisków ich butów właściwie nie widziałem. Tutaj nagle do mnie dociera, że one mogły pójść dokądkolwiek. Tu mają tysiące miejsc do wyboru – cały świat. Nie wydaje mi się, żeby zostały na otwartej przestrzeni, jednak kiedy docieram do miasta, jeszcze bardziej tracę nadzieję. Zadaję sobie pytanie, co one by zrobiły. Znalazłyby jakąś kryjówkę niedaleko czy uciekały dalej? Poszukałyby cichego kąta czy szły tam, gdzie są ludzie?

Sara jest już dość powolna, a dwuletnia Mia nie należy do najlepszych piechurów, więc chyba obie dosyć szybko straciłyby rozpęd. Mogłyby się ukryć w każdym z tych ocalałych budynków albo schować gdzieś między stosami gruzu.

Na pół idę, na pół biegnę przez zrujnowane ulice. Wciąż widać, że to miejsce musiało być piękne. Kamień jest jasny, prawie jak miód. Lśni czymś w rodzaju własnego światła, nawet we mgle.

Jestem w Bath. W miejscu, gdzie umarł mój tata – spadł z wielkiego kościoła i złamał sobie kark. Miał piętnaście lat, mniej niż ja teraz. Kiedyś o tym czytałem w wycinkach z gazet, które zachowała babcia, wyszukałem informacje w sieci, obejrzałem zdjęcia. Moja obecność tutaj jest jak zły omen – jakbym dotarł na miejsce śmierci.

Nie chcę, żeby jeszcze ktoś tu zginął. Nie chcę, żeby moim dziewczynom coś się stało.

Zaczynam biec szybciej, przeskakuję przez dziury i pęknięcia w drodze. Wszędzie stoją porzucone samochody Sara i Mia mogły się schować w którymś z nich. Mam się zatrzymać i sprawdzać każdy po kolei?

To bez sensu. Jak szukanie igły w stogu siana.

Potrzebuję pomocy. Potrzebuję ludzi, ludzi, którzy mogli je widzieć.

Z mgłą miesza się dym, dym z drewna. Pachnie jak każde ognisko, które rozpalaliśmy, kiedy obozowaliśmy razem, i przynosi mi wspomnienie jedzenia, towarzystwa, siedzenia z Sarą w objęciach, wspólnego patrzenia na płomień, aż nasze powieki zrobią się ciężkie. Ogień oznacza ludzi. Idę za zapachem i docieram na wielki plac obok kościoła. To morze zaimprovizowanych namiotów – miasto uchodźców. Palą się ogniska, ludzie włączają się między namiotami albo po prostu siedzą.

Rozglądam się. Co miały na sobie Sara i Mia? Czy w ogóle mogę je jakoś odróżnić?

Zaczynam się przeciskać na drugą stronę placu. Ziemia jest mokra i brudna. Ci ludzie siedzą w brudzie. Strasznie tu śmierdzi. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Sara chciała się tutaj zatrzymać, chyba że naprawdę nie miała innego wyjścia. Ale może nie miała...

Podchodzę do najbliższego ogniska. Siedzi przy nim kobieta, gotuje wodę. Ręce ma szare od brudu, włosy splątane i sztywne.

– Przepraszam – mówię. – Widziała pani może kobietę z małą dziewczynką, taką dwuletnią?

Ona patrzy na mnie i mruży oczy, jakby starała się skojarzyć, czy mnie zna. Potem kręci głową.

Idę dalej, gapiąc się na twarze, zatrzymując się tu i tam, żeby zapytać o Sarę. Ludzie mnie obserwują. Słyszę szum rozmów i wyłapuję swoje imię. Rozpoznają mnie. Tak długo przeklinałem swoją tak zwaną sławę, dzisiaj mogę ją wykorzystać. Mam publiczność. Byleby tylko chciała słuchać...

Staję ha środku pola namiotów, biorę głęboki oddech i krzyczę:

– Jestem Adam!

Parę osób woła: „Cześć, Adam!” i jest trochę braw.

To mnie zaskakuje. Tego się nie spodziewałem. Nie wiem, co mam robić, jak zareagować. Więc tylko stoję i słucham, czekam, aż hałas ucichnie.

– Potrzebuję waszej pomocy – ciągnę. – Szukam dwóch osób. Dziewczyny, niewiele niższej ode mnie. Jest w ciąży. – Wyciągam ręce do przodu, żeby pokazać duży brzuch. – Prawie jakby zaraz miała rodzić. I małej dziewczynki. Ma tylko dwa lata, kręcone jasne włosy, jak mały aniołek. Czy są tutaj? Widzieliście je? Czy ktokolwiek je widział?

Jest sporo kręcenia głowami, ale potem rozlega się kobiecy głos:

– Były tu dwie takie. Zatrzymały się na chwilę, ale zaraz poszły.

Odwracam się, żeby zobaczyć, kto mówi, ale w tej chwili otwierają się wielkie drzwi do kościoła i wychodzi z nich mężczyzna. Niesie dwa wiadra, delikatnie parujące w zimnym powietrzu. Na placu rozlega się ryk, ludzie zrywają się i biegną w tamtą stronę. Mężczyzna stawia wiadra kilka metrów od wejścia. Momentalnie otacza go tłum, a on zaczyna nalewać łyżką coś gorącego do talerzy i misek, i innych naczyń, jakie mu podsuwają.

– Zaczekajcie! Zaczekajcie chwilę! Kto ją widział?! Kto to był?! – krzyczę.

Ktokolwiek to był, zniknął w tym wyścigu po jedzenie. Napierająca fala ludzi unosi mnie ze sobą. Facet z wiadrami... może on będzie coś wiedział. Ale nie mogę się precyzyjnie do niego na tyle, żeby spytać. Kiedy tak usiłuję się do niego przepchać, moja stopa ląduje na czymś miękkim. Patrzę w dół. To kocyk. Kocyk w jasnokolorowe paski, chociaż teraz są mokre, więc pociemniały.

To kocyk Mii.

Była tu.

Jestem niedaleko narożnika placu, skąd odchodzi ulica. Sara z Mią albo tamtędy przyszły, albo odeszły, więc ruszam w tamtą stronę, rozpychając się w tłumie. I zaraz jestem u wylotu bocznej ulicy. To prosta brukowana droga, z opactwem z jednej strony i długim, wysokim murem z drugiej. Koniec ulicy ginie we mgle, więc nie widzę, co jest dalej.

Ruszam biegiem.



Po prawej gałąź zwisa nad murem, jak nabrzmiałe, kościste palce. Drzewa. Drzewa w środku miasta.

W murze jest brama, taka stara, kuta. Patrzą przez nią, przebiegając obok. Prowadzi od niej ścieżka, z drzewami i krzakami po obu stronach. Przebiegam jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści metrów, zanim się gwałtownie zatrzymuję.

Miejsce za bramą. Już je widziałem, przynajmniej tak mi się wydaje. Jeśli się nie mylę, powinny tam być też kamienie. Nagrobki.

## SARA

Nie jestem sama. Słyszę czyjeś szybkie kroki. Dociera do mnie chrzęst żwiru, czuję drżenie ziemi. Ale czuję się zbyt zmęczona, żeby otworzyć oczy. Nie mam siły, żeby podnieść głowę i zobaczyć, kto to.

– Co jej zrobiłaś, więdźmo?! – słyszę wściekły krzyk. To Saul. Wrócił. Zmuszam się do uniesienia powiek. Widzę tuż obok swojej głowy jego ciężkie czarne buty. Powoli przekręcam się i patrzę w górę. On trzyma moją córeczkę – niczym jej nie otulił!

– Jesteś czarownicą! Przeklełaś ją! Nic mi po niej! Dobrze o tym wiesz! Cały czas wiedziałaś! – wrzeszczy na mnie.

Nie wiem, o czym on mówi.

– Daj mi ją. Proszę. Daj mi moje dziecko – błagam.

Saul wyciąga rękę z maleństwem i przez chwilę wydaje mi się, że zaraz mi je poda, ale on je po prostu puszcza, jak szmacianą lalkę.

– Nie! – wyję z przerażenia.

Zapominam o bólu. Znajduję w sobie resztkę energii i moje ręce unoszą się do dziecka. Dziewczynka niemal się prześlizguje przez mokre, krwawiące dłonie, ale jakoś udaje mi się ją złapać i przycisnąć bezpiecznie do siebie. Jest bardzo wychłodzona, wręcz lodowata.

– Masz coś, żeby ją zawinąć? Możesz mi dać kurtkę?  
– proszę Saula.

– Nie, nie mogę! – parska. – Już i tak jest przez ciebie cała brudna. Nie wystarczy?

– Dziecko jest zmarznięte. Muszę je ogrzać!

– To daj jej własne ubranie!

Ostrożnie kładę córeczkę obok siebie na ziemi i ściągam kurtkę. Zawijam ją, upewniam się, że jej rączki i nóżki są dobrze schowane. Widać tylko twarzyczkę. Dziewczynka ma zamknięte oczka, już nie płacze. Jak ona może spać tak spokojnie – gdy Saul hałasuje, biega to tu, to tam i nią rzuca?

– Cześć – mówię do niej szeptem.

Chcę, żeby uniosła powieki. Chcę, żeby mnie zobaczyła, i chcę spojrzeć w jej oczy. Jest zimna, taka nieruchoma, z mocno zaciśniętymi ślepkami. Czy już jest dla niej za późno? Czy to był jej pierwszy i zarazem ostatni dzień?

– Czy ona umiera, Saul? Czy moja córeczka umarła?  
– pytam ze strachem.

Patrzę na niego. W jego oczach jest czysty jad.

– Nie wiem. I mam to gdzieś. Dla mnie jest bezużyteczna – odpowiada. – Zrobiłaś tak specjalnie, żeby do niczego nie mogła mi się przydać.

– Nic nie zrobiłam. Nie rozumiem, o czym mówisz...

Saul kuca obok nas.

– Popatrz na swojego bachora, Saro. Popatrz na tę swoją bezcenną córeczkę. Na nic mi się nie przyda, bo ona nie ma oczu! – wrzeszczy.

Mam wrażenie, jakby jakaś część mnie umarła.

On się myli! Musi.

Patrzę na maleństwo jeszcze raz. Ma powieki. Ma rzęsy. Kładę kciuk nad oczodołem i delikatnie podciągam skórę. Między powiekami nie ma przerwy. Rzęsy oznaczają linię, gdzie powinna być szpara, ale jest zrośnięta. Przesuwam kciuk niżej. Miejsce pod powieką jest płaskie, a nie wypukłe. Nie ma gałki ocznej...

Saul ma rację. Moja córeczka nie ma oczu...

Ale jej buzia wygląda tak doskonale – jest okrągła jak jabłuszko.

Kiedy tak trzymam moją małą dziewczynkę, na jej policzkach zaczyna się pojawiać odrobina koloru. Dziecko się rozgrzewa. Może nic mu nie będzie.

– Saul, ja niczego nie zrobiłam – zwracam się do niego. – Nie wiem, co się stało.

– Nie wierzę ci. Ale to już nieważne. Ona na nic mi się nie przyda – powtarza wściekle.

– A czego od niej chciałeś? Dlaczego to wszystko zrobiłeś? – Może wreszcie się tego dowiem.

On marszczy czoło i patrzy na mnie jak na idiotkę.

– Jej numer, Saro. Jej życie. Nie ma nic lepszego niż numer noworodka. Wtedy człowiek czuje... że żyje, naprawdę żyje. A z Adamem jako ojcem i tobą jako matką dałaby mi dar widzenia numerów i kto wie, co jeszcze.

– Chciałeś ukraść jej numer?! Ty potrafisz kraść numery... – Dopiero to do mnie dociera.

– „Kraść” to nieładne słowo. Wolę mówić „zamiana”.

On zamienia numery. Jak Mia. Czy on jest jak Mia?

Czy Mia jest jak on? Są tacy sami? Nie mogą być! Moja córeczka nie może być taka sama, jak ten potwór. Ale czy na pewno?

– Myślałam, że chcesz Mię – mówię tępo.

– Chciałem, kiedy jeszcze sądziłem, że ona jest z krwi Adama. Ale to było tylko twoje kolejne kłamstwo, kolejne oszustwo. A mnie się kończy czas. To dzisiaj, Saro, więc będę się musiał zadowolić... tobą.

– Dlaczego dzisiaj? Dlaczego teraz? – Znowu nic nie rozumiem.

– Nadchodzi mój numer. Zużyłem kolejne życie. Potrzebuję nowego. Więc nie ruszaj się – nakazuje mi.

Wpatruje się we mnie, w kąciку jego ust znowu jest kropelka śliny. Jest podniecony, jak wtedy, gdy rodziło się dziecko. A ja jestem kompletnie bezbronna. Nie mam się gdzie ukryć.

On chwyta moją głowę. Jego ręce są czerwone i lepkie od mojej krwi. Rozsuwa palce tak, że unieruchamia mi głowę. Przysuwa swoją twarz bliżej. Bliżej. Bliżej. Widzę każdy szczegół, każdy pryszcz i każde znamię, każdą małą bliznę, każdy por na jego skórze. Nie chcę go tak blisko. Nie chcę, żeby mnie dotykał. Zamykam oczy.

– Nie, nie, Saro – protestuje Saul, a jego głos jest tylko szeptem. – Nie, nie, musisz otworzyć oczy.

Zaciskam mocniej powieki.

– Otwórz oczy. Otwórz! – drze się.

Jestem cała obolała, bezbronna, ale jeszcze nie pokonana. Nadal coś pozostało z dawnej mnie – Sary,

która uciekła z domu i stworzyła sobie nowe życie, Sary, której udało się utrzymać przy życiu trójkę dzieci przez dwie ciężkie zimy.

– Nie – mówię twardo, trzymając powieki zamknięte.  
– Odpieprz się, Saul. Odpieprz się i zostaw mnie wreszcie w spokoju!

On warczy jak zwierzę, a potem przesuwa ręce po mojej twarzy i przyciska kciuki do skóry nad moimi powiekami, otwierając je siłą. Jest tylko o kilka centymetrów ode mnie.

– Spójrz na mnie, Saro. Spójrz na mnie! – powtarza gorączkowo.

Jego oczy wpijają się w moje. Źrenice ma rozszerzone, aż przysłaniają tęczę. Jego gałki oczne są już tylko czarno-białe. Chociaż bardzo chcę nie patrzeć, nie mogę. Patrzę mu w oczy i to jest tak, jakbym spadała'. Ziemia pode mną zniknęła, drzewa nade mną też. A może to ja... To mnie już nie ma – jestem gdzieś indziej, gdzieś, gdzie nie ma czasu, jest ciemno, pusto, samotnie, beznadziejnie i zimno, tak bardzo zimno...

Błysk światła i ból, ostry, jakby rozpalony drut rozcinał mi głowę.

Krzyczę, a może tylko tak mi się wydaje. Moje ciało przeszywa wstrząs, głowa leci do tyłu i uderza w ziemię.

Saul się odsuwa.

– Może być – stwierdza. – Czterdzieści sześć lat. Nie najgorzej. Żegnaj, Saro.

Słyszę szelest liści, chrzęst żwiru, ale nie patrzę.

Resztki energii, które się we mnie jeszcze tliły, zniknęły. Leżę tam, gdzie mnie zostawił, z twarzą w zimnych i wilgotnych liściach. Moja córeczka leży obok mnie. Widzę czubek jej główki, nosek, oczka – zamknięte, jakby spała.

Ale ona nie śpi. Wydaje dźwięki. Nie płacze w tej chwili, tylko ostrożnie sprawdza, co potrafią jej płuca i buzia.

– Hej – mówię.

Na dźwięk mojego głosu dziecko cichnie. Odwraca główkę w moją stronę, a potem porusza nią na boki. Szuka mnie. Musi być głodne. Chciałabym mieć siłę, żeby się podnieść, przyciągnąć je do siebie. Ale nie mam. Saul zabrał całą moją energię. Maleństwo nie dostanie żadnego mleka.

Wtedy do mnie dociera, że umrę. Umrę. Myślałam, że tak się może stać, jak tylko zobaczyłam nóż Saula, ale teraz wiem to na pewno. Odebrał mi życie. A jeśli ja umrę, dziecko też umrze.

To takie smutne, tak rozpaczliwie smutne, ale w tej chwili niczego nie mogę zrobić. Tylko uspokoić ją w ten jeden, jedyny sposób, na jaki starcza mi sił. Mój oddech jest szybki i płytki, ale wciągam trochę powietrza i zaczynam śpiewać:

– Świeć, świeć, świeć, gwiazdko złota...

Mój głos ledwo słychać, jednak dziewczynka ucichła. Chcę wierzyć, że słucha. Śpiewam i patrzę na nią, jak długo mogę, wchłaniając każdy szczegół, podczas gdy

resztki moich sił ulatują. Zamykam oczy i śpiewam dalej. Mój głos jest cichutki, jest tylko szeptem, echem, aż w końcu całkiem znika. Słowa nadal rozbrzmiewają mi w głowie. Powtarzam je w myślach i znowu robią się głośniejsze. Ale to nie mój głos, to czyjś inny.

– Dzieś nad fiatem wysoko...

Jakie to piękne. Moja córeczka nauczyła się śpiewać. Może jest aniołem. Może przysłano ją, żeby mnie stąd zabrała?

Chcę ją zobaczyć jeszcze raz. Tylko jeden raz.

Zmuszam się do otwarcia oczu. Przed sobą widzę dwie małe buzie. Dwa śliczne aniołki. I tylko jeden z nich śpiewa.

– Mia.

Ona przestaje nucić i mówi:

– Dzidzia. Dzidzia świeć, mama.

Przykucnęła na kupce liści koło dziecka i obejmuje je ramionkiem.

– Tak, Mia. To nasza nowa dzidzia. Twoja nowa siostrzyczka – udaje mi się wyszeptać.

Powieki mi opadają. Zrobiłabym wszystko, byleby teraz nie zasypiać. Cokolwiek. Ale jest za późno.

– Mama zmęczona – mówi Mia.

– Tak – mruczę. – Bardzo zmęczona. Kocham cię, Mia. Kocham ciebie i twoją siostrzyczkę.

Ona pochyła się i kładzie drugą rękę na mojej nodze. Potem podnosi dłoń. Jest cała czerwona od krwi.

– Mama chora – mówi.



Nie chcę jej wystraszyć.

– Tylko zmęczona, skarbie – tłumaczę. – Teraz trochę się zdrzemnę. Kocham cię, córeczko.

– Kocham cię.

Mia znowu się pochyła i mnie całuje.

Moje powieki opadają.

A potem ona robi to samo, co zrobił Saul. Otwiera kciukiem moje prawe oko. Kiedyś robiła tak czasem, kiedy rano spałam, a ona chciała, żeby się z nią pobawić; doprowadzało mnie to do szału. Ale teraz patrzemy sobie w oczy i wiem, że widzę ją po raz ostatni. Słodycz miesza się z goryczą, aż boli. Gorycz, bo to pożegnanie. Słodycz, bo gdybym mogła wybrać kogokolwiek, z kim chciałabym spędzić ostatnie chwile, byłaby to Mia.

– Mama chora – powtarza mała.

Jej oczy są niebieskie jak moje. Adam mówił, że mógłby się zatracić w całym tym błękitcie, a teraz ja zatracam się w Mii. Ostatnie, co widzę, to te głębokie, głębokie studnie. Wysyłają we mnie swoje światło i to też przynosi ból, ale to piękny ból, ból, który blokuje wszystko inne. Niebieski to podobno zimny kolor, ale to jest inny rodzaj błękitu – ciepły, uspokajający, pełny nadziei. Promieniuje przez całe moje ciało, do serca, do płuc, do głowy, aż do palców rąk i nóg. A kiedy patrzę w oczy Mii, jest skąpana w świetle. To złocista poświata wokół niej. Moja złota dziewczynka.

– Kocham cię, mama.

– Kocham cię, Mia.

Teraz rozlega się też inny dźwięk, wysoki i natarczywy. Ale to nie ma znaczenia. Nic nie ma. Dłużej nie wytrzymam.

## ADAM

Cofam się pędem do bramy, kiedy słyszę głos docierający do mnie przez mgłę. To okrzyk triumfu, który dochodzi zza muru.

Wpadam w bramę i zatrzymuję się. Przede mną jest linia ciemnych drzew i żwirowa ścieżka między nimi. A przy ścieżce, między drzewami, są kamienie. Wysokie, płaskie bloki sterczącego kamienia. Tak, to właśnie to miejsce. Wszedłem w rysunek Sary, w jej sen.

Głos jest tu mocniejszy, okrzyki układają się w słowa:

– Taaak! Taaak!

Nie muszę go widzieć, żeby wiedzieć, kto tak wrzeszczy, ale niedługo dostrzegam go między drzewami. Biegnie, podskakuje, a nawet tańczy. Dotąd go takiego nie widziałem, a jest tylko jeden powód, dla którego mógłby być w takim stanie. Zrobił to. Zrobił to, co zaplanował. Ukradł numer mojemu dziecku i teraz ono ma może kilka godzin życia.

Powinienem zostawić Saula w spokoju. Powinienem znaleźć Sarę, znaleźć nasze dziecko, ale kiedy tak patrzę, jak ten świr się cieszy, krew się we mnie gotuje. On jest złem wcielonym. Nie powinno mu to ujść płazem.

I nie ujdzie.

Ruszam szybko w jego stronę.

Saul nie dostrzega mnie, dopóki nie podchodzę

naprawdę blisko.

– Adam! – woła i śmieje się głośno. – Dumny ojciec!

Dopiero później zauważa gniewny grymas na mojej twarzy i zatrzymuje się. Nie ma czasu wyciągnąć rewolweru, bo już jestem przy nim. Walę go pięścią w nos, słyszę trzask łamanych kości. Facet wycofuje się chwiejnie z rękami przy twarzy.

– Adam! – prycha. – Uspokój się, do cholery.

Ale mnie już się nie da uspokoić, bo widziałem jego numer. Jego nowy numer.

2572075.

To spokojna śmierć, ciepła śmierć, pełna miłości i światła.

Należała do Sary!

– Ty skurwysynu! – wydzieram się.

Znowu się na niego rzucam, ale tym razem jest gotowy. Uskakuje i rusza biegiem przed siebie. Ucieka. Gnam za nim. Tym razem mi nie zwieje. Wściekłość dodaje mi szybkości, nawet nie wiedziałem, że mogę tak pędzić. Czubkami palców już dotykam kurtki Saula. Próbuję go złapać, ale wymyka mi się, skacząc w górę. Jedną nogą opada na płytę grobowca, a potem przeskakuje na drugi koniec grobu i owija ramię wokół talii kamiennego anioła. Sięga do paska, szukając broni. Z rewolwerem nie mam żadnych szans. Mogę tylko próbować złapać Saula, zanim wystrzeli. Więc rzucam się do przodu i szarpnię go obiema rękami za kostki. On jedną ręką nadal trzyma się rzeźby, a drugą wyciąga broń.

Szarpię mocniej i jego nogi tracą oparcie. Saul wciąż przytrzymuje się anioła, ale posąg powoli zaczyna się przewracać pod jego ciężarem.

Krzywię się, gdy słyszę wystrzał. Niczego nie czuję. Czy mnie trafił?

Rzucam się na bok, bo Saul i rzeźba walą się prosto na mnie. Turlam się po miękkiej trawie i twardym kamieniu. Potem unoszę głowę i się rozglądam. Siwy leży w nienaturalnej pozycji, na boku. Kamienny anioł upadł na niego, przygwoździł go do ziemi, obok grobowca. Jedna z nóg Saula sterczy pod dziwnym kątem. Druga krwawi z małej ciemnej ranki nad kolaniem – tam trafiła kula. Broń poleciała parę metrów dalej.

– Adam! – wrzeszczy wściekle ten świr. – Ściągnij to ze mnie!

Siadam ostrożnie na ziemi. Sprawdzam ręce i nogi. Nic mi nie jest.

On stara się przekręcić, ale nie może się za bardzo ruszać. Więc zapiera się plecami o ziemię, chwytając anioła i usiłuje podnieść. Figura ani drgnie.

Wstaję i robię krok w jego stronę. Przez moment Saul myśli, że mu pomogę. Ale pochylam się i podnoszę jego rewolwer. Trzymam go w obu rękach, przyglądając mu się, sprawdzając jego ciężar.

– Nie zrobisz tego. Wiesz, że nie – mówi Siwy.

Wyciągam prawą rękę tak, żeby powstała linia prosta między moim okiem, lufą a czołem Saula. Jego wzrok skupia się na mnie. Znowu widzę numer Sary, który jej

zabrał. Mój palec zaciska się na cynglu.

Wtedy kątem oka dostrzegam ruch. Jakiś cień przemyka po ziemi i za grobem. Odwracam głowę i widzę znikający robakowaty ogon.

Saul też go zauważył.

– Odłóż spluwę i wyciągnij mnie stąd! – krzyczy. – Tam jest szczur! Blisko mnie. Jest na mnie, Adam. Wyciągnij mnie stąd!

Macha rękami w stronę ciemnej przestrzeni z boku nagrobka, w której uwięziona jego postrzelona noga. A ja po raz pierwszy zwracam uwagę na jego dłonie – są całe czerwone, jakby nosił szkarłatne rękawiczki.

– Czyja to krew? – pytam ostro.

– Co? – Saul wciąż wymachuje rękami niespokojnie. – Wynoś się! – wrzeszczy na szczura. – Co?

– Czyją krew masz na rękach?!

Facet na chwilę nieruchomieje. Tępo spogląda na swoje dłonie.

– Moją, ty skurwysynu! Złamałeś mi nos!

To prawda, z nosa leci mu krew. Ciemna strużka kapie na usta, trochę też rozmazał po twarzy, gdy próbował się wytrzeć. Tyle że to nie wyjaśnia zakrwawionych rąk.

Tymczasem kolejny szczur biegnie po skrzydle anioła i balansuje na końcu, węsząc w mglistym powietrzu, zanim zaczyna złazić w stronę Saula.

Jeśli szczury ciągną do krwi, to Sara potrzebuje mnie bardziej niż kiedykolwiek – uświadamiam sobie.

Mógłbym teraz zastrzelić Saula. Mógłbym rozwalić mu łeb kopniakiem. Ale myślę, że jest coś gorszego.

– Zgnij w piekle, Saul – rzucam.

A potem odwracam się i ruszam biegiem.

Mija kilka sekund, zanim do Siwego dociera, co się dzieje. Zaczyna prosić, bełkocząc z desperacją:

– Adam, Adam, proszę, wróć! Nie zostawiaj mnie tu z nimi. Tylko przesun ten posąg. Dam ci spokój. Zwrócę Sarze jej numer. Adam. Adam!

Jego krzyki zmieniają się w ryk, gdy pędzę pośród grobów. Małe cienie czmychają na prawo i lewo spod moich stóp, a ja dalej uparcie biegnę przed siebie.

Nagle zauważam coś na ścieżce, jakiś kształt. Tu też są szczury, całe mnóstwo. Przez nie nie widzę dobrze, bo wiercą się, przepychają, biegają chaotycznie. Ale tam leży coś jeszcze. Jasny błysk, ruch z boku na bok. Przyglądam się uważniej. To nie jeden kształt, tylko dwa. Obok większego leży malutki, taki węzełek. Węzełek wydaje dźwięki. Boże, to dziecko!

Dobiegam do nich po paru sekundach. Szczury piszczą, gdy po nich depczę. Wciskam rewolwer Saula za pasek, sięgam i biorę dziecko na rękę. Ono płacze, ma mocno zaciśnięte powieki. Niczego na świecie w tej chwili nie chcę bardziej, niż patrzeć na swoje dziecko, gapić się na nie bez końca, nacieszyć się, tymczasem moją uwagę przyciąga druga postać leżąca na ziemi.

To Sara.

Jej skóra jest równie blada, jak marmur dokoła niej.

Oczy ma zamknięte. Szczury kłębią się na jej nogach. Odgarniam gryzonię stopami. Wracają znowu, ale kopię je i depczę, aż w końcu ich ubywa. Przykucam.

– Sara – szepczę.

Wiem, że teraz ona ma numer Saula. 1622029. Czy przyszedłem za późno, nawet żeby się pożegnać?

Przesuwam wzrokiem po jej ciele. Jej nogi oblepia krew. Przytulam mocno dziecko i biorę Sarę za rękę. Jest mokra. Odwracam ją i krzywię się na widok długich czerwonych linii na dłoni, głęboko pociętej skóry. Ktoś ją pokroił nożem.

– On to zrobił – mówię do siebie. – On ci to zrobił!

Ryki Saula wciąż rozlegają się wokół, a ja myślę, że cokolwiek się z nim teraz dzieje, to i tak za mało.

Ręka Sary jest zimna, ale nie lodowata, więc budzi się we mnie odrobina, odrobinka nadziei. Pochylam się niżej i przesuwam dłoń tuż nad jej otwarte usta. Czuję oddech.

– Sara? Sara? To ja, Adam. Słyszysz mnie?

Ona otwiera oczy. Żyje. Ale ja nie mogę spojrzeć w jej oczy. Nie chcę tego widzieć. Dzisiejszej daty.

Jednak zmuszam się i patrzę. Mój żołądek wykonuje salto i teraz nie mogę oderwać wzroku od jej twarzy.  
2022054:

Ona nie ma numeru Saula.

Ma numer Mii.



## SARA

Otwieram oczy i on tu jest. To Adam, ale Adam, jakiego nigdy przedtem nie widziałam. Otacza go czerwone światło z odrobiną złota. Zaciskam powieki i znowu je otwieram. Tak samo. Nic nie kapuję...

On klęczy obok mnie, trzymając dziecko. Mia była w lśniącą, biało-srebrną otoczkę, tak jasną, że jej czystość niemal razi mnie w oczy.

Adam gapi się na mnie, jakby mnie nigdy przedtem nie widział.

– Sara... – mówi. – Żyjesz. Dzięki Bogu.

Ale ściąga brwi, spoglądając na mnie badawczo.

– O co chodzi? Coś jest nie tak? – szepczę z trudem.

– Nic. Potem ci powiem.

On ciągle patrzy mi w oczy, jakby czegoś nie rozumiał. Czy on też widzi te kolory? Czy ktoś wcisnął jakiś przełącznik i zalał cały świat światłem?

– Jaki mam kolor? – pytam.

– Co?

– Widzę teraz twoje kolory. Twoja aura jest czerwona ze złotym, jak zawsze mówiła twoja babcia. Jak na rysunku Mii. Jaki ja mam kolor?

– Nie wiem. Ja ich nie widzę – odpowiada.

To ja. Coś się zmieniło we mnie, w moim mózgu, w moich oczach. I wtedy dociera do mnie. Saul popatrzył mi w oczy, zabrał mój numer i dał mi swój. 1622029 –

mignął mi w myślach, kiedy on wydarł ze mnie życie. A Mia spojrzała znowu i zabrała jego numer. Czyli to musi znaczyć... że ja mam jej. I wszystko, co się z nim łączy. Patrzę na świat jej oczami, oczami Val.

– Mam ich numer, prawda, Adam? Val i Mii? Ty to widzisz, prawda? Prawda?!

On zaciska wargi. Nienawidzi o tym mówić, zawsze tak było.

– W porządku. Nie musisz tego mówić. Ja to wiem. 2022054 – szepczę.

Przez chwilę wydaje mi się, że Adam się rozplącze. Ale zaraz zwracam uwagę na coś innego. Coś łązi po mojej nodze, coś drapiącego, łaskoczącego. Co to jest? Wzdrygam się odruchowo. Adam odwraca się gwałtownie i uderza w to.

– Co to? – pytam.

– Nie przejmuj się – mówi. – Już go nie ma.

– Czego?

On nie odpowiada.

Niedaleko ktoś ciągle krzyczy, wypełnia powietrze wrzaskami i jękami.

Próbuję podeprzeć się na łokciach.

– Możesz usiąść? – pyta mnie Adam.

– Nie wiem.

Pomaga mi, a ja przesuwam się trochę do tyłu i opieram o nagrobek.

Dziecko płacze w jego ramionach.

– Daj mi ją – proszę.

Adam podaje mi ją delikatnie. Dziewczynka porusza główką na boki, z szeroko otwartą buzią. Zaczynam podciągać bluzę, żeby ją nakarmić.

– Jest głodna. Nasza córeczka jest głodna.

Patrzę na Adama, spodziewając się jakiejś odpowiedzi, uśmiechu, gestu.

– Możesz to robić na stojąco? – pyta niespodziewanie. – Byłoby lepiej, gdybyś mogła stanąć.

Ogląda się przez ramię, patrzy na boki.

– Nie bardzo – mówię. – Co jest? Co się dzieje?

– Nic. Wszystko okay. Nie przejmuj się.

– Adam, co to za hałas?

On zerka na mnie, w oczach ma strach.

Nie pytam więcej.

Staram się usadowić wygodniej. Moja córeczka wie, co robić. Przysysa się i nawet tutaj, na cmentarzu, we mgle, jej ssanie mnie uspokaja. Jesteśmy tylko ja i ona, robimy to, co matki z dziećmi robiły od zawsze. Jej główkę przykrywa moje ubranie, ale nóżki i rączki wystają spod okrycia. Mogłabym patrzeć na jej skórę bez końca, ale nie chcę, żeby zmarzła. Owijam ją szczelniej kurtką.

Mii też jest na pewno zimno bez kocyka. Teraz, kiedy już się usadowiłyśmy, mogłaby się do nas przytulić. Ona gdzieś tu jest. Śpiewała mi, zanim zasnęłam. Zanim oddała mi swój numer.

W tej chwili w pełni do mnie dociera, że mam numer Val. To było tak zdumiewające, że wcześniej nie

zastanowiłam się, jakie są tego konsekwencje. Ale teraz to robię. Jeśli Mia oddała mi swój numer, to jaki numer ma ona? Musi mieć numer Saula!

Zaczynam mocno dygotać.

Podnoszę wzrok. Adam ma w rękach ogromną gałąź. Zamiata nią ziemię wielkimi półkolami. Zwierzęta uciekają we wszystkich kierunkach, gdy dosięgają je drobne gałązki. To szczury.

Ale nigdzie nie ma ani śladu Mii.

Adam odwraca się, żeby spojrzeć na mnie i na maleństwo. Oboje odzywamy się jednocześnie, z naszych ust pada to samo pytanie:

– Gdzie jest Mia?

## ADAM

Zostawiam Sarze gałąź, żeby mogła odganiać szczury, i ruszam biegiem. Mia może być gdziekolwiek, ale coś mnie ciągnie w stronę Saula.

On nadal wrzeszczy – to ten wrzask, który słyszałem za każdym razem, kiedy przed dzisiejszym dniem spoglądałem mu w oczy. Krzyki brzmią tak, jakby facet nadal miał numer 1622029. Ale przecież go zamienił. Teraz ma numer, który nigdy nie powinien do niego należeć. On nie umiera... Prawda?

Zbliżam się, a wrzaski stają się jakby słabsze. Nadal go słyszę, ale jego głos jest cichszy, bardziej jęczący, błagalny. Saul z kimś rozmawia.

Przyśpieszam, klucząc, usiłując znaleźć najkrótszą drogę między grobami. I już go widzę. Ciągłe leży tam, gdzie go zostawiłem. Ale nie jest sam. Mia kuca koło niego. Dotyka jego twarzy. On dotyka jej buzi. Ziemia dokoła nich jest czarna od szczurów.

Wystarczy mi kontakt, o tak, popatrzeć w oczy i sięgnąć do środka.

– Nie! Nie, Mia, odejź! Odejź od niego! – wołam z całych sił.

Mia się odwraca.

– Tata! – cieszy się.

Zostawia Saula i pędzi do mnie, podczas gdy fale szczurów rozbiegają się spod jej stóp. Rzucam się do

małej, ale zanim zdążam ją pochwycić, ona potyka się na kamieniu i upada, ocierając kolano. Zaczyna wyć, ale to i tak nic w porównaniu z wrzaskami Saula. Teraz jego ryk trzęsie niebem, wypełnia mi uszy, blokuje wszystkie inne dźwięki. Moja głowa jest pełna hałasu – czuję się głuchy, odłączony. Widzę wszystko, jakby mnie tu nie było, jakby to się działo komuś innemu. Obserwuję to, jakbym oglądał film na ekranie kina.

Docieram do Mii, a ona patrzy na mnie z ziemi. Buzię ma całą we łzach, policzki umazane krwią i brudem – wygląda jak uosobienie nieszczęścia. Ale jej numer mówi mi co innego. Mówi o szczęśliwych zakończeniach, ciepłe i miłości.

2572075.

Ona ma numer Sary. Musiała go odebrać Siwemu. Czyli on ma...?

– Chodź tu! Wracaj! – wrzeszczy Saul.

Patrzę za Mię, tam gdzie on się wije na ziemi. Wyciąga do nas rękę, ale palcami chwyta pustkę. Przestaje się wiercić i spogląda na mnie.

– Adam!

Już nie krzyczy, ale w głowie nadal słyszę jego wrzaski. Głos odbija się echem, gdy jego numer znowu mnie szokuje, powoduje wstrząs, jakby ktoś mi podłączył do mózgu elektrycznego pastucha. Ma go – to numer, który widziałem w jego oczach, kiedy go poznałem, numer, którego usiłował się pozbyć. On wrócił do Saula.

1622029. Dzisiaj.

– Adam! Adam! Wyciągnij mnie stąd! Te bydlaki zżerają mnie żywcem! Pomóż mi!

– Nie mogę, Saul.

– Jasne, że możesz. Nie mam się o co oprzeć, ale ty tak. Możesz to podnieść na tyle, żebym... – urywa, jego twarz się zmienia. – Chcesz powiedzieć, że nie chcesz tego zrobić, tak? Ale musisz, Adam. Ta mała mnie oszukała. Oddała mi szesnastego. Muszę się stąd wydostać, muszę...

– Chcesz zabrać mój numer albo jej. Ale to się nie stanie, Saul!

– Nie twój. Nie twój, Adam. Nie zrobiłbym ci tego. Tam są setki ludzi. Pomóż mi znaleźć dobry numer, potem zostawię cię w spokoju. Będziesz mógł odejść. Nikt cię nie będzie śledził, żadnego ogona. Przysięgam! Przysięgam, Adam.

Pochyliam się i biorę Mię na rękę. Kciukiem ocieram jej łzy. Mała obejmuje mnie za szyję, a nogami owija w pasie. Chyba nikt jeszcze nie trzymał się mnie tak kurczowo.

– Wszystko w porządku – szepczę do niej uspokajająco. – Chodź, znajdziemy mamę, dobrze?

Po raz ostatni patrzę na Saula. Jeden szczur zbliża się do jego twarzy.

– Adam, wracaj! Nic ci nie zrobię! Nigdy bym ci nic nie zrobił! Możemy sobie pomóc! Nie zostawiaj mnie!

Adam, proszę, nie zostawiaj mnie! Adam, proszę! Proszę! PROSZĘ!

Odwracam się i odchodzę.

– Zabijasz mnie, Adam! Jesteś mordercą!

– Nie, Saul! – krzyczę w biegu. – Właśnie ocalam czyjeś życie!

On wydaje z siebie zwierzęcy ryk. To dźwięk rzeczywistości, która go dogania. Nikt go nie uratuje. Widziałem to. Czułem. A teraz to się sprawdza. Dwieście pięćdziesiąt lat dobiega końca. Świadomość tego szarpie mną przy każdym kroku, ale mnie nie zawróci.

Saul – jego szalone poglądy, jego okrutne, samolubne, niekończące się życie – odchodzi w przeszłość.

Mam jedną córkę w ramionach, drugą, która właśnie przeżywa swoje pierwsze chwile na tym świecie, i dziewczynę, którą pokochałem od pierwszego wejrzenia. Saul nic nie wiedział o miłości albo – jeżeli kiedyś wiedział – to zapomniał. Nie popełnię jego błędu.

Biegnę w stronę przyszłości.



## SARA

Czerwony i złoty, biegnące do mnie między kamieniami. Kolory ognia. Złocisty płomień Mii miesza się z płomieniem Adama. Może on i nie jest jej biologicznym ojcem, ale zlewają się w jedno. Wyglądają, jakby należeli do siebie. I, dzięki Bogu, należą też do mnie.

– Mia! – krzyczę.

Jej blada twarzyczka jest wymazana błotem. Mała trzyma się Adama, jakby od tego zależało jej życie.

– Nic ci nie jest, skarbie? – pytam. – Chodź tutaj.

Mia nie chce go puścić. Nie odzywa się, nie może. Oczy ma szkliste, udrećzone.

Przez co ona musiała przejść? Co widziała?

– Gdzie ją znalazłeś? – zwracam się do Adama.

On kładzie rękę na boku jej główki, przytulając ją mocniej, zakrywając ucho.

– Z Saulem – mówi cicho.

– Co się stało?

– Potem – mówi Adam, kręcąc głową. – Potem porozmawiamy.

– Ale jej numer... Co z jej numerem?

– Wszystko w porządku. Ma dobry.

Ryki we mgle stają się o oktawę wyższe, zmieniając się w przeraźliwy wrzask.

– To on, prawda? – Wskazuję głową kierunek, z

którego dobiegają krzyki.

– Niedługo przestanie – stwierdza Adam.

Na chwilę zamyka oczy. Wiem, co myśli: „Proszę, przestań już. Niech to ucichnie”.

Ale po kilku minutach cisza staje się niemal gorsza niż wrzaski. Ciężko siedzi wśród mgły, czepia się gałęzi nad naszymi głowami, mokrych liści na ziemi.

I wiem bez cienia wątpliwości. Saulowi nie udało się uciec przed przeznaczeniem. Numer wrócił do niego.

Mia mu go oddała.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem jest pisk szczurów. Adam stara się je utrzymać z daleka od nas – tupie, kopie, zamiata gałęzią. Potem słyszymy nad głowami brzęczenie drona. Jesteśmy łatwym celem, w każdym razie Mia i Adam ze swoimi czipowymi judaszami tkwiącymi pod skórą. Jednak to nie żołnierze wyłaniają się z mgły – to zwykli ludzie uzbrojeni w patyki albo sztachety, albo w ogóle bez niczego. Ich aury zlewają się w tęczową mgłę. Są oszalamiające.

Adam wyciąga rewolwer na ich widok, ale szybko chowa go z powrotem.

Zebrał się cały tłum, kobiety i mężczyźni. Facet z przodu nie niesie żadnej broni, a jego bladoniebieskie oczy rozjaśniają się na widok naszej czwórki. Jego aura też jest niebieska. Przynosi mi spokój i pewność, jeszcze zanim on się odezwie.

– Więc je znalazłeś – mówi do Adama.

– Tak – odpowiada Adam. – To są Sara i Mia. A to nasza nowo narodzona córeczka.

Mężczyzna kuca.

– Jestem Simon – zwraca się do mnie. – Jeśli tylko możesz iść, chciałbym was zabrać do opactwa. Mamy tam jedzenie i dach nad głową. Tam wszyscy będziecie bezpieczni.

Podchodzi też jedna z kobiet. Przyniosła bawełniane prześcieradła, ręczniki i czyste ubrania, i uspokajającą zieloną obecność. Mówi mi, że jest położną. Nazywa się Alona. Odsyła innych, razem z Simonem. Bandażuje moje pocięte dłonie, pomaga mi się oczyścić, ociera z dziecka krew i brud i zawija je mocno w prześcieradło, tak że widać tylko buźkę.

Przywołuję ją bliżej.

– Dziecko... – odzywam się cicho – ona nie ma... – Zerkam na Adama, który zajmuje się Mią i rozmawia z Simonem. Ściszam głos. – Ona nie ma oczu. – Alona marszczy czoło. – Widziała pani kiedyś takie dziecko?

Ona kręci głową.

– Nie, ale słyszałam o takich przypadkach. To problem rozwoju płodowego, ale poza tym dziecko może być całkiem zdrowe. – Uspokajająco kładzie mi rękę na ramieniu. – Wszystkie oznaki życiowe ma bardzo dobre. To śliczna dziewczynka.

To prawda. Jej buzia jest jak jabłuszko. Jej srebmo-białe światło niemal zapiera mi dech.

Alona pomaga mi wstać. Chwieję się, ale jestem w

stanie powoli iść. Ja niosę nowo narodzone dziecko, a Adam Mię. Z bliska widzę, że jej światło pokrywają dziwne czarne plamki, jakby ślady spalenizny na tym złocistym płomieniu.

Kiedy zbliżamy się do bramy, Adam przechodzi na moją drugą stronę i obejmuje mnie ramieniem.

– Nie patrz – mówi.

Ale za późno. Już zobaczyłam masę szczurów, strzępy ciała i nagie kości, które zostały z Saula.

Wychodzimy z cmentarza przez bramę, którą weszliśmy, i skręcamy w brukowaną uliczkę. Kiedy tak idziemy, przypominam sobie morze brudu koło opactwa. Wszyscy są dla mnie tacy mili. Nie wiem, jak im powiedzieć, że nie chcę tam obozować. Jednak kiedy skręcamy na plac pod kościołem, nie zauważam brudu i śmieci – widzę ludzi w całej ich bogatej, kolorowej różnorodności. To mnie ogromnie podnosi na duchu. Moje oczy zostały otwarte, na świat – mam wrażenie, że widzę go tak, jak powinien być postrzegany.

Wprowadzają nas do środka kościoła. Kiedy przechodzimy przez wielkie drzwi nabijane metalem, w tłumie na zewnątrz rozlega się aplauz. Brawa narastają i narastają. Żadnych okrzyków czy gwizdów, tylko oklaski setek ludzi.

– Za co to? – pytam.

– To dla nas – odpowiada Adam.

Uśmiecha się – dziś zainteresowanie innych mu nie przeszkadza. Odwraca się na chwilę i macha do

zebranych. Potem wchodzimy do środka. Nie jesteśmy tu jedyni. To prawie jak szpital – pełno tu bardzo młodych, bardzo starych i chorych. Połowy okien brakuje i nie wszystkie ściany są nietknięte, jednak i tak jest pięknie. Dużo się tu dzieje, ale panuje ogólne wrażenie spokoju.

Zabierają nas do mniejszego pomieszczenia w kościele, chyba do kaplicy. Ludzie przychodzą za nami, kręcą się, układają koce i kołdry. Niedługo mamy już urządzone coś w rodzaju gniazda, z dala od całej reszty. Ktoś nam przynosi gorącą herbatę, a potem – jeszcze cudowniej – zostawiają nas w spokoju. We czwórkę zwijamy się pod kołdrą, Mia nadal przytulona do Adama, nowe dziecko w moich ramionach.

– Adam – zaczynam – muszę ci coś powiedzieć.

– A ja mam tobie bardzo dużo do opowiedzenia – mówi on. – Chyba zaraz pęknę. Tylko najpierw muszę coś zrobić. Nie chcę, ale po prostu muszę.

Jest teraz zdenerwowany i niespokojny, zaciska wargi, mruga szybko.

– Co takiego? – pytam.

On nie odpowiada, tylko pochyla się i łaskocze buzię naszej nowej córeczki, delikatnie muskając jej krągły, brzoskwiniowy policzek. Ona porusza główką w odpowiedzi. Czyli nie śpi.

– Co ty robisz? – pytam, ale w głębi ducha wiem.

– Próbuję ją obudzić. Muszę zobaczyć... muszę zobaczyć jej numer. Nie chcę, ale wiem, że muszę.

Po tych słowach Adam zerka na mnie, chce, żebym

go zachęciła. Jego mina zmienia się na widok mojej. Marszczy czoło.

To ja muszę mu powiedzieć.

– Adam, ona wcale nie śpi. Ona po prostu nie może otworzyć oczu.

– Co?!

– Ona nie ma oczu. Dlatego Saul nie zabrał jej numeru. Nie miał jak.

Zmarszczki na czole Adama się pogłębiają. Przymyka powieki. Nie wiem, co on w tej chwili czuje. Gniew? Obrzydzenie? Wpatruje się w buzię naszego dziecka.

– Adam, nie chcę, żebyś ją znienawidził. To przecież nasza córeczka. To nie jest nic złego, to uratowało jej życie.

On nie patrzy na mnie, nadal nie odrywa oczu od naszego dziecka.

– Nie będziesz jej nienawidził?

Adam przesuwając delikatnie kciukiem po miejscu, gdzie powinny być jej oczy. Zmarszczki mu się wygładzają, twarz uspokaja.

– Nigdy nie będę wiedział – mruczy. – Nie poznam jej numeru.

– Jak my wszyscy – mówię.

– Jak wszyscy – powtarza. – Mogę na nią patrzeć i nic się nie zmienia. Nie znam końca. Wiem tylko, że mamy dzisiaj.

– To w porządku? Nie przeszkadza ci?

– Jasne. Jasne – odpowiada. – Nienawidzić ją? Nigdy,

nigdy nie mógłbym jej znienawidzić. Szkoda tylko, że będzie miała ciężko, nie? To nie jest przyjemny świat. Ale przynajmniej nie musi się męczyć z darami, które według Saula powinna mieć.

– Tak, może to błogosławieństwo. I będzie kochana. Niczego więcej jej nie trzeba.

– Chcę ją potrzymać – mówi Adam. – Mia, potrzymamy dzidzie? – pyta małą.

Mia dotąd nie powiedziała ani słowa. Siedzi w jego objęciach, zwinięta w kłębek, cicha. Patrząc na nią, zastanawiam się, co mogłoby sprowadzić ją z powrotem do nas, i dostrzegam, że ciemne plamy na jej złotym świetle są większe. Rozciągnęły się, rosną.

– Mia, chodź mi pomóc. No, chodź – proszę.

Ona robi nadąsaną minkę i zerka na mnie kątem oka. Prostuje się trochę i pozwala Adamowi posadzić się koło mnie. Obejmuję jej ramionka.

– Już wszystko dobrze, Mia – mówię. – Już dobrze. Jesteśmy bezpieczni.

Adam bierze ode mnie maleństwo. Przytula się do niego, wyglądają razem na zadowolonych.

Nie mogę przestać myśleć, że Adam ma rację. Anglia to teraz trudne miejsce do życia. Czy naprawdę jesteśmy bezpieczni? Co nas jeszcze czeka? Szybko odpędzam od siebie te myśli. Całuję kręcone włoski Mii i rozkoszuję się tą chwilą, tym spokojem, tą bliskością. Teraz. Tutaj.

– Adam – mówię później – moglibyśmy ją nazwać

Gemma. Nie całkiem tak samo jak twoja mama, ale podobnie, tak na jej cześć. Ale tylko, jeśli się zgodzisz. Możemy ją też nazwać jakoś inaczej, jeśli...

– Gemma – powtarza Adam. – Gemma. Ślicznie. – Potem patrzy na mnie ze łzami w oczach. – Dziękuję, Saro. Za wszystko. Za Gemmę. Za Mię.

– Nie musisz mi dziękować.

– Muszę. W przeszłości nie mówiłem różnych rzeczy i potem tego żałowałem. Niektóre rzeczy trzeba mówić. Kocham cię, Saro.

– Ja też cię kocham.

Obok mnie Mia jest niespokojna. Patrzą na jej profil. Jej wargi się poruszają, jednak nie słyszę, co ona mówi. Pochyliam się niżej.

– Nie zostawiaj Mii – mruczy pod nosem.

– Co takiego, kochanie?

– Nie zostawiaj Mii.

Całuję jej buzię i przytulam ją do siebie.

– Nie zostawimy cię. Już nigdy cię nie zostawimy. Już jesteś bezpieczna. Wszystko jest dobrze.

Kołyszę ją delikatnie, śpiwając cichutko. Po kilku minutach jej oddech robi się cięższy, równy. Chyba zasypia. Jednak kiedy zerkam na jej twarzyczkę, widzę, że oczy ma szeroko otwarte. Wygląda tak, jakby już nigdy nie miała ich zamknąć.



## ADAM

Sara szepcze do mnie:

– Martwię się o Mię.

Siedzą przytulone do siebie, ale Mia nie śpi. Patrzy w pustkę, blada, z rozszerzonymi źrenicami. Wygląda jak mały duch.

– Nic jej nie będzie – mówię, ale to puste słowa.

Mała widziała rzeczy, których dwuletnie dzieci nie powinny oglądać. Zrobiła rzeczy, których nikt nie powinien robić. Znowu to czuję – dreszcz strachu. Dzisiaj Mia jest małą dziewczynką, ale nie będzie nią zawsze. Jakie będzie jej życie? Jak ona ma sobie z tym poradzić? Jak my sobie poradzimy z nią?

– Myślisz, że wie, co zrobiła? – pytam.

– Skąd by miała wiedzieć? – odpowiada Sara. – Ma tylko dwa lata. To musiał być instynkt. Widziała, że jest ze mną bardzo źle, i zrobiła, co mogła, żeby mi pomóc.

– A Saul?

– Może myślała, że jemu też pomaga. W końcu wzywał pomocy, słyszałam go.

Chciałbym myśleć, że to ma sens – i może ma. Mia to taka hojna dziewczynka. Ma instynkt pomocy.

Chciałbym tak myśleć, bo to dużo łatwiejsze niż alternatywa. Czyli przypuszczenie, że na jakimś poziomie świadomości Mia wiedziała, że numer Saula jest zły, i oddała mu go, żeby uratować siebie. Czy to się naprawdę

stało? Pokonała go w jego własnej grze? Na samą myśl o tym robi mi się zimno.

– Co my mamy z nią zrobić? Z dziewczynką, która umie zmienić swój los? I cudzy? – zastanawiam się głośno.

– Może jest nas dwie – mówi cicho Sara. – Mój się zmienił już dwa razy.

– Cholera. Możesz... mogłabyś...?

– Nie wiem. Nie wydaje mi się, że to ja to zrobiłam. To było tak, jakby coś zostało zrobione mnie. Nie wiem, czybym umiała.

– Jak to jest?

Ona wypuszcza powietrze, jakby chciała je całe wycisnąć z płuc – długi wydech, niemal westchnienie.

– Dopiero w ostatniej chwili dotarło do mnie, co się dzieje. Czuję się taka głupia, jakbym dotąd miała opaskę na oczach. Dziecko było mu po nic. Saul rzucił naszą córeczkę i wziął się za mnie. Był już zdesperowany. Potrzebował nowego numeru, więc zabrał mój. Podszedł blisko, bardzo blisko. Próbowałam nie patrzeć, ale siłą otworzył mi oczy i to było tak, jakby podłączył się kablem do mojej duszy. To bolało, fizycznie bolało. Odbierał mi coś, wrywał to ze mnie. Odbierał mi życie.

– Sara...

– Czułam tylko to, co traciłam. Całą moją energię, chęć do życia, wszystko zabrał. I w ostatniej sekundzie zobaczyłam jego numer, poczułam go. 1622029. – Zamyka oczy, zaciska je mocno, a kiedy je znowu

otwiera, źrenice są szerokie i widać w nich szok i strach. – Widziałam datę jego śmierci, Adam, ten numer, który mi dawał. I widziałam numer Mii, kiedy mi go przekazała. Wreszcie rozumiem, co ty codziennie widzisz.

Sara obraca się, kładzie mi rękę na policzku i jest w tym coś niezwykle delikatnego. To nie litość – teraz już wie, co ja czuję. Też tego doświadczyła.

– Odebrał mi życie, ale Mia mi je oddała – mówi dalej Sara. – Dała mi swoje życie, swój numer, ona mnie uratowała, Adam.

Mia nadal nie śpi. Jasne loki okalają jej buzię, niebieskie oczy są szeroko otwarte. Wygląda jak aniołek. I tym jest. Anioł stróż Sary i anioł śmierci Saula.

– Musimy na nią bardzo uważać – mówię. – Dobrze ją wychować, wszystko jedno, co to znaczy „dobrze”. Gdyby tylko mama żyła... albo babcia. Gdybyśmy tylko mieli jakąś pomoc.

Sara kładzie mi palec na ustach.

– „Gdyby tylko” nie wystarczy. Nie wystarczy, Adam. Twoja mama i babcia i tak tu są. Ty i ja, Mia i Gemma nosimy je w sobie. One są częścią nas. Są w naszych sercach i myślach, zawsze będą.

– To nie to samo...

– Nie, nie to samo, ale to wszystko, co mamy. Gdy nie wiemy, co dalej, gdy wszystko nas przerasta, musimy patrzeć do swojego wnętrza. Odpowiedzi będą tam.

Sara mówi z serca. Wierzy w to. Poradzimy sobie. Zrobimy, co trzeba. A kiedy jej słucham, ja też zaczynam

w to wierzyć.

Zostawiam Sarę ułożoną w naszym ciepłym gnieździe z dziećmi.

Mam wrażenie, że oczy mi się otworzyły, tak naprawdę. Ostatni raz czułem się tak tuż przed Chaosem. Wtedy wiedziałem, że muszę spróbować pomóc ludziom, wydostać ich z Londynu. Ale od tego czasu chowałem głowę w piasek, zaprzeczałem, kim jestem, z nadzieją, że świat zostawi mnie w spokoju. Już tak nie mogę. Nie jestem pewien, co mógłbym zrobić, ale wiem, gdzie zacząć. Muszę znaleźć Daniela.

Przechodzę przez opactwo na dziedziniec. Ludzie mnie zauważają. Niektórzy chcą mi podać rękę, kiedy ich mijam. Nie udaję, że ich nie widzę. Nie patrzę w ziemię. Gdy mnie wołają, zatrzymuję się, ściskam wyciągnięte dłonie, patrzę w oczy. Spędzam z każdym chwilę, niezależnie od tego, co mi mówi jego numer.

– Dokąd idziesz? – pyta ktoś.

– Wracam do bunkra – odpowiadam. – Muszę znaleźć kumpla. On mnie uratował, ale tam został.

Ludzie zbierają się wokół. Niektórych pamiętam z cmentarza. Chcą pójść ze mną. A ja, zamiast ich zbyć, przyjmuję ich pomoc. Razem idziemy ulicami, obok kup gruzu, namiotów i okradzionych sklepów, w stronę wzgórza. Nad naszymi głowami dron obserwuje nasze kroki.

– Wiedzieliście o bunkrze? – pytam.

– Wiedzieliśmy. To był kiepsko strzeżony sekret. Stamtąd pochodziła połowa naszych zasobów. Czarny rynek. A kiedy ludzie znikali, krążyły plotki, że to oni ich zabierają.

– A często znikali?

– Gdy zaczynali coś organizować, robić szum, sprawiać kłopoty. Jeśli byli inni. Po prostu nagle znikali.

Krzyki w nocy, krew rozmazana na ścianach. Zastanawiam się – ilu?

– Zobacz!

Jesteśmy teraz na dole trawiastego zbocza. Ze wzgórza w naszą stronę idą ludzie. Jeden człowiek z naszej grupy wydaje okrzyk, bo kogoś rozpoznał, i rusza biegiem pod górę. Kiedy dociera do swojego znajomego, obejmują się i przez chwilę ściskają mocno, a potem zaczynają się poklepywać po plecach i rozmawiać z ożywieniem.

– Wracają ci, co zniknęli – mówię.

Przyglądam się twarzom nadchodzących. Wiele jest posiniaczonych albo pociętych. Niektórzy ludzie kuleją, idą dwójkami i trójkami, podpierają się nawzajem. Niektórzy są powolni, dezorientowani. Inni są hałaśliwi i szczęśliwi, jak ptaki uwolnione z klatki. Wszystkich witają dobre słowa i pomocne dłonie. Wskazujemy im drogę do opactwa.

Strumień uciekinierów nie ustaje, więc dociera do mnie, że nie ma szans, żebym wszedł do bunkra. Nie, dopóki nie wydostaną się wszyscy, którzy chcą. Mogę

tylko czekać, więc podchodzę do wyjścia w jeżynach i dołączam do komitetu powitalnego, podaję ręce, wskazuję ludziom drogę.

Ostatni wychodzi Daniel. Jego twarz rozjaśnia się na mój widok.

– Adam, udało ci się! My dostaliśmy się do głównego wejścia; załatwimy centrum dowodzenia. Lada moment walnie. Ludzie muszą stąd odejść. Uciekajcie! – krzyczy do każdego w zasięgu słuchu.

Ludzie wokół nas zrywają się do ucieczki, my też. Przebiegamy tylko około dwudziestu metrów, kiedy rozlega się potężny wybuch. Wszyscy na wzgórzu padają na ziemię, z tunelu nad naszymi głowami strzelają w górę kawałki skały i tuman pyłu. Daniel i ja też się kulimy. Zwijam się w kłębek i zakrywam głowę. Spadają na nas kamienie. Kilka metrów dalej słychać uderzenie. Staram się bardziej skulić, czekam, aż wszystko ucichnie.

Kiedy podnoszę głowę, na ziemi, niedaleko od nas leży dron.

– Udało się – mówi Daniel, też się prostując. – Wysadzili centrum dowodzenia. Koniec z dronami, skanerami, już nie będą mogli nas śledzić.

Inni też się podnoszą. Ludzie oglądają się na wejście do jaskini i zaczynają rozumieć, co się stało. Przybijają sobie piątkę, zaczynają krzyczeć i wiwatować.

Pomagam Danielowi wstać.

– Gdzie jest Sara? – pyta. – Nic jej nie jest?

– Tak, jest w porządku. Urodziła, dziewczynkę.

On uśmiecha się szeroko.

– Gratulacje – mówi. – A Saul? Co się z nim stało?

– Nie ma go. On... – usiłuję odpowiednio dobrać słowa – miał paskudny wypadek.

Uśmiech Daniela staje się jeszcze szerszy, potem facet odchyła głowę i wydaje radosny okrzyk. Jego głos dołącza do tego dziwnego i cudownego chóru na wzgórzu. Czekam, aż złapie oddech.

– Muszę o to zapytać – odzywam się. – Czy z Martym i Lukiem wszystko w porządku? Wiem, co powiedziałaś Sarze, ale...

On dalej się szczerzy.

– Tak, stary, nic im nie jest. Powiem Carrie, żeby ich tu dostarczyła.

– Im szybciej, tym lepiej.

– Jasne.

– Zostajesz w Bath? – pytam.

– To równie dobre miejsce, jak każde inne – odpowiada. – Pozbyliśmy się raka, czas pomóc ciału się wyleczyć. Możemy zacząć tutaj.

– Chcę pomóc – stwierdzam.

– Miałem nadzieję, że to powiesz.

– Nie tak, jak oni chcieli. Nie chcę wybierać, kogo ratować, a kogo porzucić. Mam potąd myślenia o śmierci. Chcę pomagać wszystkim. Chcę pomagać ludziom żyć.

Dan obejmuje mnie zdrowym ramieniem i ruszamy w stronę miasta.

## SARA

Gemma płacze. Nie ma mokro. Nie chce jeść. Próbuje ją uspokoić, ale bezskutecznie. Jej okrągła buzia jest cała czerwona. Mała kręci główką na boki.

Adama nie ma już od jakiegoś czasu. Gdyby tu był, może mógłby ją utulić – ja najwyraźniej nie potrafię jej pomóc.

Wygrzebuje się z kołdry i próbuje chodzić z małą po kaplicy. Mia zostaje w pościeli. Tępo wpatruje się przed siebie, jej wargi się poruszają. Plamy na jej aurze ciągle rosną. Nie dostrzegam, jak się zmieniają, tylko zauważam różnicę, kiedy spoglądam na nią co jakiś czas.

Kołyszę Gemmę w ramionach. Moja złość i panika przejawiają się w ruchach. Próbuje mówić do córeczki łagodnie i śpiewać, ale jej krzyki zagłuszają mój głos. Powinno mi się udać. Z Mią poradziłam sobie sama, nie?

Jestem spocona i zdenerwowana. To był ciężki dzień.

– Jest hałaśliwa, prawda? – mówię do Mii.

Ona nie reaguje na moje słowa. Jej aura jest mieszaniną czamo-złoty płam.

Simon zagląda przez łukowate przejście.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tylko maleństwo płacze.

– Mogę pomóc?

– Proszę, spróbuj.

Bierze ode mnie Gemmę. Stoję i patrzę, odgarniam



wilgotne włosy z czoła. Ona nawet nie zauważyła zmiany. Jej buzia jest czerwona i pełna złości.

– A może starsza siostrzyczka pomoże? – sugeruje Simon.

– Lepiej nie. Ona... jeszcze jest w szoku.

– Może jednak...

– Nie, naprawdę. Trzymać płaczące dziecko to żadna zabawa. Lepiej poczekam, aż maleństwo się uspokoi.

– Oczywiście... – Simon podaje mi Gemmę z powrotem. – Ściągnę Alonę. Ona świetnie sobie radzi z noworodkami.

Chodzę dalej, jednocześnie obserwując Mię. Utknęła gdzieś. Nie jestem pewna, czy tak naprawdę jest tutaj. Jej wargi znowu się poruszają, ale bezgłośnie, mamrocze coś pod nosem. Gdziekolwiek jest, to złe miejsce. Desperacko chcę, muszę sprowadzić ją z powrotem.

– Mia – mówię. – Potrzymasz ją?

Jakby mnie nie słyszała.

Klękam obok niej.

– Mia – mówię znowu. – Chcesz potrzymać swoją siostrzyczkę?

Spogląda na mnie. Aura wokół jej głowy jest czarna jak smoła. Czarna aureola. Żrenice ma ogromne, jakby zawierały cały świat pełen bólu. Nagle zaczynam się naprawdę bać. Jest z nią źle. Bardzo, bardzo źle.

– Wyciągnij rączki – proszę zdecydowanie.

Mia wykonuje polecenie jak robot.

Ostrożnie kładę Gemmę w ramionkach Mii,

umieszczając własne ręce pod spodem, tak że obejmuję je obie.

Tym razem Gemma zauważa zmianę. Nadal płacze, ale odwraca buzię w stronę siostry. Mia patrzy na nią, ale nie tym nieobecny spojrzeniem, które mnie tak niepokoi – przygląda się, studiuje buzię siostrzyczki.

– Dzidzia, obudź – odzywa się.

– Ona nie śpi, Mia. Nie ma oczek, jak ty i ja. Ma śpiące oczka. Ale słyszy cię. Możesz do niej mówić.

– Cześć, dzidzia – mówi Mia.

Gemma przestaje płakać. Mia dotyka jej buzi.

– Nie, nie tak, Mia. Daj jej potrzymać swój palec. O, widzisz...

Przesuwam jej rączkę tak, żeby dotknęła piąstki Gemmy. Jak tylko się stykają, malutka rozwija paluszki i łapie Mię. Mia podnosi wzrok i się uśmiecha.

– Dzidzia trzyma – mówi.

– Lubi cię – zapewniam. – Jesteś jej starszą siostrzyczką. Może jej zaśpiewasz? To by się jej spodobało.

– Mama śpiewa „Gwiazdkę” – prosi Mia.

– Ty zaśpiewaj. Ona chce słyszeć twój głos. Pomogę ci, dobrze?

Zaczynamy razem, ale niedługo mój głos cichnie. Mia śpiewa sama.

Jej aura zmienia się na moich oczach. Tam, gdzie dziewczynki trzymają się za ręce, ich kolory się mieszają. Mii znowu robi się złoty. Czysto złoty. Lśniące światło

Gemmy wędruje w górę ramienia starszej siostry, rozmywając plamy.

Mia patrzy na mnie.

– Śpiewaj, skarbie – proszę. – Bardzo jej się podoba.

Z zewnątrz dociera jakiś hałas, szum podekscytowanego tłumu rozchodzą się po kościele. Ale ja nigdzie nie idę. Zafascynowało mnie to, co się dzieje z moimi dziewczynkami.

Adam wpada do kaplicy razem z Danielem. Dan ma zabandażowaną rękę, ale obaj są w świetnym humorze, obejmują się ramionami.

– Jak tam moje dziewczyny? – pyta Adam.

Mia patrzy na niego, rozpromieniona.

– Znakomicie – odpowiadam. – Adam, dzieje się coś niesamowitego.

Zostawiam córki razem i przytulam się do niego.

– Aura Mii była zepsuta – mówię cicho – ale wydaje mi się, że Gemma... ją czyści. Kiedy się dotknęły, ciemność zaczęła znikać. Mia znowu robi się złota. Czyste, lśniące złoto. Nie mogę w to uwierzyć.

Adam obejmuje mnie ramieniem, przyciąga do siebie.

– Czyli Gemma ma swój dar – mówi, a w kącikach jego ust czai się uśmiech. – Myślałem, że to my będziemy się nią cały czas zajmować. Ale może jest silniejsza, niż myśleliśmy.

– Adam, ślepotą ją uratowała. Może Gemma jest najbardziej niezwykła z nas wszystkich...

Urywam gwałtownie. Nienawidzę myśli, która

pojawiła się w mojej głowie.

– Co? – pytam Adam.

Nie wiem, jak to powiedzieć, ale muszę zapytać.

– Czy Gemma jest bezpieczna z siostrą? Czy numer Mii się zmienił? A co, jeśli Mia jest na tyle silna, że nie musi widzieć oczu Gemmy, żeby zabrać jej numer?

Muszę to wiedzieć.

Adam puszcza mnie i patrzy na dziewczynki.

– Mia – zwraca się do małej. – Popatrz na tatusia. Śpiewasz Gemmie? Udało ci się ją uspokoić?

Mia podnosi wzrok. Jej oczka błyszczą z podniecenia.

– Dzidzia lubi „Gwiazdkę” – odpowiada radośnie. – Ciii, dzidzia, ciii.

– Bardzo dobrze. Grzeczna dziewczynka. – Po tych słowach Adam odwraca się z powrotem do mnie. – W porządku. Jej numer jest ten sam.

– Ciągle ma mój?

– Tak. Przeszkadza ci to? – pyta, znowu przyciągając mnie do siebie. Czuję, jak mocno wali mu serce.

– To dobry numer, prawda? – mówię. On ma zbolałą minę. – Nie musisz odpowiadać. Widziałam w twoim notesie, przed Chaosem.

– To najlepszy numer, jaki spotkałem – zapewnia mnie Adam cicho.

Przytula mnie mocniej i przez chwilę jest tak, jakbyśmy byli tylko we dwójkę, nawet bez dzieci, całkiem sami. Jego wargi są koło mojego ucha. Zamykam oczy, a on szepcze:

– Jest pełen miłości i światła. Jeśli Mia go zatrzyma, odejście z tego życia będzie dla niej takie spokojne, takie łatwe. To najpiękniejszy koniec, jaki można mieć.

Otwieram oczy i przechylam głowę. Adam ma opuszczone powieki, ale łza przeciska się przez jego rzęsy i spływa po twarzy.

– Co się dzieje? – pytam. – Nie mogłabym życzyć sobie dla niej niczego lepszego.

On otwiera oczy, z których płynie więcej łez. Wygląda na udręczonego.

– To twój numer, Saro. Powinien być twój.

Ocieram mu łzy palcami, potem delikatnie obejmuję dłońmi jego twarz.

– Nie – mówię. – Tak właśnie powinno być. Wychowamy nasze dziewczynki najlepiej jak się da, otoczymy je miłością. Nauczymy Mię, żeby trzymała się swojego numeru, a Gemma może używać swojego daru uzdrawiania. Ona nie ma oczu, ale wydaje mi się, że pomoże nam widzieć. Kto wie, może nasze dziewczynki nauczą czegoś nas wszystkich. Cokolwiek się stanie z tobą i ze mną, je obie czeka szczęśliwe zakończenie. Musi tak być.

Odwracam się od Adama i patrzę na córeczki.

Główkę Mii otacza złociste światło. Czarne plamy ma już tylko wokół nóg, a i te rozpływają się na moich oczach. Mia pochyla się i opiera policzkiem o policzek Gemmy i wtedy znikają ostatnie czarne miejsca.

## EPILOG – 2033

Dziewczynka siedzi na plaży. Palcem rysuje obrazki na piasku, podczas gdy reszta dzieci biega, ganiając się w wieczornym słońcu.

Marty i Luke bawią się z Gemmą, na zmianę podnoszą ją i okręcają. Ona przemieszcza się chwiejnym krokiem między nimi dwoma.

– Ostrożnie. Nie za dużo! – Głos mamy niesie się plażą od piaszczystej wydmy.

– Wystarczy! – krzyczy tata.

Dziewczynka odwraca się, żeby na nich spojrzeć, jak stoją, obejmując się ramionami. Za nimi dostrzega połatane dachy domów i gołe krokwie nowych domów w budowie. Dzień był długi, ale dobry. Kiedy dużo ludzi pracuje razem, dom potrafi wyrosnąć z niczego w kilka godzin. A tata umie namawiać ludzi, żeby pracowali razem. Dlatego tyle razy się przenieśli. Ludzie są zadowoleni, kiedy tata ich odwiedza.

Ale ona jest już zmęczona podróżowaniem. Chce zostać w jednym miejscu, mieć dom, miejsce, gdzie mogą mieszkać wszyscy razem już zawsze.

Patrzy na rysunek na piasku – domek i sześć osób, i wielkie świecące słońce na niebie nad nimi – i pisze pod rysunkiem słowa: DŁUGO I SZCĘŚLIWE.

Słyszy głośny śmiech chłopców.

Gemie kręci się już w głowie. Potyka się i chwieje.

Gdy próbuje się wyprostować, leci w drugą stronę.

Dziewczynka wola do niej:

– Gem, chodź tutaj! Gem, tutaj!

Gemma odwraca się do niej i uśmiecha. Niepewnym krokiem idzie przez piasek, a dziewczynka naprowadza ją głosem. Kiedy Gemma ma już tylko metr do przejścia, rzuca się z szeroko rozrzuconymi ramionkami w stronę, skąd dobiega głos. Starsza siostra łapie ją i obie lecą do tyłu w płataninie rąk i nóg.

– Gemma, ty kluseczko! Co byś zrobiła, gdybym cię nie złapała?

Gemma odchyła głowę i śmieje się, a potem sięga ręką do twarzy dziewczynki, przesuwając palcami po dołkach w kącikach ust, zmarszczkach śmiechu w kącikach oczu.

– Mia – mówi. – Moja Mia. – I daje jej buziaka.

Dziewczynka ociera usta i mówi:

– Oj, to było mokre. Poszukamy mamy i taty?

Mia i Gemma rozplątują się i wstają, trzymając się za ręce. Odwracają się do wydm i ruszają. Ich długie cienie kładą się na nierównej powierzchni piasku, ze złączonymi rękami, jak lalki wycięte z papieru.

## PODZIĘKOWANIA

Chcę podziękować wszystkim, którzy mnie wspierali przy pisaniu wszystkich trzech części serii „Numery”:

Davidowi za to, że skierował mnie w stronę Frome Festival.

Frome Festival za dodawanie mi odwagi w konkursie na opowiadanie i za swaty.

Przyjaciołom i rodzinie, którzy zachęcali mnie do pisania, przede wszystkim mamie i tacie, Ann i Peterowi w Hiszpanii, a także Ann i Dave’owi w Jersey.

Przyjaciołom, którzy interesowali się moim pisaniem, zwłaszcza tym z Rady Miejskiej Keynsham oraz z Rady Bath & North East Somerset.

Wszystkim w wydawnictwie Chicken House, którzy wykonali tak znakomitą pracę, wśród nich Barry’emu za wysiłki, a w tej chwili szczególnie Imogen, Rachel Leyshon i Chrissie.

Wszystkim cudownym ludziom pracującym przy tłumaczeniu moich książek i wydaniu ich poza Zjednoczonym Królestwem, szczególnie tym, którzy zajmowali się mną w różnych krajach – Anji i Hilke w Niemczech, Monique i Janetcie w Holandii – oraz Elinor za to, że to wszystko umożliwiła.

Cudownym bibliotekarzom, pracownikom School Library Service, nauczycielom i dziennikarzom, których poznałam, a którzy z takim zaangażowaniem promują



czytelnictwo.

I – oczywiście – czytelnikom, zwłaszcza tym, którzy do mnie napisali albo przyszli na spotkania autorskie. Wasza reakcja na moje książki znaczy dla mnie najwięcej.

Rachel Ward kwiecień 2011